

CO ZROBI NOWY PREZYDENT USA?

Cejrowski zdradza plan Trumpa
na uzdrowienie Ameryki



Warzecha broni Konfederacji
przed Ziemkiewiczem

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 47/605 18-24 LISTOPADA 2024
CENA 11,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

FILM „NAPAD”
W NETFLIXIE

– DLACZEGO ESBECY
W POLSKIM KINIE
NADAL SĄ BOHATERAMI?

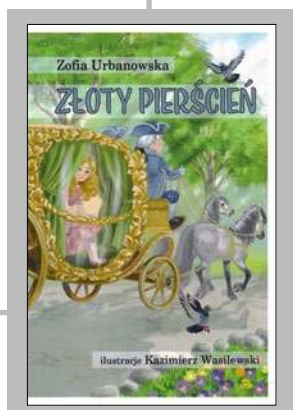


Jak barbarzyńcy Tuska niszczą
instytucje polskiej kultury

9 772299 850000
ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 46 500 egzemplarzy

Goodbye, Mr. Ambassador

AMERYKAŃSKI PROTEKTOR PLATFORMY STRACI POSADĘ



Zofia Urbanowska **Złoty pierścień**

39 zł

Baśń o rozkapryszonej księżniczce Zorynie, która zamieniona w ubogą gęsiarkę uczy się, co jest w życiu najważniejsze.

Maria Buyno-Arctowa **Perły księżniczki Mai**

49 zł

Niezwykła baśń, w której krzyżują się wątki z polskiej historii i baśniowe motywy: tajemniczy stary park, zaczarowane perły i podwodne królestwo syren.

+ PŁYTA CD

Zofia Kossak **Przygody Kacperka góreckiego skrzata**

Najpiękniejsza polska baśń o gromadzie skrzatów biorących udział w odwiecznej walce dobra ze złem.

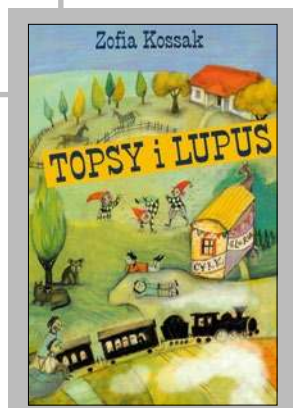
35 zł

Zofia Urbanowska **Gucio zaczarowany**

Piękna baśń o chłopcu za lenistwo zamienionym w muchę, który od świata przyrody uczy się pracowitości i troski o wspólne dobro.

46 zł

+ PŁYTA CD



Maria Buyno-Arctowa **Kocia mama i jej przygody**

39 zł

Uroczą opowieść o małej Zosi opiekującej się gromadką kotów, która wraz z licznym rodzeństwem, przyjaciółmi i zwierzętami przeżywa wiele niezwykłych przygód.

Zofia Kossak **Topsy i Lupus**

38 zł

Pasjonująca, przygodowo-sensacyjna opowieść o psie porwanym do cyrku i wyprawie poszukujących go dwóch nastolatków przez ziemię II Rzeczypospolitej.

+ PŁYTA CD

NAJPIĘKNIEJSZE POLSKIE BAŚNIE DLA DZIECI

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

601 096 795

**prawe
KSIĄŻKI**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rozumność szaleń 2024

Gdyby to zależało od nich, Polska, sądzę, dawno już włączyłaby się do działań wojennych. Tak przynajmniej można interpretować kolejne wypowiedzi różnych polskich generałów. Wszystkie one pokazują, że duch w narodzie, przynajmniej wojskowym, nie ginie i nasi dowódcy wręcz palą się do wojaczki.

Jeszcze dwa lata temu sądziłem, że trudno będzie, co się tyczy zapału, przebić deklaracje gen. Waldemara Skrzypczaka, byłego dowódcy wojsk lądowych, który stwierdził, że Kaliningrad znajduje się pod okupacją rosyjską, a Polska powinna się o niego upomnieć. Generał zaprezentował dość osobliwy pogląd historyczny: jeśli Kaliningrad, czyli dawny Królewiec, znajduje się pod okupacją, to okupowanymi terenami są najwyraźniej Prusy Wschodnie. Czy można by z tego wnosić, że ewentualnym celem działań polskiej armii, gdyby już zdobyła Kaliningrad, byłoby doprowadzenie do wskrzeszenia Prus?

Kilka miesięcy temu swoją koncepcję odstraszania Moskwy zaprezentował były szef Sztabu Generalnego WP gen. Rajmund Andrzejczak, według którego gdyby Rosja zajęła „centymetr litewskiej ziemi”, należałoby przy pomocy rakiet uderzyć w Petersburg. Nie wiadomo wprawdzie, dlaczego chodziło o ziemię litewską i dlaczego odpowiedzią na zajęcie jej centymetra miałyby być atak na wielomilionowe, cywilne miasto, ale na pewno obu wojakom nie można odmówić animuszu.

W podobnym duchu kilka dni temu wypowiedział się inny wysokiej rangi oficer, gen. Tomasz Piotrowski, były dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych. Otóż odpowiadając na pytanie: „Czy Polska powinna mieć możli-

wość, by zestrzeliwać niepolskim sprzętem z naszego terytorium rakiety, które lecą w polską stronę, ale jeszcze nad terytorium Ukrainy?”, stwierdził po żołniersku krótko, acz jednoznacznie: „Uważam, że tak”. Według generała nie należy się zbytnio przejmować zarzutami o to, że zestrzeliwanie rakiet z Polski byłoby włączeniem się do wojny. „Przecież przekazany przez nas sprzęt i tak tam [na Ukrainie] jest. Niejednokrotnie kadra techniczna, i nie tylko kadra techniczna, instruktorzy też tam przebywali – tłumaczył.

Muszę przyznać, że sytuacja, w której polski oficer nie zastanawia się nad tym, jakie skutki miałyby zestrzeliwanie z terytorium Polski rosyjskich rakiet nad Ukrainą (np. skutkiem byłoby ostrzeliwanie rakietami terenów Polski), jest czymś wielce osobliwym. Podobnie nie wiem, jak można nie widzieć różnicy między pomocą techniczną a bezpośrednią walką. Cóż, najwyraźniej przemawiają przeze mnie małoduszność i brak odpowiedniego, patriotycznego wigoru. Zapewne z tych też powodów mam pewne kłopoty ze zrozumieniem słów gen. Wiesława Kukuły, obecnego szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Z jednej strony zadeklarował, że Polska nie może zestrzeliwać rosyjskich rakiet nad Ukrainą (uff), z drugiej jednak powiedział, że – co się tyczy wojny z Rosją – „czerwona lampka już się pali”, ale „to, czy i kiedy wojna wybuchnie, w pewnym sensie zależy od nas. Atakowanie państwa dobrze przygotowanego do obrony, którego społeczeństwo stanie do walki, jest olbrzymim ryzykiem. Agresja zawsze karmi się słabościami”.

Co generał miał na myśli? W jakim sensie od nas, od Polski, zależy wybuch wojny? Wybuch wojny zależy od agresora, nie

od obrońcy, chyba że ma się na myśli wojnę przewencyjną. A może, przeciwnie, oficerowi chodziło o to, że przygotowując się do obrony, chronimy się przed atakiem? Tylko jak ma się to do stwierdzenia, że zakończenie konfliktu na Ukrainie ułatwi Rosji rozbudowę swoich sił zbrojnych? Wynikałoby z tego, że jedynym sposobem na to, by nie wzmocnić Rosji, jest przeciąganie konfliktu na Ukrainie. To jednak w konsekwencji powinno oznaczać włączenie Polski i innych państw do konfliktu, bo – jak zauważył gen. Piotrowski – „nie chodzi o to, żeby z premedytacją wykrwawiać naszych przyjaciół ukraińskich”.

Pewne jest jedno: radosny nastrój wiary we własne siły udziela się też polskim politykom. Jeszcze kilka miesięcy temu jedynym, który gotów był podjąć eskalacyjną grę z Putinem (niech Moskwa się boi naszych posunięć), był minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Teraz, jeśli wierzyć brytyjskim mediom, dołączył do niego premier Donald Tusk. „Polska dąży do zawarcia sojuszu z Wielką Brytanią, aby zapobiec ewentualnej zdradzie Ukrainy po powrocie Donalda Trumpa do Białego Domu” – pisze „The Times”. Brytyjska gazeta twierdzi, że polski premier ma próbować stworzyć sojusz z Wielką Brytanią, który zapewni Kijowowi dalszą pomoc w przypadku ewentualnego ograniczenia wsparcia z USA”.

Tak, to mi się naprawdę podoba. Polska, Wielka Brytania, Francja i pan Mark Rutte (bo jego nazwisko też wspomina „The Times”) dadzą sobie radę bez Trumpa. Polska wreszcie pokaże, na co ją stać, bo ma tę przewagę nad innymi, że jako jedyna sąsiaduje z Rosją i Ukrainą. To dopiero będzie prawdziwa, romantyczna „rozumność szaleń”. ©©

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

LORD PROTEKTOR PLATFORMY STRACI POSADĘ

Kiedy nastąpi wymiana ambasadorów?



KRAJ

18 ROZMOWA Z MARKIEM SAWICKIM
CASTING NA PREZYDENTA
Kaczyński wie, że jest w defensywie

20 ŁUKASZ WARZECHA
MIMO WSZYSTKO NIE PIS
Warzecha broni Konfederacji
przed Ziemkiewiczem

22 RADOŚLAW WOJTAS
**MINISTERSTWO
KULTURY I CHAOSU**
Jak barbarzyńcy Tuska niszczą
instytucje polskiej kultury

25 KRYSZTOF KRATUŁ
NIE DLA PSEUDOMAŁŻEŃSTW!

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
URZĘDNIKI KONTRA KIEROWCY

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
UBRANIE NA CHWILĘ

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
JAK REŻYSER Z JEZUITĄ
Spowiedź twórcy
„Chłopców z ferajny”

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – JACEK ZWOŹNIAK (II)

36 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
NA NETFLIXIE ESBK RYBA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 PIOTR SEMKA
**JAK PRZEBŁAGAĆ
WIELKIEGO NIEDŹWIEDZIA?**
Polemika z tekstem Lecha Mażewskiego

45 LECH MAŻEWSKI
ODWRÓCONY KISSINGER?

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ETYCZNY PROBLEM KUL

HISTORIA

50 ŁUKASZ CZARNECKI
ROMANS ZE ŚMIERCIĄ
Burzliwe losy królowej warszawskich scen

54 PIOTR SEMKA
SEATTLE, CZYLI DRUGA JAPONIA

ŚWIAT

60 JAN BOGATKO
**NIEMCY
SĄ CIENIEM SIEBIE**
Przyspieszone wybory do Bundestagu

62 WOJCIECH GOŁONKA
**KTO NAS STRASZY
J.D. VANCE'EM?**

64 PIOTR WŁOCZYK
IZRAELSKI TARAN TRUMPA

66 ROZMOWA
ZE ZBIGNIEWEM PARAFIANOWICZEM
**ZEŁEŃSKI MYLI REALIZM
Z BEZCZELNOŚCIĄ**

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
RAJD TRUMPA
Rynki finansowe
po wyborach w USA

ŻYCIE I NAUKA

74 JACEK PAŁKIEWICZ
**WODA,
SZOKUJĄCY ZABÓJCA**
Pułapki przyrody

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyk-Stefaniak
RYSONOWICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **Jacek Szydłowski/Forum**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata/prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dlaczego Warszawa milczała”, Paweł Lisicki, „DRz” nr 45/2024

Pan Redaktor **Paweł Lisicki** odnotował w swoim tekście („Dlaczego Warszawa milczała”, „Do Rzeczy” nr 45/2024), „że ważną częścią współczesnej ukraińskiej tożsamości narodowej będzie utajona wrogość do polskości”. Stwierdzenie „utajona wrogość” nie oddaje jednak stanu rzeczywistego. Ukraińcy (naród, który zaczął kształtować się od drugiej połowy XIX w.) zawsze traktowali Polaków jako swojego głównego wroga. **Mychajło Hruszewski**, uznany za twórcę ukraińskiej historiografii, tworzył zdecydowanie antypolską koncepcję narodu ukraińskiego.

Wasył Rasewycz pisze na łamach lwowskiego „Kuriera Galicyjskiego” („Skazani na nienawiść?”, „Kurier Galicyjski” 2024, nr 20), że nie mogło być inaczej „przynajmniej w kontekście tego, że musiał stworzyć ukraińską

metanarrację, skierowaną do ogromnej, lecz jednolitej grupy społecznej – chłopstwa”. Według **Rasewy** koncepcja **Hruszewskiego** zakładała, że Ukraińcy walczy „razem z Rosjanami przeciwko Polsce i znieprawdzonego Zachodu”. Wyklucza to Ukrainę „z kontekstu europejskiego i skazuje ją na życie w ramach autorytaryzmu i despotyzmu” (tamże). Jednakże **Hruszewski** wykluczał wariant autonomii Ukrainy w ramach Rosji, gdyż obawiał się, że wówczas może dojść do recydywy rosyjskiego centralizmu. **Mykoła Michnowski** tworzył w tym

samym czasie koncepcję integralnego nacjonalizmu i imperializmu ukraińskiego rozwijaną później przez **Dmytra Doncowa** i **Jewhena Konowalca**. Koncepcja ta zakładała powstanie wolnej Ukrainy od gór kaukaskich po San. Wielu Ukraińców przyjęło wówczas, że naturalną linią graniczną między Ukraińcami i Polakami jest „rzeka Wisłoka, zaczynający od źródła swego” (**M. Wojnar**, „Imperium ukraińskie. Źródła idei i jej miejsce w myśli politycznej ukraińskiego nacjonalizmu integralnego pierwszej połowy XX wieku”, Kraków 2023, s. 132). **Mychajło Kołodziński**, uznany za jednego z bohaterów Ukrainy, autor doktryny wojennej ukraińskich nacjonalistów, pisał: „Ukraina musi w końcu zrozumieć, że tylko wtedy może być panią Europy Wschodniej, kiedy będzie w stanie obronić siebie równocześnie na polskim i moskiewskim froncie” (**M. Wojnar**, „Imperium...”, s. 277). Nie mamy więc do czynienia z „utajoną wrogością” do polskości, lecz

z otwartą akceptacją nienawiści wynikającą z afirmacji darwinizmu społecznego.

Redaktor **Lisicki** zauważa, że postawienie pomnika we Lwowie **Romanowi Szuchewyczowi** to „swego rodzaju historyczny sadyzm wobec Polaków”. To prawda.

Szuchewycz za służbę dla hitlerowskich Niemiec w 201. batalionie policyjnym otrzymał dwukrotnie Krzyż Żelazny. Jako komendant główny UPA był odpowiedzialny za czystkę etniczną w Małopolsce Wschodniej, a prowadzone tam działania ludobójcze co najmniej koordynował. Ten banderowski zbrodniarz ma już we Lwowie swoją ulicę (gen. **Czuprynki** – czyli **Romana Szuchewy**) oraz upamiętniające popiersie umieszczone na budynku polskiej szkoły im. św. **Marii Magdaleny**.

Zbigniew Machelski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bez wroga **ani rusz**

Marsz Niepodległości 11 listopada w Warszawie okazał się sporym sukcesem polskiej prawej strony. Nie spełniły się ciche nadzieje mediów liberalnych, że pojawienie się w jednym miejscu PiS-owców, konfederatów i narodowców wywoła jakieś iskrzenie. Do żadnych demonstracji wrogości nie doszło. Jarosław Kaczyński, Sławomir Mentzen czy ONR-owcy z dużym staraniem dbali, by nie wchodzić sobie w drogę. Na marsz przybyło przynajmniej półtora raza więcej uczestników niż w poprzednich latach, choć spór o to, ilu ich dokładnie było, tradycyjnie już trudno było rozstrzygnąć.

Nie doszło do żadnych incydentów. Liberalnym mediom, niekryjącym niechęci do uczestników marszu, pozostało jedynie oburzenie się na złamanie zakazu palenia świetlnych flar i podawanie liczby osób zatrzymanych przez policję, tak jakby marsz był zjazdem awanturników. Skoro nawet najzdolniejszym reporterom TVN nie udało się sfilmować bójek czy atakowania policjantów, to odrzucano stereo-

typ ciemnej masy wykrzykujące nienawistne hasła. Wojciech Mann w kontekście marszu rytualnie ogłosił: „Do furii doprowadza mnie bezmyślność ludzi, którzy dają upust... Nie wiem czemu. Jakimś swoim kompleksem? Frustracją? Nienawiści do innych?”. Mann, jak się zdaje, nigdy na marszu nie był, ale wie najlepiej, co o nim sądzić.

Szymon Hołownia w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” uzasadniał swój start w prezydenckim wyścigu potrzebą wygranej, która zakończy podziały wśród Polaków. „Dziś potrzebujemy takiego przywództwa, które w kraju zapewni pokój wewnętrzny, bo tylko wtedy będziemy w stanie rywalizować i zmagać się z mnóstwem wyzwań z zewnątrz” – zadeklarował pan marszałek.

Hołownia przy okazji pośrednio się usprawiedliwiał, dlaczego partię koalicji 13 grudnia nie realizują swych obietnic z zeszłorocznej kampanii. Ten tok argumentacji dobrze już w ciągu tego roku poznaliśmy. „Nic nie możemy, bo nie mamy pełni władzy” – tłumaczył platformersi, politycy

Polski 20250 czy aktywistki lewicy. I dopiero zdobycie prezydentury któregoś z kandydatów obecnej władzy zapewnić ma ów wymarzony pokój wewnętrzny.

Były gwiazdor TVN doskonale prezentuje obsesję obecnej koalicji. Zawsze ma za mało władzy. Nie ma sukcesów, bo a to jeszcze trzeba odbić Narodowy Bank Polski, a to rozwiązać Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, a to rozgonić obecny skład Trybunału Konstytucyjnego. Nie szukać konsensusu z inaczej myślącymi, tylko zaanektować, wyczyścić, a najlepiej jeszcze aresztować. Kiedyś Hołownia krytykował za taki sposób myślenia PiS – teraz głosi go jako jedyny sposób na to, by coś ruszyło w państwie.

Ale przy takim sposobie myślenia zawsze będą jacyś szkodnicy, którzy sypią piach w tryby koalicji 13 grudnia. Muszą być, aby służyć takim politykom jak Hołownia do wyjaśnienia potknięć władzy. Bo ze straszydłem wroga łatwiej tuszuje się własne błędy. I po prostu żyje się wygodniej. Najlepiej pod sztandarem likwidowania podziału Polaków. ©©

GOSPODARKA NA HAMULCU

Produkt krajowy brutto Polski w trzecim kwartale 2024 r. wzrósł o 2,7 proc. w ujęciu rocznym. W ujęciu kwartalnym PKB skurczył się o 0,2 proc. – wynika ze wstępnych danych ogłoszonych w czwartek przez GUS. Jeszcze w drugim kwartale polska gospodarka rozwijała się w tempie 3,2 proc. w ujęciu rocznym. Nie wiadomo jeszcze, co stoi za spowolnieniem, ale ekonomiści wskazują m.in. na słabe wyniki sprzedaży detalicznej, niskie tempo wzrostu inwestycji i pogorszenie w budowlance. (jap) ©©



Nastąpił świąteczny cud. Jest on związany ze Świętem Niepodległości. W wyniku wzmożenia uczuć patriotycznych Radek Sikorski zarzucił Monice Olejnik antysemityzm, opuścił studio i zażądał od TVN i Warner Bros. przywrócenia standardów dziennikarskich. Możemy się jedynie domyślać, że przyczyną nagłej odmiany stanu ducha Radka była nocna wizyta duchów. Były to: Duch Minionych Wyborów, Duch Obecných Wyborów i Duch Przyszłych Wyborów. Wszystkie, niestety, przegrane – tak przynajmniej twierdzi duch Morleya.

Jakby ktoś nie wiedział, Radek się oburzył, bo Monika zapytała o wypowiedzi członków PO nieprzychylnych żydowskiemu pochodzeniu żony Radka. Mamy jednak do Moniki pytanie: Czy woli być nazywana kłamczuszką czy głupolkiem? Tak się bowiem składa, że słowa, które cytowała za „Tygodnikiem Powszechnym”, nigdy w tym piśmie się nie pojawiły. Za to były w tekście na portalu gazeta.pl. Więc albo Monika na wizji nie mówiła prawdy, albo po prostu nie umie czytać ze zrozumieniem. Tertium non datur.

Przy okazji nie możemy powstrzymać się od refleksji – w sumie my też nie odróżniamy Gazety.pl od „Tygodnika Powszechnego”. Bo i jak? Za to zgadzamy się ze zwolennikami teorii spiskowej – oburzenie Radka było ustawką. Cel ustawki? Żeby za każdym razem, jak ktoś wypomni Anne Applebaum wypowiedzi antytrumpowe można było powiedzieć, że to bredzenie antysemitów.

Apropos Radka – tradycyjnie z okazji Święta Niepodległości bawiono się u prezydenta Andrzeja Sebastiana. Był tam i słynny mąż znanej żony Anne Applebaum. Niestety, nie cieszył się wśród gości specjalnym wzięciem. Nawet ambasadorowie obcych krajów nie szukali jakoś specjalnie jego towarzystwa. Słusznie. Wielkie jednostki lubią samotność. Nic nie przeszkadza im wtedy w kontemplowaniu ich wielkości. Wersja druga: obcy ambasadorowie to straszni antysemita.

W Pałacu Prezydenckim rozmowy koncentrowały się oczywiście wokół następnego lokatora tego gmachu. Dziennikarze dopadli Pawła

Szefernakera, który uchodzi za dobrze poinformowanego. Niestety, nie chciał nic zdradzić. W końcu padło zdanie: „Niech pan przynajmniej powie, z ilu osób składa się grupa, która wyłoni kandydata”. Z jednej – stwierdził poseł.

Rzecz zabawna: w ramach naparzanek w PiS między zwolennikami różnych kandydatów na kandydata na prezydenta niektórzy sięgają po argumenty ad rubrykum Gmyzum et Gocium. Na przykład przeciwnicy Karola Nawrockiego powtarzają, że ma on tatuaże, co go dyskwalifikuje. A zwolennicy odparowują, że przecież religijne. Cóż, jeśli tą religią jest futbol, to w sumie tak. Pisaliśmy o tym miesiąc temu.

Jeszcze kilka smacznych szczegółów z naparzanek zwolenników kandydatów na kandydata: za Czarnkiem lobbuje np. Jacek Sasin. A za Nawrockim – był premier Mateusz. Z kolei przeciwnicy Mateusza rozsiewają plotki, że popiera on Nawrockiego tylko taktycznie, żeby – gdy okaże się, że sondaże dla Nawrockiego są słabe – powiedzieć, że tylko jeden człowiek może go w ostatniej chwili zastąpić. I ten człowiek nazywa się Morawiecki.

Prawda jest taka, że mamy już powyżej dziurek w nosa telenoweli pt. „Jaki kandydat”. Zresztą nie tylko my. Zainspirowani jednym z odcinków

przygód kapitana Klossa – „Poszukiwany Gruppenführer Wolf” – mamy jednak pomysł. Wolf, jak wiadomo, był postacią fikcyjną, gdyż nie istniał. Ale jego nazwisko składało się z pierwszych liter prawdziwych oficerów. Proponujemy więc PiS kandydata zbiorowego, który będzie fikcyjny, a zarazem prawdziwy. Czarnek, Bogucki, Bocheński, Nawrocki. W skrócie Czabobon.

Tymczasem w USA. Czy to niespodziewany zwrot akcji w długiej walce PiS o własną patriotyczną telewizję? Co prawda, nie udało się kupić TV Puls, a i na TVN też chyba na razie nie ma szans, ale w Ameryce po wygranej Trumpa oglądalność radykalnie antytrumpowej MSNBC spadła o połowę i właściciel rozważa jej sprzedaż. Poddajemy tę myśl Nowogrodzkiej.

Teraz bardziej na serio. Jest problem. Otóż radość PiS z wygranej Dobrego Donalda z Waszyngtonu może być bardzo przedwczesna. Nie z powodu samego Trumpa, lecz sytuacji w Europie. W obliczu dobrej zmiany w USA utrzymanie w Polsce marionetkowego rządu prounijnego stało się bowiem dla Berlina naraz kwestią życia i śmierci. Oznacza to, że kliki brukselsko-berlińskie zrobią wszystko, dosłownie wszystko, żeby tylko PiS nie wrócił do władzy. Tę myśl też poddajemy do rozważenia Nowogrodzkiej. Bo demokracja walcząca stanie się teraz jeszcze bardziej walczącą.

Jak wiadomo, kolekcjonujemy pseudonimy, którymi obdarzani są politycy. Kim jest Koń i Kierownik, wszyscy wiedzą. Ale nie wiemy, czy wiecie, jak określana w Ministerstwie Sprawiedliwości jest Maria Ejchart, już nie Dubois. Otóż nosi ona wdzięczną ksywkę Wyłupiasta. My wolimy określać ją jako osobę z dużymi oczami.

Apropos Dubois, znaczący Jacka. Prokuratura z hukiem odmówiła wszczęcia postępowania w kwestii rzekomego ujawnienia tajemnicy adwokackiej przy okazji sprawy Palikota. Nasze wiewiórki twierdzą, że teraz prokuratura zastanawia się, czy postępowanie Dubois nie wyczerpuje znamion mataczenia. Prosimy czytelników, żeby nie robili takich dużych oczu. ©©





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Platforma **hien**

Psychiatrzy zajmujący się zaburzeniami okołodepresyjnymi ukuł termin „syndrom Wertera”. Nazywają tak zjawisko, które niestety potwierdzają statystyki: po nagłośnionej w mediach informacji o samobójstwie liczba odnotowywanych samobójstw na pewien czas wzrasta. Szczególnie gdy samobójstwo popełni ktoś znany, aktor czy celebryta. Zadanie sobie śmierci stanowi kulturowe tabu, medialne nagłaśnianie takich przypadków tabu to osłabia, stanowi dla człowieka cierpiącego na myśli samobójcze zachętę: tamten mógł, to i ty skończ wreszcie ze sobą. Po co ci te terapie, te leki? Idź wskazaną drogą.

Dlatego szanujące się media są od dawna już uczulone na to, by

takich „newsów” nie upowszechniać, i informując o śmierci, pomijając jej przyczynę. Podobnie media społecznościowe – samo użycie słowa „samobójstwo” na YouTube np. wzbudza natychmiastową reakcję algorytmów i weryfikatorów.

Ale kiedy można przywalić w PiS – to wszystko jest dozwolone. Propaganda PO, zgodnie ze znaną ze starej piosenki Kleyffa zasadą „świeże groby zawsze wzruszą”, z zamiłowaniem buduje emocje na trumnach – by przypomnieć choćby propagandowe ogrywanie śmierci Pawła Adamowicza czy syna patopostanki Filiks. Co najobrzydliwsze, usprawiedliwia się przy tym pomówieniem, jako to nie oni, a właśnie PiS... Otóż nie, kiedy pod kancelarią premiera Tuska spalił

się śp. Andrzej Żydek, nikt w PiS nie próbował tej śmierci uwznioślać, mitologizować i używać w politycznej naparzaneczce. Zupełnie inaczej zachowała się PO, gdy podpalił się cierpiący na depresję endemiczną Piotr Szczęsny. Z ofiary choroby zrobiła bohatera walki o demokrację, wystawiła mu tablicę pamiątkową, a ostatnio, jak raz w dniu Wszystkich Świętych, pani Wysocka-Sznepf zrobiła w tym duchu kultowy wywiad z wdową. I miała jeszcze czelność tych, którzy ją skrytykowali, nazwać „moralnymi zerami”.

Jej trud nie poszedł na marne – kilka dni później pewien mężczyzna demonstracyjnie zadał sobie okrutną śmierć pod „papieskim oknem” w Krakowie. Gratulacje, pani redaktor. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przywilej **poświęcenia**

Gdy dla większości narodów Europy kończyła się Wielka Wojna, dla nas zaczynała się nasza własna. W latach 1918–1921 wykreśliłmy zbrojnie niemal wszystkie granice Rzeczypospolitej, walcząc z Niemcami, z Rosją, z Ukrainą, z Litwą, z Czechosłowacją. Ale do 1918 r. dominującym trendem polskiej polityki był pasywizm, ograniczanie zaangażowania, by tym mocniej sprawę polską „licytować w górę”. Może ze względu na tę odwróconą chronologię tak trudno nam do tej pory pojąć, jak dramatycznym doświadczeniem dla narodów Zachodu była pierwsza wojna światowa.

Małą tego ilustracją może być okolicznościowy artykuł w „Va-

leurs Actuelles”, opublikowany 11 listopada przez księcia Joachima Murata. Jego wielki przodek wyzwałał Warszawę w roku 1806, był najbardziej znanym kawalerzystą Cesarstwa, szwagrem Napoleona i królem Neapolu. Jego potomek przypominał jednak nie tamtą, powszechnie znaną historię, ale postawę rodziny w czasie wojny 1914–1918. W pole poszło sześciu książąt Muratów – Joachim, Aleksander, Paweł, Karol, Hieronim i Ludwik. Ich siostra, księżniczka Marguerite, przez całą wojnę służyła jako sanitariuszka. Jej mąż, baron Lejeune, poległ pod Ypres jako oficer kawalerii. Z Muratów największą ofiarę złożył niespełna 20-letni książę Ludwik, sierżant

kirasjerów, poległy nad Sommą. Jego brat, książę Hieronim, służył w lotnictwie, na wojnie stracił nogę. Inwalidą wojennym był też książę Paweł, który w 29. pułku dragonów przeżył niemiecki atak gazowy.

Następne pokolenie też spełniło obowiązek; Joachim, VII książę Murat, ojciec autora artykułu, walczył z Niemcami jako podporucznik podziemnych Francuskich Sił Wewnętrznych. Jego towarzyszem broni był książę Ludwik Napoleon, dla swych zwolenników – Napoleon VI. To na marginesie, bo o tym książę Murat już 11 listopada nie pisał.

Prawdziwe elity to nie ci, którzy przekazują dzieciom przywileje, ale ci, którzy potrafią przekazać im obowiązek służby. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Na terenie Wilanowa: jagodna
będzie rzucana szczepionka
przeciwko wściekliźnie



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dlaczego **wygrał** Trump?

We Włoszech lewica, jej politycy i komentatorzy przyjęli klęskę wyborczą Kamali Harris jak własną. W nocnych programach TV poświęconych wyborom, gdy zarysowała się przewaga Trumpa, nie potrafili ukryć frustracji. Aldo Cazzullo z „Corriere della Sera”, na co dzień ultrademokrata, nie kryjąc pogardy, wyjaśnił, że na Trumpa głosują konsumenci hamburgerów, czyli niewyrobione ideologicznie prostactwo. Wtórowali mu prorocy, ostrzegając, że zwycięstwo Trumpa to śmierć demokracji i koniec systemu wartości, które wyznaje porządek i uczciwy zachodni człowiek. Wieszczyli, że Trump doprowadzi Unię Europejską do gospodarczej i politycznej katastrofy. Alan Friedman z Nowego

Jorku powiedział, że Trump jest wcieleniem Hitlera, Elon Musk – Goebbelsa, a Stany Zjednoczone są w sytuacji Niemiec z 1933 r., gdy potwór z wąsikiem sięgał po władzę. Naturalnie trudno nie podzielać obaw Ukrainy, Polski i państw bałtyckich, że ewentualny Pax Trumpiana kosztem części Ukrainy zachęci Putina do dalszych podbojów.

Włoscy lewicowi mędrcy, komentując klęskę Kamali, mówią i piszą o wszystkim, tylko nie o tym, że to również klęska lewicowej ideologii i jej dogmatów. A przecież w sporej mierze to właśnie lewicowe kretyństwa utorowały Trumpowi drogę do władzy: kult św. Migranta, poprawność polityczna, cancel i woke culture, fanatyzm ekologiczny, wariactwo genderowych

teorii i 45 pici, handel dziećmi z surogacji, pogarda i terror wobec inaczej myślących. Na ołtarzu tych szaleństw lewica złożyła biednych i najsłabszych, którzy teraz głosują na prawicę w USA i w Europie.

Równouprawienie kobiet, szacunek dla mniejszości seksualnych, umiowanie pokoju czy troska o naturę to szczytne cele. Ale, jak we wszystkim, potrzebne są rozsądek i umiar. To są niestety przymioty całkowicie szalonym rewolucjonistom obce.

Najgorsze jest to, że lewica i jej nawiedzone autorytety nie potrafią tego dostrzec. Jak zwykle twierdzą, że mieli i mają rację, ale zacołany amerykański lud się na tym nie poznał. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KRÓLOWA JEST NAGA

W natłoku różnego rodzaju afer i aferek rubryce gwiazdobzdurowej umknęła historia Caroline Derpienski, czyli Karoliny Derpienskiej z Białegostoku. Przez długi czas ściemniała światu, że żyje w USA jak pączek w maśle – bogaty ukochany, czyli latynoski milioner, najdroższe torebki i restauracje, brylanty, brokat, kawior – słowem: „dolarsowa królowa”. Zasłona z wymyślnego życia jednak opadła i okazało się, że narzeczony wcale nie był taki sympatyczny, amerykański akcent to poza, a duża część bogactwa to zwykła ustawka (szok i niedowierzanie!). Choć teraz Karolina chętnie opowiada o tym, jak trudne przeszła chwile (na czym wciąż robi content), to wcale nie zrezygnowała z imprez i życia ponad stan. Za co? Na przykład za „donejty”, o które prosiła swoich internetowych obserwatorów. Tak wielka celebrytka nie pójdzie przecież do normalnej pracy. Cała sytuacja nie spodobała się znanej z udziału w patogalach MMA „Lalunie”, która wytknęła koleżance

z celebryckiej branży, że ta naciąga naiwnych ludzi. „Polacy uwierzyli, ale to nie wina ludzi. To znaczy, że mamy dużo osób, które są wrażliwe na ludzką krzywdę. A ten łeb, Karolina Derpienska, za to, jak się zachowuje i robi z ludzi debili, dopadnie ją karma. Jest młoda, głupia i nie ma pojęcia, co robi. Jak można być tak pozbawionym zasad, honoru i czegośkolwiek? Koszmar” – napisała. Jako podsumowanie można przytoczyć jeden z komentarzy z plotkarskiego serwisu: „Wojna na szczycie silikonu. Losie, miej w opiece przegranych”.

NA BOGATO

Z życia ludzi próżnych. Niedawno influencerka Andziaks świętowała 28. urodziny. Jak było? No... na bogato. Jej mąż Luka (również influencer) nie oszczędzał na uczczeniu tego święta. „Sprezentował swojej ukochanej nie tylko wartą 30 tys. zł torebkę marki Dior, po którą specjalnie poleciał do Paryża, ale również zamówił dla solenizantki 10 bukietów po 100 róż. Były one dostarczane jedne po drugim prosto do domu małżonków. Na tym jednak nie koniec – różne były wręczane Andziaks przy akompaniamencie... meksykańskiego zespołu mariachi, przygrywającego klasyczne utwory z Ameryki Północnej. Luka na przygotowania do niespodzianki poświęcił blisko 24 godziny i prawie w ogóle nie spał” – opisuje serwis Plejada. A wy, drogie panie, jak tam? Bukietek i czekoladki?

NA KRAWĘDZI

Aktor Andrzej Chyra udzielił wywiadu, w którym opowiedział o swoim dziewięcioletnim synu. „Tadek nie jest typem, który dzieli się przemyśleniami. To nas łączy. Prowadzę z nim rozmowy, które próbuję tłumaczyć świat, ale nie przesadzam z tym. Dzieci uczą się przez doświadczenia, nie z lekcji, których im udzielamy” – mówił „Twojemu Stylowi”. Nagle złożył jednoznaczna deklarację – koniec rozmów o dziecku z mediami. Powód zaskakuje. „Nadszedł czas usunąć syna z moich wywiadów. Do 15 października ubiegłego roku Tadeusz był dla mnie ważną częścią opowieści i powodem, dla którego włączyłem się w walkę o demokrację. Przyszłość

mojego syna, jego pokolenia, była tak ważna, że byłem gotów poświęcić część siebie” – stwierdził Chyra. Aktor nie żałuje swojej „walki o demokrację”, choć łatwo nie było. „Cena była wysoka. W jakimś sensie zdradziłem sztukę, oddałem twarz polityce. Niektórym zaczęło się mylić, kim jestem. Jakby nie rozumieli, że byliśmy na krawędzi przepaści. Straciłem niewinność artysty. Postarzałem się fizycznie – widzę to w lustrze, na ekranie. Zaliczyłem przyspieszenie wieku, którego się nie spodziewałem. Jednak nie potrafiłem stać biernie [...]. Troszczymy się o dzieci nie dlatego, że tak zostaliśmy wychowani, tylko że natura nas zaprogramowała. Dla mnie to był imperatyw” – podsumował Andrzej Chyra. Dobrze, że pan Andrzej może w końcu odpocząć. Jeszcze jedna kadencja PiS i by się nam zająchał.

ZBYT ŁADNY

Wokalista Sławomir Uniąkowski został zaproszony do podcastu „Piekielnie szczerze”. Wyznał, że często jest uznawany za homoseksualistę, ponieważ – jak wskazał – „bardzo o siebie dba”. To skutkuje propozycjami erotycznymi, w dużej mierze od panów. – Najwięcej mam niemoralnych propozycji od mężczyzn, bo dużo facetów myśli, że jestem gejem. Bo dbam o siebie. Nie dostaję specjalnie nagich zdjęć od kobiet, ale dostaję ku.asy od mężczyzn. To mi się nie podoba, bo to są bardzo brzydkie ku.asy – przyznał bez pardonu. Choć Uniąkowski zapewnił, że jako osoba wychowana w tolerancyjnym domu nie ma absolutnie nic przeciwko homoseksualistom, to „nie kuma tego całego LGBT”. – Wychowywałem się w klubach gejowskich. Można tam było bawić się, na legalu jarać zioło. Wszyscy mnie tam lubili. Mam wielki sentyment do gejów, tych wszystkich przebiegaczy. Choć tego całego LGBT nie kumam, dla mnie to jest jakieś łapanie uwagi na się przez ludzi, którzy nie potrafią poradzić sobie z własnym życiem. Ale ja mam dużą wrażliwość i jest mi bardzo miło, jak jakiś gość mi powie, że mu się podobam. A dlaczego mam mu się nie podobać? – pyta filozoficznie muzyk. To w końcu fajnie być obiektem westchnień innych mężczyzn czy nie? ©



FOT. JERZY BONCZYK / FOTONIA

Kochani, czytamy ostatnio w zagranicznych mediach tradycyjnych, a także społecznościowych wiele pochlebnych opinii pod adresem tego kraju. Od 2023 r. pojawia się też jakby więcej przedruków z prasy zagranicznej w prasie polskojęzycznej na temat tej, jakim cudownym miejscem jest ten kraj, tzn. Polska.

Z jednej strony of kors się cieszymy, iż widzi-
my znaczący progres
w postrzeganiu tego
kraju poza naszymi
granicami. Odsunięcie PiS
od władzy oraz zwycię-
stwo demokracji musiało
zmienić percepcję wielu
osób uwrażliwionych na
praworządność. I jeśli
ktoś z Berlina, Paryża,
Brukseli czy Lizbony
wzdrygał się na myśl
o odwiedzaniu Polski, iż
jest tu łamana konstitu-
cja, to teraz już nie musi
mieć takich wątpliwości,
iż jesteśmy nareszcie
praworządni. To bez wąt-
pienia się zmieniło.

Wiecie jednak, co jest najgorsze w Polsce? No tak, Polacy. Czytamy np. w jednym z popularnych serwisów, iż brytyjscy turyści przyjechali nad tenkrajowe morze i byli zachwyceni.

A czemu byli zachwyceni? Iż przyjechali po sezonie, kiedy na plażach nie smażą się otoczeni parawanami otyli janusze z podkarpacia, ich dzieci nie robią kup na wydmach, nikt nie wrzesz-

czy, nie biega i nie zakłóca spokoju. No jak jest ładne miejsce, ale nie ma w nim Polaków, to wiadomo, że to +100 do atrakcyjności.

Czytamy też opinie na przykładowym Reddicie, iż w Polsce jest bezpiecznie, i to dlatego, iż jest kulturowo monoetniczna. No wiecie, przykre to, iż uważa

ulicach. A jak sobie uświadomić, co ci wszyscy Polacy mogą jeszcze myśleć, to już w ogóle robi się nieprzyjemnie i lepiej siedzieć zamkniętym w domu, nie wystawiać się na widok publiczny i osad.

A poza tym przypomnijmy, iż w Polsce wciąż rządzi Kościół katolicki, który nie pozwala kobietom decydować o własnym ciele. A co gdyby do tego kraju pewnego razu przyleciała kobieta, która właśnie miałaby ochotę zadecydować o własnym ciele, a nie może?

Sami widzicie, iż pod wieloma względami ten kraj pozostaje bardzo mocno przereklamowany. Nie można uznawać, iż bezpieczeństwo fizyczne to wszystko, ważne są też komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa w sensie mentalnym, iż nikt nie patrzy na przybysza jak na nie-Polaka, iż możemy tu stworzyć bezpieczną

przestrzeń i strefę komfortu niezależnie od wyznania, pochodzenia czy płci kulturowej. A nie, że stawiamy płoty na granicy i inwestujemy w armię. To takie klasyczne polskie rozbieżne myślenie. No więc widzicie – nie ma się z czego cieszyć. ☺☺



się nas za tak nudny niezróżnicowany kraj, a w dodatku jest to mylne przekonanie. Czy jest tak bezpiecznie, to nie wiemy – wystarczy wyjść na ulicę w listopadzie, a tam wszyscy mają pozastłaniane twarze, patrzą spod byka, szybko robi się ciemno.

Niby nic się nie dzieje, ale atmosfera i okoliczności są takie, iż wcale nie jest przyjemnie przebywać na polskich

Dwudniowy tydzień pracy!

Marcelina, superpomysł z tym zamykaniem sklepów w sobotę. Właśnie szukaliśmy czegoś, żeby

się wyróżnić, a nikt inny tego nie proponuje. Nawet pisiory siedzą w kieszeni u prywaciarzy. Dzięki, Adrian.

Ale musimy śmiało iść za ciosem.
Ja już mam plan!

Opowiadaj.
Dwudniowy tydzień pracy! Rozu-
miesz, odwracamy kapitalistyczną

logikę. Były dwa dni wolne, teraz
będą tylko dwa pracujące.

**Super! Ale robiłaś jakieś kalku-
lacje, czy to się gospodarczo zepnie?**
No skąd!

**Bardzo dobrze! Na pewno
by wyszło, że nie. Żadnych
kalkulacji! © P**

Łukasz Warzecha

**„Szwajcaria
zdelegalizowała burki,
my być może powinniśmy
zdelegalizować
kominiarki”.**

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X
dzien po Marszu Niepodległości

BAZA W REDZIKOWIE OFICJALNIE OTWARTA

– Cieszę się ogromnie, że otwieramy tę bazę, tak jak armia Stanów Zjednoczonych będzie broniła wolności i bezpieczeństwa świata – mówił w środę prezydent Polski Andrzej Duda podczas oficjalnego otwarcia pierwszej „stałej” amerykańskiej bazy w Polsce. „Od tego momentu cały świat będzie widział, że to nie jest już rosyjska strefa wpływów” – podkreślał w przemówieniu prezydent Duda.

Budowana od 2016 r. w województwie pomorskim amerykańska baza antyrakietowa systemu Aegis Ashore stanowi potężny militarny bat na międzykontynentalne pociski balistyczne. Koszt inwestycji szacowany jest już na co najmniej 800–900 mln dol. Jak zapowiedział jednak szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, strona polska będzie rozmawiać z sekretarzem generalnym NATO Markiem Ruttem i z „przyjaciółmi z USA” o rozszerzeniu działania tarczy antyrakietowej. Baza projektowana była bowiem w czasach, gdy największe zagrożenie widziano w Iranie. Tymczasem wyrzutnie za-instalowane w Redzikowie mogą być zastosowane do wyrzucania nie tylko pocisków przechwytyjących SM-3IIA, służących do obrony przed pociskami o zasięgu 1000–3000 km oraz 3000–5500 km, lecz także pocisków Standard SM-6, które mogłyby zwalczać np. rosyjskie iskandery.

W związku z otwarciem bazy na niewielkie Redzikowo pod Słupskiem w ubiegłym tygodniu zwrócone były oczy sojuszników i wrogów NATO. – Jest to przesunięcie amerykańskiej infrastruktury wojskowej na terytorium Europy w stronę naszych granic. To nic innego jak próba powstrzymania naszego potencjału wojskowego – oznajmił rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, grożąc podjęciem stosownych działań w celu zapewnienia parytetu. Bliźniaczą bazę Amerykanie zbudowali również w rumuńskim Deveselu. W skład systemu wchodzi również baza w niemieckim Ramstein oraz radar rozmieszczony w tureckim Kürecik. (jap) ©

FOT. WOJCIECH STRAŻYŃSKI/REPORTER





Mark Brzezinski jechał do Warszawy z jasno określoną misją: wspierać tu walkę o „bezbiasne sądownictwo, niezależne media i poszanowanie praw człowieka dla wszystkich, w tym zwłaszcza osób LGBTQI oraz innych mniejszości”. Tak, wpisując się słowo w słowo w propagandowe hasła ówczesnej polskiej lewicowo-liberalnej opozycji, deklarował na początku 2021 r. podczas rutynowego, wymaganego amerykańską procedurą dyplomatyczną przesłuchania kandydata na ambasadora przed komisją Senatu. Spotkało się to z pełnym zrozumieniem administracji Joe Bidena, przynajmniej zresztą, że z jej punktu widzenia kandydat nadawał się do tej roli niemal idealnie. Przede wszystkim oczywiście jako syn swego ojca, Zbigniewa Brzezińskiego, który – jak zresztą każdy Polak mający sukces w Ameryce – uważany jest w „starym kraju” za bohatera.

Pozycja ojca obecnego ambasadora sprawiła, że jako symbol polskiego sukcesu w świecie, nowoczesności i skutecznego przezwyciężenia naszej „nienormalności” często i chętnie był on używany przez tutejszy obóz lewicowo-liberalny do zawstydzania „polskiego ciemnogrodu”. Kierowany przez Tomasza Lisa „Newsweek” umieścił go na jednej z okładek w koleżku „Big Zbig kontra karły”, gdzie wielkiemu Brzezińskiemu obłączyły nogawki małe jak karaluchy postaci Kaczyńskiego, Błaszczaka i Ziobry, a „Gazeta Wyborcza” dołączyła go do swego panteonu tytułem Człowieka Roku już w 2006 r., co zresztą zdziwiło samego laureata, który z rozbrajającą szczerością wyznał, odbierając wyróżnienie, że nie rozumie, dlaczego przyznano mu je akurat za rok, w którym literalnie niczego nie zrobił.

Również młodszy syn „Zbiga”, Mark, był w Polsce znany, zanim jeszcze rozpoczął swą dyplomatyczną misję – przynajmniej czytelnikom „Gazety Wyborczej”, gdzie kilkakrotnie udzielał wywiadów pochlebnych dla sukcesów lewicowo-liberalnych salonów w „westernizowaniu” postkomunistycznej Polski i przezwyciężaniu jej „obciążeń”. Nie udzielił już takiego wywiadu, gdy desygnowano go na ambasadora, ale „Wyborcza” uczciła tę nominację rozmową z jego siostrą, Miką Brzezinski. Ta wypowiadała

Lord

protektor Platformy straci posadę



Rafał A. Ziemkiewicz

Działalność Marka Brzezinskiego w Polsce podsumować można jako wizytację przedstawiciela „liberalnej międzynarodówki”, mającej silne poczucie wspólnoty interesów zasiedziały lewicowo-liberalnych elit różnych krajów Zachodu

się jeszcze bardziej jednoznacznie niż brat – przypomniałszy najpierw, że ojciec, Zbigniew, był zawsze wiernym czytelnikiem gazety Michnika i oddanym stronnikiem jego samego, dokonała Brzezinski surowej krytyki rządzącego Prawa i Sprawiedliwości i wygłosiła wiele standardowych połańek pod adresem

tej złej części polskiego społeczeństwa, która wybrała do władzy „populistów” (nieco złagodzonych stwierdzeniem, że i w Ameryce trafił się Trump, ale Polacy na pewno sobie ze swoimi „trumpistami” poradzą tak jak poradzi sobie oni).

Myliłby się, kto chciałby użyć argumentu, że siostry ambasadora konwencja



Brzezinski i jego partnerka Olga Leonowicz brylowali w śniadaniówkach TVN i „kobięcych” portalach

z którą zresztą poznali się kiedyś podczas jej pobytu w USA, menedżer w jednej z dużych firm konsultingowych, Olę Leonowicz. Nie powinno to być może stanowić przedmiotu zainteresowania poważnych mediów, gdyby nie fakt, że to sami zainteresowani nagłośnili i wręcz wyeksponowali swój związek, brylując w basujących antypisowi mediach „lajfstajlowych”. Brzezinski i Leonowicz, zwana „życiową partnerką” ambasadora (nie zdecydował się on na sformalizowanie tego związku, choć według Wikipedii jego małżeństwo z Natalią Lopatniuk ostatecznie zakończyło się rozwodem w roku 2022), stali się „gorącą parą” warszawskiego high life’u. On, syn wielkiego „Zbiga”, ona – świetnie wykształcona, obyta w świecie Polka, odnosząca sukcesy „przedsiębiorczyni”; para brylowała w śniadaniówkach TVN i „kobięcych” portalach, gdzie chętnie opowiadała nie tylko o ich związku odnowionym po 20 latach od pierwszego spotkania w Bostonie, lecz także o zacofaniu Polski i jej odstawaniu od cywilizacyjnej, zachodniej normy, wyrażającym się m.in. w kompleksach i bierności polskich kobiet. Ale też w randze quasi-ambasadorowej spotykała się z politykami jedynie słusznej opcji, by udzielać poparcia ich planom – np. z „wiceministrą” Kingą Gajewską, po spotkaniu z którą „ambasadorowa” relacjonowała: „Rozmawialiśmy o znaczeniu programu »Maluch+« w procesie aktywizacji zawodowej kobiet w Polsce, o roli ukraińskich kobiet we wzmacnianiu polskiego rynku pracy, o wspieraniu młodych w samorządach, o partnerstwie, a także o (powolnej) zmianie w podejściu do równego traktowania kobiet... Tematów nam nie brakowało, bo obie widzimy, ile jest rzeczy do zrobienia w Polsce! Działamy!”. Media społecznościowe „życiowej partnerki” ambasadora pełne są wspólnych fotografii z działaczami „wolnych sądów” i liderami prawniczego rokoszu oraz niekiedy

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/EPRIUM

wiedeńska nie dotyczy, więc wolno jej deklarować dowolne sympatie partyjne w kraju swoich przodków i otwarcie się w jego politykę angażować. Wywiad był przeprowadzony w czasie, gdy deklarowano, że z uwagi na skomplikowaną sytuację rodzinną brata – wciąż pozostawał on wtedy formalnie w związku

małżeńskim, ale wiadomo było, że żona towarzyszyć mu na placówce w Polsce nie zamierza – to właśnie Mika Brzezinski pełnić będzie przy nim funkcje reprezentacyjne, zwykle powierzane żonie ambasadora.

Ostatecznie stało się inaczej – Brzezinski znalazł sobie tubylczą partnerkę,

aluzyjnymi, a niekiedy wyrażanymi zupełnie wprost wyrazami poparcia dla PO i jej działań tudzież zachwytami nad tym, jak „lekką się teraz oddycha” i jak dobrze idzie proces „przywracania demokracji”.

WYCHOWYWAĆ POLAKÓW

Oczywiście działanie naszej lewicowo-liberalnej pani Walewskiej było tylko uzupełnieniem działań jej amerykańskiego partnera. W odróżnieniu od poprzedniczki, Georgette Mosbacher, delegowanej do Warszawy przez Donalda Trumpa, która skupiona była głównie na pilnowaniu w Polsce interesów amerykańskich firm, bezceremonialnie gasząc próby np. ustawowego uregulowania działalności Ubera albo wprowadzenia „podatku cyfrowego”, Brzezinski skupił się przede wszystkim na „wychowywaniu” Polaków, szczególnie za pomocą narzędzi „lajfstajlowych”. Stał się warszawskim królem selfików. Każdy polityk, który wchodził w konflikt z PiS, zwłaszcza po 13 grudnia ubiegłego roku, kiedy to zaprzysiężony został rząd Donalda Tuska; każdy, który dopuścił się jakiegos grubszego przekroczenia w ramach zadeklarowanego „prawa, tak jak my je rozumiemy” i „demokracji walczącej”, mógł liczyć na wspólne zdjęcie z ambasadorem USA, opatrzone w jego mediach społecznościowych ciepłym wpisem w duchu „popieram szlachetną sprawę, którą reprezentuje mój dzisiejszy rozmówca”. Po siłowym wejściu do TVP, po bezprawnym przejęciu prokuratury, po włamaniu do domu Zbigniewa Ziobry i złamaniu immunitetów posłów PiS sprawcy tych działań mogli pochwalić się ocieplającym wizerunek wpisem i fotką ambasadora.

Niektórzy ministrowie chwalili się przy tym, że zostali osobiście przyjęci w ambasadzie USA, choć prawo stanowi jasno, że nie wolno im było takich wizyt składać – urzędujący minister może się spotykać i rozmawiać z ambasadorem obcego kraju (wyjawszy oczywiście wspólny udział w oficjalnych rautach) jedynie w swoim ministerstwie. Ale przedstawiciel USA nie jest przecież w Warszawie traktowany jak ambasador obcego państwa, tylko jak lord protektor.

W tej roli Brzezinski czuł się znakomicie, nie omijając żadnej okazji,

Przedstawiciel USA jest w Warszawie traktowany jako lord protektor. W tej roli Brzezinski czuł się znakomicie, nie omijając żadnej okazji, by komentować polskie wydarzenia i pouczać z cokołu amerykańskiej wyższości

by komentować polskie wydarzenia i pouczać z cokołu amerykańskiej wyższości. Z niezliczonych jego wypowiedzi tego rodzaju przypomnijmy skwapliwość, z którą natychmiast publicznie potępił „haniebny atak na Synagogę Nożyków w Warszawie”, instruując, że w Polsce „nie ma miejsca na antysemityzm i nienawiść” (co jednoznacznie przecież implikowało, że jeszcze one w Polsce są). Warto przypomnieć o roli, którą amerykański ambasador w Warszawie odegrał w nagłośnieniu na całym świecie „newsa” o tej rzekomej próbie podpalenia synagogi w stolicy Polski, gdyż cała sprawa wydaje się hucpą i, najdelikatniej mówiąc, fake newsem. Choć minęło od tego czasu ponad pół roku i choć natychmiast po domniemanym zdarzeniu ogłoszono o zatrzymaniu domniemanego sprawcy, to nie sposób dowiedzieć się od policji i innych władz, co się z nim stało, czy przeprowadzono śledztwo, czy plama na ścianie sfotografowana przez rabina Schudricha i rozpowszechniona w światowych mediach wraz z oświadczeniem Brzezinskiego była rzeczywiście śladem po podpaleniu. Jeśli tak, to jakiego środka użyto? Jakie były motywacje i czy rzeczywiście miały coś wspólnego z „antysemityzmem i nienawiścią”?

Nawet u schyłku swej misji, dosłownie w ostatnich dniach, nie wychodzi Brzezinski z roli samozwańczego arbitra polskich sporów. Na jednodniową wrzutkę TVN24, mającą przewekslować liczne uzasadnione zarzuty wobec Anne Applebaum, żony ubiegającego się o kandydowanie w wyborach prezydenckich Radosława Sikorskiego, na kwestię jej żydowskiego pochodzenia zareagował wystawieniem swojej „drogiej przyjaciółce” (jak sam ją określił) gorliwego świadectwa: „Mój zmarły ojciec darzył ją ogromnym szacunkiem ze względu na jej uczoność, głęboką wiedzę i miłość do

Polski”; „jestem jej niezmiernie wdzięczny za jej rady podczas mojej kadencji tutaj, ponieważ są one zawsze inteligentne i świadome”. Na te ostatnie słowa kończącego swą misję ambasadora warto zwrócić uwagę, bo być może wyjaśniają one wiele jego posunięć i zachowań.

Na plus trzeba Brzezinskiemu zapisać, że choć od dłuższego już czasu konwencja wiedeńska, zabraniająca ambasadorom mieszać się do wewnętrznej polityki państwa, w którym się znajdują, i publicznie ją komentować, wydaje się w stosunku do Polski zawieszona, czego przejawami są m.in. otwarte wspieranie zachodnie przez ambasady politycznych postulatów organizacji LGBT i ich demonstracyjny udział w „Paradach Dumy Gejowskiej”, to ambasador USA starał się zachować pewne pozory.

Nie pisał otwarcie: reprezentowany przez mnie rząd USA popiera złamanie przez Adama Bodnara ustawy o prokuraturze, siłowe usunięcie prokuratora krajowego i zastąpienia go bez podstawy prawnej powołnym sobie uzurpatorem, stanowiącym oczywisty wstęp do oczekiwanej i popieranej przez rząd USA rozprawy z prawnicową polityczną opozycją. Po prostu fotografował się z Bodnarem i innymi wykonawcami poleceń Tuska, z ogólnikowymi komentarzami, formułowanymi w taki sposób, by sprawiały wrażenie, jak gdyby szczerze wierzył, że w Polsce rządził do ubiegłego roku niedemokratyczny reżim, że został on dzięki wsparciu „wolnego świata” obalony przez społeczny zryw w rodzaju Solidarności, a teraz naprawdę trwa „przywracanie praworządności”, a nie bandyckie „domykanie układu” i instalowanie prawdziwego niedemokratycznego reżimu, który stara się oczyścić nie tylko administrację państwa i instytucje, lecz także w ogóle życie publiczne z ludzi spoza swego kręgu; nie tylko tych, którzy związani

byli z poprzednią władzą, lecz także tych, którzy po prostu zachowali za jej czasów piastowane wcześniej stanowiska bądź zostali awansowani. Pozwala to obrońcom ambasadora Brzezinskiego używać argumentu, że przyjęta przez niego postawa na poły kolonialnego namiestnika, na poły Tarzana wśród małych nie wynikała z politycznych założeń, ale po prostu Mark Brzezinski, odcięty od niezależnych źródeł informacji, słabo się w polskiej polityce orientuje i był dla rządzących łatwy do zmanipulowania.

REPREZENTANT PROGRESISTOWSKICH SALONÓW

Wzmianka o głębokiej wdzięczności wobec Anne Applebaum za jej rady zdaje się tę linię obrony potwierdzać. Ale wyjaśnienie może być inne. Brzezinski zawsze czuł się w Warszawie ambasadorem nie tyle rządu USA, ile amerykańskiej Partii Demokratycznej. A nawet nie tyle całej partii, która musi oddać władzę republikanom, ile jej lewicowego trzonu, „twardego rdzenia” tworzonego przez progresistowskie salony Zachodniego Wybrzeża, których „droga przyjaciółka” Applebaum jest modelowym produktem.

Brzezinski – co w tradycji amerykańskiej wydaje się ewenementem – zdawał się w ogóle nie pamiętać o interesach swego rządu w reprezentowanym kraju – a tym interesem było, także za kadencji Bidena, utrzymywanie Polskę w pewnej niezależności od Niemiec, zachęcać ją do inwestycji w amerykański atom i budowę potencjalnie użytecznego dla US Army CPK. Wspierając bez opamiętania proniemiecki do granic wypełnienia znamion „rządu marionetkowego” kurs PO, ambasador wydawał się kierować poczuciem plemiennej solidarności z „polskimi antytrumpistami”, czyli partią męża swojej „drogiej przyjaciółki”, przeciwko „trumpistom” z PiS.

Można więc działalność Brzezinskiego w Polsce podsumować jako wizytację w naszym kraju przedstawiciela swego rodzaju „liberalnej międzynarodówki”, mającej silne poczucie wspólnoty interesów zasiedziały, lewicowo-liberalnych elit różnych krajów Zachodu, nękanych narastającym poczuciem odrzucenia przez swoje społeczeństwa i zagrożenia ze strony ruchów, które ich arystokratyczni i mieszczańscy poprzednicy na-

zywali „jakobińskimi” i „bolszewickimi”, a które one nazywają dziś „faszystowskimi” czy – w wersji lajtowej – „populistycznymi”. W tym sensie krzątania Brzezinskiego, wskazującego nieustannie Polakom, kogo powinni szanować i słuchać, a kogo się bać i odrzucać, nie powinna być odbierana jako przejaw janekskiej pyszałkowatości i kolonialnego kompleksu wyższości, ale jako klasowa solidarność z salonami, umownie mówiąc, postmichnikowszczyzny. Solidarność wyjaśniającą – na zasadzie drugiej strony tego samego medalu – frentyczną radość posłów PiS po ogłoszeniu wyniku wyborów w USA i skandowanie przez nich w Sejmie „Do-nald-Trump!”.

Przejęcie przez republikanów wszystkich czterech ośrodków władzy w USA (bo oprócz prezydentury i większości w Izbie Reprezentantów oraz w Senacie zdobyli oni dla konserwatyzmu – jeszcze w czasie pierwszej kadencji Donalda Trumpa – przewagę w Sądzie Najwyższym) wróży

polityce dowartościowywania Europy Środkowej i Polski jako jej potencjalnego lidera. Niekoniecznie musi to oznaczać, że – jak wydają się roić sobie niektórzy przedstawiciele opozycji – Donald Trump rychło przyjedzie tu na białym koniu, wypędzi z kraju niemieckich pacholków i zastąpi ich amerykańskimi. Ale na pewno w miejsce lorda protektora pomagda-lenkowych „elit” i wszelkiego rodzaju lewicowych szaleństw spod znaków woje, kierującego się stadnym instynktem nowojorskich liberałów, można się spodziewać w Warszawie kogoś zupełnie innego. W obecnych warunkach jest wielkie prawdopodobieństwo, że nie będzie to powtórka z ambasador Mosbacher, ogarniającej tylko przyziemne interesy amerykańskich koncernów, ale ktoś bardziej świadomy geopolitycznej gry podejmowanej przez 47. prezydenta USA, roli, którą może w niej odgrywać Polska, i przygotowanego do realizowania interesów swojego kraju środkami poważnej dyplomacji.

Brzezinski zdawał się w ogóle nie pamiętać o interesach swego rządu w reprezentowanym kraju. Wspierając proniemiecki kurs PO, wydawał się kierować poczuciem plemiennej solidarności z „polskimi antytrumpistami”

ambasadorowaniu „syna wielkiego ojca” rychły kres. Z polskiego punktu widzenia jest to bowiem zasadnicza zmiana geopolityczna: oznacza odejście od przekonania, że USA prędzej czy później muszą się wycofać z Europy, bo za dużo ich ona kosztuje, a przestała być na świecie obszarem pierwszorzędnym, i istnieje tylko kwestia ustalenia warunków oddania jej Europejczykom (czytaj: Niemcom). Trump głosi dokładnie odwrotnie, że skoro Europa tyle Amerykę kosztowała, to nie należy kłaść na te wydatki kreski, tylko odbić je sobie, wasalizując Stary Kontynent, przejmując jego przemysł, uzależniając od amerykańskich źródeł energii i czyniąc rynkiem zbytu dla amerykańskiej produkcji.

Choćby tylko dla zmuszenia Niemców, by pogodzili się z nową, podrzędną rolą (a już pojawiły się ze strony ich prominentnych polityków wypowiedzi, że zastąpienie amerykańskim gazem rosyjskiego to interesująca opcja), mieści się w takiej

Tak czy owak polskie środowiska lewicowo-liberalne muszą się przygotować na konieczność stawienia czoła „chorobie sierocej”. Szczególnie w powiązaniu zmian w Ameryce z rozpadem koalicji rządzącej w Niemczech, narastającym kryzysem tego kraju oraz okazywaną przez jego elity polityczne już w pierwszych powyborczych dniach gotowością do wykonania politycznego zwrotu. A chętni do załapania się na pożegnalne selfie z Markiem Brzezinskim i jego życiową partnerką powinni się pośpieszyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przy pisaniu artykułu korzystałem, wśród innych źródeł, z naszych poprzednich publikacji: „Ambasadorowa” Zuzanny Dąbrowskiej („Do Rzeczy” nr 24/2024) oraz „Nadambasadorowie” Karola Gaca („Do Rzeczy” nr 30/2024), w których zainteresowany czytelnik znaleźć może więcej szczegółów dotyczących poruszanych tu tematów).



Z Markiem Sawickim, marszałkiem seniorem Sejmu, politykiem Polskiego Stronnictwa Ludowego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Casting na prezydenta

RYSZARD GROMADZKI: Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA będzie miało wpływ na wybory prezydenta w Polsce w przyszłym roku? Polska prawica dostanie wiatru w żagle?

MAREK SAWICKI: Nie sądzę. Trump wygrał wybory w Stanach Zjednoczonych, my będziemy wybierać prezydenta w Polsce. Chcę podkreślić, że ośrodki badania opinii publicznej w USA mocno się pomyliły, tak jak często mylą się również w Polsce. Trump mocno stawiał na trzy elementy. Po pierwsze – na gospodarkę, po drugie – na bezpieczeństwo, także to migracyjne, po trzecie – na konserwatyzm. Nie zawsze przekładający się na praktykę, ale przynajmniej dobitnie deklarowany.

W tych wyborach bardzo zróżnicowane społeczeństwo amerykańskie, do którego demokraci i ich kandydatka Kamala Harris adresowali skrajnie progresywny przekaz, odrzuciło go w sposób dla demokratów porażający. Wbrew sondażom i narracji głównych ośrodków kształtowania opinii publicznej klęska pani Harris była całkowita.

Efektom sukcesu Trumpa, jak wiele wskazuje, będzie zmiana polityki USA wobec Unii Europejskiej. Na tej zmianie skorzystają państwa, których przywódcy konsekwentnie orientowali się na zwycięstwo republikanina. Na przykład Węgry Viktora Orbána. A my?

Przynajmniej od momentu odzyskania niepodległości w 1918 r. ciągle uważamy, że jeszcze chwila, a będziemy 50. stanem USA. Otóż 50. stanem Ameryki nigdy nie będziemy. Współpraca z USA opłaca się nam z wielu powodów. Najważniejszy z nich dotyczy naszej mentalności narodowej. Ameryka jest dla nas dobrym partnerem geostrategicznym, bo jest daleko. Gdyby była blisko, po sąsiedztwie, to pewnie byśmy się z nią już wiele razy

pozarli, jak to u sąsiadów bywa. Wracając do pańskiego pytania o wybory w Polsce: uważam, że o ich wyniku zdecydują najbliższe cztery miesiące. Przede wszystkim sytuacja w gospodarce, a nie jakieś projekty światopoglądowe czy ruchy w polityce społecznej.

Dlaczego akurat cztery miesiące? Spodziewa się pan tąpnięcia w gospodarce?

Wręcz przeciwnie. Uważam, że jeśli prezydentura Trumpa przyczyni się do nakręcenia koniunktury w USA, a gospodarka w Niemczech się podniesie, bo impulsem dla niej będą przedterminowe wybory i możliwa zmiana polityczna, to również gospodarka polska dostanie szansę, z której będzie mogła skorzystać. Patrząc w przyszłość z nadzie-

ją, pod warunkiem że zapowiedzi rządu składane po ubiegłorocznych wyborach w zakresie polityki gospodarczej będą realizowane. Czyli umowa koalicyjna w części gospodarczej, po pierwsze, a nie w części dotyczącej kwestii światopoglądowych, których w umowie koalicyjnej prawie nie wpisano.

Abstrahując od stanu gospodarki, na razie wszystkie sondaże wskazują, że zwycięzcą wyborów prezydenckich będzie kandydat wysunięty przez koalicję rządzącą. Kto nim będzie? Czy Trzecia Droga wystawi swojego kandydata?

W mojej ocenie już jeden kandydat został odrzucony definitywnie przez Tuska. Wydaje mi się, że nie do końca rozważnie.

Kogo pan ma na myśli? Hołownię?

To nie musiał być Hołownia. Odpowiednich kandydatów naprawdę można znaleźć. Nie jest problemem znalezienie mądrych ludzi, którzy spełnialiby kryteria wymagane od prezydenta Rzeczypospolitej. Jestem przekonany, że tych kandydatów po stronie demokratycznej będzie minimum troje, jeśli nie czworo. My na pewno, jako Trzecia Droga albo PSL, wystawimy kandydata. Mamy jeszcze czas i sprawa nie jest zamknięta. Lewica jasno deklaruje, że wyborów prezydenckich nie odpuszcza. Nie wiadomo, czy wystawią Gawkowskiego czy kogoś z tria żeńskiego. Czas pokaże. W Platformie mamy prawyborcy.



FOT. RAFAŁ GUL/PAP

To dobry pomysł pana zdaniem? Poprzednie prawyborcy w PO z udziałem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i Jacka Jaśkowiaka były mocno niefortunne.

To jest świetny pomysł, bo przez dwa tygodnie, do 23 listopada, media koncentrują się na rywalizacji Trzaskowskiego z Sikorskim, nie zajmując się innymi podmiotami politycznymi. Uważam, że Tusk zagrał świetnie, bo lepiej mówić o osobach niż o problemach, a jednocześnie wyłączyć z tej dyskusji konkurencję polityczną, zarówno tę wewnątrzkoalicyjną, jak i opozycyjną. Teraz to nie ma znaczenia. Ważne, żeby o nas mówili i na razie nazwisk Trzaskowskiego i Sikorskiego nikt nie myli. W związku z tym ruch Tuska jest jak najbardziej politycznie trafiony. Natomiast pozostała część sceny politycznej, na czele z główną partią opozycyjną, została w blokach.

Jeśli chodzi o kandydatów, których – jak pan powiedział – na razie nikt nazwisk nie myli, czyli Sikorskiego i Trzaskowskiego, to w wypowiedziach publicznych opowiadał się pan raczej za tym pierwszym, argumentując to większym doświadczeniem Sikorskiego w sprawach bezpieczeństwa.

Z punktu widzenia interesów Polski – czy to będzie kandydat Platformy Obywatelskiej, czy Prawa i Sprawiedliwości – jest to nadal podtrzymywanie duopolu politycznego. W mojej ocenie od 2005 r. wcale nas to nie wzmacnia. Widać wyraźnie, że oba te środowiska będą pilnowały i podgrzewały ogień wzajemnej rywalizacji, żeby nie powiedzieć – nienawiści. Według mnie często udawanej, bo programowo PO i PiS aż tak bardzo się nie różnią. Gdyby pojawił się trzeci silny kandydat – tak jak to było w ostatnich wyborach prezydenckich, gdzie mieliśmy Kukiza czy Hołownię – to wcale nie-wykluczone, że do drugiej tury mogłby wejść ktoś spoza tego duopolu. Gdyby tak się stało, to moim zdaniem wygrałby drugą turę w cuglach.

Władysław Kosiniak-Kamysz ma papiery, żeby odegrać rolę czarnego konia i zwyciężyć drugą turę w cuglach?

Ma papiery, ale nie wystartuje. Mówię, że PSL w pierwszej turze nie powinno wystawić kandydata, a zrobić to w drugiej turze, bo de facto ten, którego poprze elektorat Polskiego Stronnictwa Ludo-

wego w drugiej turze, wygra wybory prezydenckie.

Nie odpowiedział pan na moje pytanie dotyczące przewagi Sikorskiego na Trzaskowskim.

Jeśli chodzi o doświadczenie polityczne, to oczywiście Radosław Sikorski ma dużo większe. Był zarówno ministrem obrony, jak i szefem MSZ, ma obycie na arenie międzynarodowej. Z punktu widzenia relacji transatlantycznych, sytuacji geostrategicznej, zagrożenia ze strony Rosji Sikorski jest bardziej czytelny niż Trzaskowski. Ten drugi jest sympatycznym politykiem, tymczasem świetnie wykazuje się jako prezydent Warszawy, natomiast jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to poza epizodem związanym z pracą w Komitecie Integracji Europejskiej cała reszta jest przez niego nie praktykowana.

Trzaskowski ze względu na swoje radykalnie lewicowe poglądy jest nie do zaakceptowania dla wielu Polaków. Jak się wydaje, również tych utożsamiających się z politycznym centrum.

Myślę, że kwestie dotyczące tych radykalnych agend rozstrzygniemy w Sejmie jeszcze przed wyborami prezydenckimi i ta sprawa zostanie zamknięta. A jakie wnioski wyciągnie z tego Platforma Obywatelska? To już jest problem Platformy Obywatelskiej.

Powiedział pan, że PiS przespał moment ogłoszenia przez Tuska prawyborów w Platformie Obywatelskiej. Czy na pewno? Być może Prawo i Sprawiedliwość ma już w zanadru cudowną broń na wybory prezydenckie. Kandydata, który może zagrozić zarówno Sikorskiemu, jak i Trzaskowskiemu.

Panie redaktorze, nie dałbym sobie uciąć palca w sprawie wyniku prawyborów w Platformie Obywatelskiej. One są, ale jakie będzie rozstrzygnięcie – to jedno, a jaka będzie ostateczna decyzja Donalda Tuska – to drugie. Więc nic przez te prawyborcy PiS nie dostał na tacy. PiS pozostaje w defensywie. Nadal sonduje kandydata i – jak wiemy – w tej chwili wybór jest na tyle szeroki, że Kaczyńskiemu trudno jest podjąć decyzję. I tak jak 10 lat temu podczas Święta Niepodległości lojalność wobec niego ogłosił Zbigniew Ziobro, tak obecnie nie znalazł on środowiska, które zadeklarowałoby swoją lojalność na wybory prezydenckie. A wręcz odwrotnie – Kaczyński przyłą-

czył się do narodowców, biorąc udział w Marszu Niepodległości, umizgując się o elektorat tego środowiska w ewentualnej drugiej turze przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Nie był tam zaproszony, a nawet nie był tam oczekiwany, a jednak mimo wszystko poszedł. Widać wyraźnie, że Kaczyński zdaje sobie świetnie sprawę, że jest w defensywie, i szuka sposobów, żeby utrzymać pozycję lidera opozycji.

Takie okoliczności mogą sprzyjać niespodziewanym scenariuszom, kandydatom nieoczywistym w rodzaju Michała Rachonia czy innego „polskiego Trumpa”?

Gdyby Rachon, że tak powiem, podrygował orkiestrą, byłoby naprawdę wspaniale (śmiech). Są granice śmieszności uprawiania polityki. Wymieniając to nazwisko jako kandydata na prezydenta, te granice pan przekroczył. Rozumiem, że stryjeczny dziadek nazwisko wywindował. Jednak osobowość pana Rachonia sprawia, że Polska chyba na takiego prezydenta nie zasłużyła.

Co miał pan na myśli, mówiąc, że wynik prawyborów w Platformie to jedno, a decyzja Tuska to drugie? Tusk mógłby zlekceważyć partyjny plebiscyt?

Nigdy nie śmiałybym powiedzieć, że Tusk miałby cokolwiek zlekceważyć. Tusk jest na tyle doświadczonej, sprawnym i sprytnym politykiem, że świetnie to zaproponował, i jestem przekonany, że jeszcze lepiej wykorzysta to finalnie. Ale jak ostatecznie będzie, nie chcę prorokować. W mojej ocenie tak jak przed prawyborami tak i po prawyborach kwestia kandydata Platformy Obywatelskiej na prezydenta jest otwarta.

Jest szansa, że w przyszłorocznych wyborach prezydenckich objawi się kandydat, który będzie realnym zagrożeniem dla duopolu PiS-PO?

Uważam, że tak. Proszę przypomnieć sobie choćby wrzutkę z panią Gawryluk. Pierwsze sondaże nie były dla niej zniechęcające. Nie jest to kandydatka przypadkowa ani niebrana pod uwagę, choć ona sama zaprzeczyła. Wrzutki à la pan Rachon są możliwe, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że po stronie Telewizji Republika nie będzie żadnego ruchu niezgodziona z Jarosławem Kaczyńskim.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Duopol panów Kaczyńskiego i Tuska, którzy podzielili między siebie plemienną scenę polityczną, jest być może największym nieszczęściem polskiej polityki. Warunkiem przełamania tego fatalnego układu jest odejście od myślenia w kategoriach „mimo wszystko PiS” lub „mimo wszystko Platforma”

Mimo wszystko PiS” – tak najkrócej można by streścić tekst Rafała A. Ziemkiewicza „Konfederacja we mgle”, w którym doradza partii Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena, aby zrezygnowała z zasady trzymania równego dystansu wobec dwóch hegemonów sceny politycznej. I choć Rafał trafnie identyfikuje niektóre problemy Konfederacji, to wnioski wyciąga błędne, a opiera się na przesłankach sprzecznych z badaniami, które niedawno poznaliśmy.

Od tego ostatniego wątku zaczniemy. Mój redakcyjny kolega twierdzi – i na tym opiera swój wywód – że praktycznie nie istnieje przepływ z PiS do Konfederacji (czyli że partia ta jest dla wyborców PiS nieatrakcyjna) oraz że jej elektorat jest równie niestabilny jak przed wyborami w 2023 r., gdy Konfederacja poniosła – trzeba to tak nazywać – porażkę, osiągając połowę z wyniku, który dawały jej sondaże dwa, trzy miesiące przedtem.

Tak się składa, że niedawno opublikowano bardzo interesującą diagnozę polityczno-społeczną panów Przemysław Sadury i Sławomira Sierakowskiego, zatytułowaną „Ukryty kryzys władzy”. Jej autorzy przeprowadzili klasyczne sondaże oraz serię badań fokusowych, chcąc bliżej poznać motywację wyborców. Wnioski dotyczące Konfederacji zawarte w tym opracowaniu są zgoła przeciwne do tych, które – trudno powiedzieć, na jakiej podstawie – formułuje Rafał A. Ziemkiewicz. Ba, rozdział poświęcony tej partii zatytułowano „Konfederacja na

drodze do 20 proc. poparcia”. A dodać trzeba, że obaj panowie są ściśle związani ze środowiskami lewicy, trudno więc założyć, żeby „spinowali” wizerunek konfederatów.

RÓŻNE MOTYWACJE

Po pierwsze – Sadura i Sierakowski stwierdzają, że elektorat Konfederacji jest dzisiaj w dużej mierze inny niż w przededniu wyborów parlamentarnych. Wówczas był to faktycznie elektorat labilny, którego znaczna część w ostatniej chwili postanowiła zmienić plan i zagłosowała na PiS lub Trzecią Drogę pod wpływem propagandowych impulsów. Dzisiaj wyborcy Konfederacji to elektorat znacznie stabilniejszy.

Wskazuje na to przeprowadzone przez autorów raportu badanie struktury motywacji poszczególnych grup wyborców. W badaniu wskazano respondentom

po trzecie – finanse państwa wyglądają fatalnie, więc byłoby to niemożliwe, nawet gdyby PiS był u władzy. Można zatem założyć, że ta grupa wyborców będzie od PiS odpływać – choć raczej nie do Konfederacji. W jej przypadku interesowna motywacja jest niewielka – wskazuje na nią tylko 16 proc. Nic dziwnego, skoro mówimy o ugrupowaniu, które programowo sprzeciwia się rozdawnictwu socjalnemu.

Spójrzmy na zestawienie dotyczące partii drugiego wyboru i partii odrzuconych przez elektoraty. W Konfederacji 57 proc. za partię drugiego wyboru uważa PiS – reszta to ugrupowanie odrzuca. W relacji odwrotnej jest to 59 do 41 proc. (wyborcy PiS są minimalnie bardziej chętni głosować na Konfederację niż odwrotnie). Trzecią Drogę wśród wyborców Konfederacji jako drugi wybór wskazuje już jedynie 25 proc., podczas gdy aż 34 proc. wyborców TD wskazuje Konfe-

Mimo wszystko

cztery możliwości. Po pierwsze – głosowanie z pełnym przekonaniem i wiarą w przesłanie „mojej” partii. Po drugie – głosowanie na tę partię jako „mniejsze zło”. Po trzecie – głosowanie interesowne: partia dba o „ludzi takich jak ja” i daje im państwowe pieniądze. Po czwarte – inna przyczyna. Co ciekawe, największą grupę „fanatycznych” wyborców, czyli powołujących się na pierwszą motywację, ma Koalicja Obywatelska (co może tłumaczyć wiele twardych działań Donalda Tuska): aż 48 proc. Jednocześnie 39 proc. głosuje na KO jako na „mniejsze zło. W przypadku Konfederacji te dwie grupy – „fanatyków” i zwolenników „mniejszego zła” – są niemal równe: 39 i 37 proc. Natomiast w przypadku PiS grupa fanatyków – 37 proc. – jest prawie równa grupie wyborców interesownych – 33 proc.

Co to oznacza? Że jedna trzecia wyborców PiS będzie skłonna zostawić tę partię „dla pieniędzy”. Na dodatek PiS nie może już zaoferować „łapówek” wyborczych, bo – po pierwsze – nie rządzi, po drugie – KO utrzymała socjalne rozdawnictwo, a nawet je powiększyła, odbierając PiS ten atut,

derację jako partię drugiego wyboru – to największa grupa po wyborcach PiS.

„W tej chwili mamy do czynienia z sytuacją, w której nagłośnienie afer i nadużyć PiS z czasów sprawowania rządów powodują, że przepływ może być raczej jednokierunkowy, w stronę Konfederacji. Wyborcy PiS pytani w wywiadach grupowych o ulubionego polityka najczęściej wskazują Krzysztofa Bosaka z Konfederacji. I to właśnie Bosak powinien być twarzą Konfederacji, jeśli ma przyciągać wyborców” – konkludują Sadura z Sierakowskim.

Po drugie – wspomniany przepływ. Nie jest prawdą to, co napisał Ziemkiewicz: że przepływ z PiS do Konfederacji praktycznie nie istnieje. Ba, jest to akurat jedyny odnotowywany w badaniu przepływ z grupy wyborców PiS! Nie jest ogromny, bo wynosi 6 proc., ale wartości dla innych ugrupowań są pomijalne. 24 proc. wyborców PiS deklaruje zaś, że nie zagłosowałoby w ogóle. W drugą stronę jest inaczej – wyborców Konfederacji deklarujących przeniesienie głosu na PiS jest jedynie 2 proc. Zatem wyborcy PiS są trzy razy bardziej skłonni

przenieść głosy na Konfederację niż odwrotnie.

Po trzecie – Konfederacja ma spory rezerwuwar wśród wyborców niezdecydowanych. W raporcie Sierakowskiego i Sadury czytamy: „Wyborcy niezdecydowani, którzy wahają się, na kogo zagłosować, najbardziej skłaniają się do PiS (17 proc.) i KO (15 proc.). Trzecia jest Lewica, będąca partią pierwszego wyboru dla 10 proc. wahających się. Z kolei wśród wyborców zdemobilizowanych (deklarujących, że nie pójdą głosować) największe poparcie ma Koalicja Obywatelska (partia pierwszego wyboru dla 29 proc. osób w tej grupie), PiS (wyraźnie mniej, bo 22 proc.) i Konfederacja (19 proc.)”.

Po czwarte – dużym atutem Konfederacji jest Krzysztof Bosak, który – taki jest wniosek z badań fokusowych – cieszy się sympatią i poważaniem nawet wyborców drugiej strony politycznej

nie PiS

sceny. Inna sprawa, czy partia umie ten swój atut wykorzystywać.

ALTERNATYWA DLA DUOPOLU

Rafał A. Ziemkiewicz uważa, że przypominanie o winach PiS z przeszłości i trzymanie równego dystansu do obu zwalczających się plemion faktycznie sytuuje Konfederację bardziej po stronie obecnej władzy i jest błędem. Nic bardziej mylnego. Nie jest tak, jak wydaje się sugerować mój kolega, że wypominanie PiS przeszłości jest skutkiem jakichś resentymentów czy emocji liderów Konfederacji. To przemyślana strategia, wynikająca z trafnej diagnozy możliwości, które stwarza obecny układ. Ziemkiewicz stwierdza bowiem – i to jest być może najsłabszy punkt jego wywodu: „W sytuacji, gdy Tusk coraz ostrzej przechodzi na pozycję »woke«, szermuje aborcją i przejmuje agendę lewicy wraz z jej elektoratem, i gdy wiernie służy idei niemieckiego »państwa europejskiego«, realizacja jakichkolwiek postulatów programowych Konfederacji we współpracy z obozem dziś rządzącym jest zwyczajnie niemożliwa, a tym samym Konfederacja

skazana jest na dogadanie się w ten czy inny sposób z PiS. Nie oznacza to, że partie muszą się kochać już teraz, ale ich liderzy (dotyczy to również chorującego na nabyte w dalekiej przeszłości antyendeckie i antykorwinowskie fobie Kaczyńskiego) mają obowiązek pamiętać o tym, by nie posuwać się do rzeczy, które przyszlą współpracę znacząco utrudniając”.

Otóż Konfederacja absolutnie nie jest „skazana” na dogadanie się z PiS takim, jakim on jest obecnie – z Jarosławem Kaczyńskim na czele. Ba, byłoby to dla niej zabójcze – jakkolwiek trwanie partii panów Bosaka i Mentzena na pozycji kontestatorów niemających wpływu na rządzenie faktycznie jest w dłuższym okresie ryzykowne. Jak jednak pokazuje przykład AfD w Niemczech – wcale nie musi się skończyć spadkiem poparcia. Tam także CDU/CSU próbuje przejmować ton i postulaty Alternatywy dla Niemiec, a też sama AfD ma nawet trudniejszą sytuację niż Konfederacja, ponieważ jest otoczona kordonem sanitarnym. Ba, dopiero co 113 posłów do Bundestagu podpisało deklarację o konieczności delegalizacji partii Alice Weidel.

Konfederacja zbudowała się jako alternatywa dla duopolu i uderzałaby sama w tę podstawę swojego istnienia i poparcia, gdyby nagle zaczęła flirt z PiS. W dodatku PiS pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego – co skądinąd zauważa sam Ziemkiewicz – jest wybitnie niechętny partii Mentzena i Bosaka, starając się ją cały czas zwalczać. Liderzy Konfederacji mogą zatem zakładać w przyszłości układ z Prawem i Sprawiedliwością, ale nie z PiS pod przywództwem Kaczyńskiego. Los Suwerennej Polski, a wcześniej, w latach 2005–2007, ówczesnych koalicjantów PiS jest wystarczającym ostrzeżeniem. Jarosław Kaczyński jest partnerem skrajnie niewiarygodnym, otwarcie deklarującym sprzeciw wobec jakiegokolwiek refleksji i zmiany linii. Nawet jeśli między PiS a Konfederacją istnieje pewien wspólny element ideowy, to różnice są również ogromne. Przede wszystkim w sferze gospodarczej, w podejściu do państwa, osobistej wolności, a także polityki wobec UE, gdzie w przypadku PiS mamy ostry rozjazd między warstwą retoryczną a warstwą faktów.

Obaj główni liderzy Konfederacji (Rafał A. Ziemkiewicz twierdzi, że ta partia ich nie ma) są długodystansow-

cami. Akurat w ich przypadku strategia oczekiwania, aż okoliczności będą im sprzyjać jeszcze bardziej, ma sens. Słusznie zauważa Ziemkiewicz, że PiS stara się kopiować Konfederację choćby w ostrym sprzeciwie wobec Zielonego Ładu – choć sam ten Zielony Ład z radością przyjmował. I właśnie dlatego – kompletnie odwrotnie, niż zaleca Rafał – Konfederacja ma jak najbardziej interes w wypominaniu PiS poczyniń z okresu ich rządów. W przeciwnieństwie do PiS dysponuje bowiem walutą liczącą się w momencie wyborów: wiarygodnością. Przypominanie PiS, jak dokonywało kolejnych koncesji z naszej suwerenności, jest wzmacnianiem kursu tej waluty.

SZKODLIWE MYŚLENIE

Wszystko to nie znaczy, że Konfederacji nic dzisiaj nie zagraża. Owszem – jest jej problemem pewna niespójność przekazu czy nawet momentami jego niewyraźność. Są problemem bardzo duże napięcia wewnętrzne, choć z problemu z wyborem kandydata na prezydenta Konfederacja wybrnęła akurat w sposób nadzwyczaj dojrzały – poprzez rezygnację jednego z liderów z jego własnych ambicji, przynajmniej na jakiś czas. Problemem może być wreszcie wynik Sławomira Mentzena w pierwszej turze wyborów prezydenckich, jeśli będzie niższy niż wynik całej partii w październiku 2023 r. – na to się jednak nie zanosz. W najnowszym sondażu kandydat Konfederacji notuje od 10,7 do 11,5 proc. (w zależności od hipotetycznego kandydata KO) i w obu przypadkach plasuje się na trzecim miejscu.

Abstrahując wreszcie od względów taktycznych czy nawet strategicznych, ale dotyczących potencjalnych korzyści czy strat Konfederacji – duopol panów Kaczyńskiego i Tuska, którzy podzielili między siebie plemienną scenę polityczną, jest być może największym nieszczęściem polskiej polityki. Warunkiem przełamania tego fatalnego układu jest odejście od myślenia w kategoriach „mimo wszystko PiS” lub „mimo wszystko Platforma”. Z tego punktu widzenia domaganie się od Konfederacji, aby porzuciła podejście oparte na równym dystansie wobec obu biegunów – nawet jeśli pod pewnymi względami do jednego z nich jest jej teoretycznie bliżej – jest zwyczajnie szkodliwe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Radosław Wojtas

Kiedy szefowa Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej składa rezygnację, minister kultury przyjmuje ją z żalem, lecz kiedy ta pierwsza próbuje rezygnację wycofać, pani minister mówi, że mowy nie ma, a do prokuratury trafia doniesienie na dyrektora PISF. – Niezłe kino moralnego niepokoju – sarkają ludzie ze środowiska. – U nas jest jeszcze ciekawiej! – mogliby śmiało licytować stypendyści środków dystrybuowanych przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Szczegóły tej rozmowy miały nigdy nie wyjść poza cztery ściany najważniejszego gabinetu w pałacu Potockich przy Krakowskim Przedmieściu 15. W środę 30 października u urzędującej w tym gabinecie minister kultury Hanny Wróblewskiej stała się dyrektorką Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej, Karolina Rozwód. Tego samego dnia na stronie internetowej MKiDN pojawił się krótki komunikat: „Karolina Rozwód, dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, złożyła rezygnację ze stanowiska. Rezygnacja została złożona z dniem 30 października br. Ciągłość działania Instytutu jest zachowana. Wybór nowego dyrektora nastąpi w drodze konkursu”.

Było to dość zaskakujące, bo pięcioletnia kadencja zakończyła się już po czterech miesiącach. Rozwód została powołana 4 lipca, rada PISF wybrała ją niemal jednogłośnie z grona 13 kandydatów. Minister Wróblewska wyrażała wówczas nadzieję na nowe otwarcie w instytucji, w której pod poprzednim kierownictwem miało dochodzić do wielu nieprawidłowości, a ich efektem są wnioski składane do prokuratury.

Minister Wróblewska ubolewała nad rezygnacją dyrektora PISF (– Jest mi



Ministerstwo kultury i chaosu

bardzo przykro. Pani Karolinie Rozwód jest też bardzo przykro. Włożyła ogromną energię przez te cztery miesiące w pracę w tym instytucie. Niemniej zdecydowała się na złożenie rezygnacji – mówiła w jednym z wywiadów. – Doceniam to, co zrobiła, a w przestrzeni publicznej zaczęto przypominać, że nie jest to pierwsza taka decyzja zawodowa Karoliny Rozwód. Na początku 2024 r. zrezygno-

wała z funkcji dyrektora Teatru Starego w Lublinie, którą piastowała przez 12 lat, a w maju 2024 r. zarzuciła dyrektorską (które rozpoczęła w lutym 2024 r.) poznańskiemu festiwalowi teatralnemu Malta. Minister Wróblewska ze zrozumieniem pochylała się nad osobistymi powodami tej przykrych dla wszystkich rezygnacji (– [PISF] to nie jest łatwa instytucja – podkreślała), a postronni obserwatorzy od-

Karolina Rozwód twierdzi, że złożyła rezygnację z funkcji dyrektora Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej, bo poczuła się zastraszana

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

wanej dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej brali udział minister kultury Hanna Wróblewska oraz dyrektor Departamentu Prawa Autorskiego i Filmu Maciej Dydo. Z pisma, w którym Karolina Rozwód wycofywała złożoną rezygnację, dowiadujemy się, że na wezwaną przed oblicze pani minister czekała propozycja nie do odrzucenia.

Rozwód pisała: „W trakcie spotkania z Panią Minister poinformowano mnie, że w związku z podpisaniem powyższej umowy [o dofinansowanie filmu »Ministranci«, o tym dalej] mogę mieć problemy z prokuraturą. Wywołało to we mnie potężny stres; po raz pierwszy w moim życiu zawodowym zostałam postawiona w takiej sytuacji. W mojej ocenie była to próba wywarcia na mnie presji, bym złożyła rezygnację ze stanowiska. Pani Minister poinformowała mnie także, że jeśli chcę uniknąć wszczęcia postępowania odwoławczego, mogę sama zrezygnować z funkcji. Na decyzję pozostawiła mi 15 minut. Moja prośba o dokończenie rozmowy w dniu kolejnym spotkała się z odmową Pani Minister. Pani Minister miała już wydrukowany stosowny dokument – przedłożyła mi do podpisania w »moim« imieniu pismo o zrzeczeniu się funkcji dyrektora – jak rozumiem, przygotowane na ministerialnych urządzeniach. W związku z powyższym, działając w zastraszaniu, pod presją i w stresie złożyłam rezygnację”.

OKO.press ujawnił kolejny szczegół z 30 października. Według relacji portalu odwołana dyrektor wróciła do PISF roztrzęsiona. „Opowiedziała, co się wydarzyło. Dodała, że według dzentelmeńskiej umowy z ministrem informacja o jej rezygnacji ukaże się następnego dnia, ale nagle rozdzwoniły się telefony. Ludzie z branży dopytywali się, czy to aby nie fake news, że Rozwód odchodzi. Ministerstwo opublikowało komunikat już tego samego dnia”.

Z „dzentelmeńskiej umowy” dwóch pań niewiele zostało, a Karolina Rozwód – po konsultacji z prawnikiem – próbowała wycofać swoją rezygnację. Bezskutecznie – twierdzi pani minister i podkreśla: „Karolina Rozwód przestała pełnić funkcję Dyrektora PISF w dniu 30.10.2024 r. Nie ma odwołania od tej decyzji”. Co z zastraszaniem? W jednym z wywiadów Hanna Wróblewska mówiła: „Nie identyfikuję się

Wiele wskazuje na to, że propozycję nie do odrzucenia może od minister Wróblewskiej usłyszeć niebawem Paula Lis-Sołoducho, dyrektor Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca

z opisem rozmowy, który ona przedstawiła ostatnio w mediach. Nie było żadnych nacisków, nie było żadnych szantaży, nie było żadnych presji. Każda z nas wytłuma- czyła sobie pewne kwestie i podjęła takie, a nie inne decyzje”.

Ale to nie koniec, bo 6 listopada, czyli dzień po próbie wycofania rezygnacji, PISF złożył do prokuratury doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Rozwód, a minister kultury zaostrzyła ton: „Konfrontacyjny charakter wypowiedzi Pani Karoliny Rozwód nie może odwracać uwagi od działań na szkodę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (PISF), które zostały wykryte. Instytut złożył zawiadomienie w sprawie usiłowania oraz popełnienia przestępstwa z art. 296 § 1 k.k. w zw. z art. 12. Uzupełnia ono jedno z doniesień, które złożył PISF, w którego toku prowadzone jest śledztwo. Nie ma zgody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na kontynuację praktyk, które były przedmiotem zawiadomień złożonych do prokuratury i CBA na działalność Radosława Śmigulskiego”.

Chodzi m.in. o dotację dla Aurum Film Bodzak Hickinbotham Walter na film „Ministranci” w reżyserii Piotra Domalewskiego. Wniosek o dofinansowanie został odrzucony w sierpniu 2023 r. (dyrektorem PISF był wtedy Radosław Śmigulski) na drugim etapie postępowania z powodu braku środków. Złożone od razu odwołanie rozpatrzone (pozytywnie) dopiero 13 grudnia 2023 r. i podpisano promesę dotacji w wysokości 4 mln zł. Leszek Bodzak z Aurum Film Bodzak Hickinbotham Walter podkreślał w rozmowie z OKO.press, że „Śmigulski przekroczył terminy, bo zgodnie z prawem miał tylko 30 dni na rozpatrzenie odwołania Aurum Film, a zareagował po pięciu miesiącach”.

nieśli wrażenie, że pani Rozwód, zapewne osoba o delikatnej konstrukcji psychicznej, połamala sobie zęby na instytucie, w którym zastała tyle nieprawidłowości po poprzedniku. Instytucie, w którym ściera się wiele interesów, a stawką tych tarć są setki milionów złotych (tegoroczny budżet PISF na programy operacyjne to 314 mln zł, na zachęty – 148 mln zł, a na działalność operacyjną – 37 mln zł).

Nagły zwrot w sprawie nastąpił 5 listopada, kiedy to Karolina Rozwód postanowiła pokazać, że nie tylko zębów nie połamala, lecz także chce się bronić i gotowa jest kasać. Wycofała rezygnację, sformułowała poważne oskarżenia o zmuszeniu jej do ustąpienia z funkcji.

PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

Wróćmy zatem do gabinetu w pałacu Potockich. Co wydarzyło się w nim 30 października? Tego dokładnie nie wiemy, ale poznaliśmy relację jednej ze stron i jeśli jest ona zbliżona do rzeczywistych wydarzeń, to nie była to miła pogawędka. W spotkaniu oprócz odwoły-

■ Jednak – pisze dalej Piotr Pacewicz – „od wielu rozmówców i rozmówczyń słyszę, że takie były zawsze standardy w PISF, to nikogo ani nie dziwi, ani nie oburza”. Kierownictwo PISF z Karoliną Rozwód na czele uznało, że dochodzenie dochodzeniem, ale tymczasem nie ma podstaw do wstrzymywania przyznanych dotacji.

Jednak wypłata tych środków może być tylko pretekstem do pozbycia się dyrektora PISF. Mówi się o konflikcie Karoliny Rozwód i jej zastępczyni (pełniącej obowiązki dyrektora po zwolnieniu Śmigulskiego) Kamili Dorbach. W połowie października Rozwód chciała nawet zwolnić swoją zastępczynię, ale Hanna Wróblewska miała się na to nie zgodzić. Według informacji OKO.press Dorbach („protegowana Macieja Dydo oraz wiceministra Andrzeja Wyrobca”) miała stwierdzić, że nie wiedziała o podpisaniu przez Rozwód umowy z Aurum Film, co pracownicy instytutu mieli odebrać jako cyniczne umywanie rąk. Pikanterii sprawie dodają takie smaczki jak „zniknięte” zdjęcie z informacji na stronie MKiDN o mianowaniu Rozwód na dyrektora PISF. Na zdjęciu obok Karoliny Rozwód trzymającej dyplom powołania na dyrektora PISF stali minister kultury Hanna Wróblewska oraz wiceminister kultury Andrzej Wyrobiec i wicedyrektor PISF Kamila Dorbach. Teraz informację o nominacji ilustruje tylko jedno zdjęcie, na którym jest Rozwód i Wróblewska.

OBERKI I PAPIERKI

Wiele wskazuje na to, że propozycję nie do odrzucenia może od minister Wróblewskiej usłyszeć niebawem Paula Lis-Sołoducha, dyrektor Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca. Jak ujawniła „Gazeta Wyborcza”, minister kultury wysłała już pisma do związków zawodowych o „opinię w związku z zamiarem odwołania Pauli Lis-Sołoduchy z funkcji dyrektora przed terminem zakończenia jej kadencji”.

Powodem jest katastrofa przy realizacji przez NIMiT programu dotacyjnego KPO dla kultury. W ramach programu przeznaczono 112 mln zł na 1503 granty i 15 mln zł do podziału na 533 stypendystów. Chaos, biurokracja i niejasne przepisy sprawiły, że środki, które miały być rozdysponowane do końca roku, otrzymało dotychczas – jak podaje „GW” – ok. 500 podmiotów. Beneficjenci programu wskazują np., że wymagano

od nich przesłania do instytutu umowy ze wszystkimi załącznikami w trzech egzemplarzach. Razem nawet po 200 stron, a każda z nich musiała być parafowana. Wymagano też podpisania weksla in blanco „w celu zabezpieczenie środków publicznych na wypadek kłopotów z rozliczeniem z beneficjentami”. Jeśli wziąć pod uwagę to, że maksymalna wysokość stypendium to 30 tys. zł, to nie ma się co dziwić, że niektórzy stypendyści uznali, iż skóra nie jest warta wyprawki i zrezygnowali z pieniędzy.

**Agnieszka Holland
stwierdziła, że temat zmian
w PISF zepchnął w jej
środowisku w cień nawet
wybór Donalda Trumpa
na prezydenta Stanów
Zjednoczonych**

Zirytowani do granic stypendyści wymieniają się doświadczeniami i poradami w facebookowej grupie „KPO dla kultury – grupa wsparcia”. Narzekają na chaos, brak kontaktu z kimkolwiek z Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca, opóźnienia. O pomoc poprosili Rzecznika Praw Obywatelskich. Wysłali do niego pismo podpisane przez kilkadziesiąt osób. „Przystąpiliśmy do Programu stypendialnego KPO dla kultury w dobrej wierze, ufając, że konkurs organizowany przez instytucję narodową, wskazaną przez MKiDN, zostanie przeprowadzony zgodnie z zapisami Regulaminu [...]” – piszą stypendyści. I punktuja swoje zastrzeżenia, a są to m.in. naruszenie regulaminowego terminu ogłoszenia wyników naboru i podpisania umów, korekta treści regulaminu po zamknięciu naboru wniosków, niezgodne z regulaminem procedowanie podpisywania umów, chaos informacyjny, brak komunikacji, wprowadzanie w błąd, nieregulaminowe i niezgodne z umową wymogi, kłamstwa i działania pozorowane, przekazy o charakterze zastraszającym.

„Czujemy się oszukani przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Naro-

dowego. Oczekujemy zadośćuczynienia naszym stratom moralnym i finansowym, przejścia pełnej odpowiedzialności za uchybienia i naruszenia przy realizacji Programu stypendialnego KPO dla kultury przez instytucje wyznaczone do jego przeprowadzenia” – piszą stypendyści do RPO. I podkreślają: „Zaistniała sytuacja uporczywie trwa mimo wielokrotnego jej sygnalizowania Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które jest instytucją nadrzędną wobec NIMiT, odpowiedzialną za realizację Inwestycji, a więc samego Programu stypendialnego KPO dla kultury. Nie zmieniła się ona mimo listu środowiska skierowanego do Ministerstwa przez Gildię Reżyserów i Reżyserów Teatralnych w dn. 04.10.2024 oraz artykułów prasowych i wezwań do interwencji, zamieszczanych na portalach społecznościowych”.

TRUDNO NIE WIERZYĆ W NIC

Środowiska artystyczne, które trudno posadzać o sympatie względem poprzedniej władzy, dały nowemu rządowi i Hannie Wróblewskiej duży kredyt zaufania. Ale zaczynają z tego rozliczać. Gorzko dla minister kultury musiały zabrzmieć słowa Agnieszki Holland, która na wspólnym Kongresie Kultury („Potraktujmy to wydarzenie jak spotkanie dla nowego otwarcia, dzięki któremu będziemy mogli się wzajemnie usłyszeć” – pisała o tym wydarzeniu minister Wróblewska) odniosła się do sytuacji w PISF. – Głównym moim uczuciem, gdy zapoznałam się z tymi zdarzeniami, było poczucie strasznego smutku, bo wszystkie zapewnienia o tym, że będzie inaczej, transparentnie, sprawiedliwie, a wszystko wolne i niezależne, ludzi zaś oraz ich podmiotowości będzie się szanować, to wszystko, co wydawało wartością, której nie możemy porzucić, w tej chwili właściwie nie jest pewne. Bo jeżeli nawet ludzie, których szanuję, których objęcie władzy w resortach mi bliskich przyjął z ogromną ulgą i radością, jeśli oni zachowują się w taki sposób, to komu ja mam wierzyć? – pytała Holland.

Stwierdziła, że temat zmian w PISF zepchnął w jej środowisku w cień nawet wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czy można wyobrazić sobie porównanie większego kalibru?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wypowiedź kard. Nycza wywołała olbrzymie kontrowersje. Metropolita warszawski stwierdził, że „jakaś tolerancja wobec poglądów ludzi”, którzy chcieliby związku innego niż małżeństwo, musi być „ze strony wierzących i Kościoła”

FOT. PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

Nie dla pseudomałżeństw!



Krystian Kratiuk

Katolicki opór wobec „związków partnerskich” nie wynika wyłącznie z przekonań religijnych czy ideologicznych

W kontekście tego sporu wszystkie role wydawały się być rozpisane. Prawica miała być przeciw, lewica za, PSL miał być języczkiem u wagi, a Kościół miał wyraźnie przypomnieć swoje nauczanie w tej sprawie. Po wywieszeniu przez Rządowe Centrum Legislacji na stronach internetowych projektu ustawy o „związkach partnerskich” wiele z tych przewidywań się sprawdziło – oprócz oficjal-

nego sprzeciwu Kościoła. Ten bowiem na razie nie nastąpił, a głos nieoficjalny, a więc niesławna wypowiedź kard. Nycza, wywołał olbrzymie kontrowersje. Metropolita warszawski stwierdził, że „jakaś tolerancja wobec poglądów ludzi”, którzy chcieliby związku innego niż małżeństwo, musi być „ze strony wierzących i Kościoła”.

Szybko nadeszło dementi jego słów – rzecznik archidiecezji napisał:

„Wypowiedź kard. Kazimierza Nycza o »związkach partnerskich« nie może być w żaden sposób interpretowana jako wyraz poparcia dla jakiegokolwiek projektu ustawy o tzw. związkach partnerskich ani też rozumiana jako przychylnie stanowisko Kościoła w tej sprawie”.

„ŁATWO ROZWIĄZYWALNY”

Jednak to nie słowa o tolerancji były tu najbardziej oburzające, nawet nie to, że kardynał twierdził, iż „Kościół nie będzie się wtrącał w prace legislacyjne”. Oburzające były bowiem słowa o konieczności łatwego rozwiązania związku. „Jeżeli jest krąg ludzi, dla których nawet tzw. kontrakt cywilny w Urzędzie Stanu Cywilnego to za dużo, chcieliby związku łatwiej zawieralnego i rozwiązywalnego, to jakaś tolerancja wobec takich poglądów musi być ze strony Kościoła” – powiedział metropolita.

I właśnie w tym tkwi sedno sprawy.

Bo te słowa kardynała nie dotyczyły akceptacji dla związku dwóch mężczyzn czy dwóch kobiet – tych nadal bowiem ani Kościół, ani kardynał nie mogą tolerować, bo uważają je za grzeszne z natury. Chodziło jednak o dekonstrukcję małżeństwa, naturalnego związku kobiety i mężczyzny, chronionego nie tylko przez Kościół jako sakrament, nie tylko przez wszystkie cywilizacje jako wynikającego z prawa naturalnego, lecz także nawet przez ubóstwianą przez lewicowców Konstytucję III Rzeczypospolitej.

Wielu ludzi – a jak wskazują sondaże z roku na rok, również coraz więcej Polaków – nie rozumie, dlaczego katolicy czy konserwatyści od lat sprzeciwiając się „związkom partnerskim”, mówią o „ataku na rodzinę”. Wielokrotnie podnosi się argument typu: „W jaki niby sposób mój męsko-męski związek z partnerem atakuje twoją rodzinę?” albo: „To, że ktoś żyje z drugim mężczyzną, nie oznacza, że ty nie możesz żyć z przedstawicielem płci przeciwnej, a już na pewno nie oznacza, że ty musisz żyć w związku jedнопłciowym”. Na pierwszy rzut oka te argumenty mają sens, ale tylko jeżeli ów rzut oka został wykonany przez krótkowidza ze sporą wadą.

CZYM JEST MAŁŻEŃSTWO?

Dlaczego bowiem konstytucja chroni małżeństwo? Dlaczego wyszczególnia ten

związek spośród różnych modeli współżycia (których przecież nie zakazuje) i dlaczego to małżeństwo właśnie obejmuje szczególną ochroną i opieką? Przypomnijmy brzmienie art. 18 ustawy zasadniczej: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”.

Konstytucja ani żadne inne prawo nie zakazuje dwóm dorosłym osobom tej samej płci wiązać się ze sobą, mieszkać razem, podróżować, prowadzić życia intymnego itp. Nie zakazuje tego także dwóm osobom innej płci – wszak konkubinaty to dziś norma – a także nie zakazuje niczego niezliczonej liczbie osób jakiegokolwiek konfiguracji. Jakiegokolwiek argumenty o „dyskryminacji”, a już tym bardziej o „prześladowaniach” przez polskie państwo homoseksualistów albo osób niechających zawierać małżeństwa należy więc włożyć między bajki, bo nikt im niczego nie zabrania. Dlaczego jednak małżeństwu rzeczywiście wolno więcej niż konkubentom i dlaczego to ten pierwszy związek jest prawnie chroniony? Z co najmniej kilku powodów – skupię się wyłącznie na tych socjologicznych, rzekłbym: wspólnototwórczych.

Po pierwsze, rodzina oparta na małżeństwie to podstawowa jednostka społeczna – wszyscy słyszeliśmy te tajemnicze słowa w szkole. Warto się nad nimi zastanowić – otóż to nie pojedynczy człowiek, obywatel, stanowi podstawową jednostkę społeczną. Najmniejsza, fundamentalna komórka społeczeństwa, która odgrywa kluczową rolę w jego funkcjonowaniu, rozwoju i stabilności to właśnie rodzina, rozpoczynająca się (a dziś czasem „ukoronowana”) zawarciem związku małżeńskiego. W komentarzach do konstytucji z 1997 r. czytamy, że małżeństwo i rodzina mają dawać fundament stabilności i porządku społecznego, dzięki któremu możliwe jest przekazywanie wartości, norm i tożsamości kolejnym pokoleniom.

Po drugie, małżeństwo kobiety i mężczyzny daje dzieciom dostęp do pełnego wzorca rodzicielskiego: ojca i matki. Komplementarne role ojca i matki są kluczowe dla prawidłowego rozwoju dziecka – mówią o tym dziesiątki badań psychologicznych i socjologicznych. Ochrona tej struktury przez konstytucję ma na celu zagwarantowanie wychowania w środo-

wisku uważanym za najbardziej stabilne i bezpieczne dla rozwoju psychicznego i moralnego młodych ludzi. I dzieje się tak mimo tego, że zdarzają się (bardzo chętnie nagłaśniane przez media) przypadki głębokich patologii w rodzinach. Ale ich wykluczyć się zwyczajnie nie da.

Po trzecie, obywatele Rzeczypospolitej wspólnie stanowią społeczność – która trwa nie od dziś i ma trwać nadal. Małżeństwo jest szczególnie chronione przez zasadnicze prawo tej wspólnoty, bo jako jedyna forma relacji jest zdolne do biologicznej prokreacji, a tym samym stanowi fundament stabilności demograficznej, o której tak wiele się dziś mówi i pisze.

DLACZEGO NIE CHRONIMY KONKUBINATU?

Ktoś zapyta: OK, to dlaczego, skoro chodzi o ochronę związku kobiety i mężczyzny, którzy mogą przynieść potomstwo, nie zgodzić się na związki partnerskie par mieszanych?

To dobre pytanie, ale by na nie odpowiedzieć, musimy wrócić do słów kardynała o „swobodnej możliwości zawarcia i rozwiązania takiego związku”. Otóż rozwiązanie małżeństwa, a więc rozwód, nie jest opcją dostępną na zwołanie (jak postuluje się to w wypadku związków partnerskich) właśnie dlatego, że jest to związek chroniony! Szczególny! Z wymienionych powyżej powodów.

Wiemy, że dzieci wychowane w jednej rodzinie rozwijają się lepiej, ich dobrostan psychiczny jest doskonalszy niż dzieci poranionych traumami rozstań rodziców, rozbitych rodzin, rodzin patchworkowych itp. Oczywiście zdarzają się wyjątki, ale statystyki są jednoznaczne, i to w oparciu o to naturalne dla każdego z nas przeświadczenie, według którego trwały związek jest lepszy niż nietrwały, wyprowadza się konieczność obowiązywania prawa szczególnie chroniącego właśnie małżeństwo.

No dobrze – zapyta ktoś znów – to wy sobie zawierajcie te małżeństwa, a my będziemy sobie zawierać konkubinaty zwane związkami partnerskimi. I co w tym złego? Otóż to, że związki takie, uzyskując część przywilejów małżeństwa, stałyby się według systemu prawnego czymś w rodzaju pseudomałżeństwa. A na to nie możemy sobie pozwolić, właśnie ze wszystkich wymienionych wcześniej po-

wodów. Coś albo jest małżeństwem, albo nie jest – nie może być bowiem „trochę małżeństwem”, a proponowane uprawnienia „związków partnerskich” to właśnie część uprawnień małżeńskich.

WATYKAŃSKA OBSERWACJA SOCJOLOGICZNA

Wróćmy po raz kolejny do słów kard. Nycza, ale nie po to, by znęcać się nad duchownym, lecz by zmierzyć się z argumentami części bardziej postępowych katolików. Gdy mówią oni bowiem, jak ksiądz kardynał, o potrzebie „jakiejs tolerancji” dla takich postulatów oraz czasami dodają, że Kościół sprzeciwia się takim rozwiązaniom „ze względów religijnych i ideologicznych”, zwyczajnie nie mają racji. Owszem, Kościół stanowczo zabrania swoim wiernym wchodzić w relacje homoseksualne, a i życie w konkubinacie uważa za grzech, ale katolicki sprzeciw wobec pomysłów legalizacji związków jedнопłciowych wynika również z przesłanek społecznych.

Kongregacja Nauki Wiary wyraziła stanowisko na temat legalizacji związków homoseksualnych w dokumencie pt. „Uwagi dotyczące projektów legalizacji prawnej związków między osobami homoseksualnymi”. Dla polskiego czytelnika bardzo ważna będzie data wydania tegoż dokumentu – czerwiec 2003 r. Papieżem był wówczas Jan Paweł II, a przewodniczącym wspomnianej kongregacji kard. Joseph Ratzinger, późniejszy Benedykt XVI. Dokument przez nich przygotowany podkreśla, że „szacunek dla osób homoseksualnych nie oznacza akceptacji zachowań homoseksualnych ani uznania ich związków przez prawo”. Jako najwyższy organ doktrynalny Stolicy Apostolskiej Kongregacja w tym dokumencie sformułowała pełne stanowisko Kościoła katolickiego wobec związków partnerskich, które pozostaje aktualne i obowiązujące do dziś.

Kongregacja Nauki Wiary argumentuje, że „dla poparcia legalizacji związków homoseksualnych nie można przywoływać zasady szacunku i niedyskryminacji wobec każdej osoby”, gdyż odmowa przyznania prawnego statusu małżeńskiego związkowi, które „nie są i nie mogą być małżeńskimi”, wynika właśnie ze sprawiedliwości. Kongregacja podkreśla bowiem, że państwo nie ma obowiązku

Nikomu na świecie nie udało się raz zalegalizowanych już pseudomałżeństw homoseksualnych zdelegalizować

przyznawania „specyficznego i określonego uznania prawnego” dla działań, które nie wnoszą „znaczącego ani pozytywnego wkładu w rozwój osoby i społeczności”. A związki homoseksualne „nie realizują, nawet w najdalej idącej analogii” zadań właściwych dla małżeństwa i rodziny, a ich wzrostowy wpływ na tkankę społeczną mógłby być wręcz szkodliwy.

Autorzy dokumentu podkreślają, że związki te „nie wymagają szczególnej uwagi ze strony ustawodawstwa prawnego” ze względu na brak roli w zapewnieniu dobra wspólnego oraz braku wkładu w następstwo pokoleń. Prawo cywilne więc nie musi im nadawać „znaczenia instytucjonalnego”.

TO POCZĄTEK BITWY PRZECIW RODZINIE

Dokument ów wydany był w czasach, w których Kongregacja Nauki Wiary nie krępowała się wzywać wiernych i katolickich polityków do „obowiązku przeciwstawienia się zalegalizowaniu prawnemu związków homoseksualnych”, ponieważ ich prawne uznanie oznaczałoby „zagubienie podstawowych wartości” będących „wspólnym dziedzictwem ludzkości”. Katolicy, według Kongregacji, powinni bronić tych wartości „ze względu na dobro ludzi i całej społeczności”.

Istnieją środowiska katolickie, które wciąż trzymają się tej oczywistości. Dlatego też wkrótce po wywiadzie kard. Nycza Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Skargi wystąpiło z apelem do biskupów o stanowcze przypomnienie tych elementarnych prawd. Do akcji może dołączyć każdy – wystarczy podpisać się pod apelem na stronie <https://uratujmy-malzenstwo.synowskaprosba.pl/>.

Świeccy katolicy, autorzy owej petycji, napisali w liście do biskupów m.in., że „proponowana ustawa otwiera drogę do dalszych ideologicznych działań, takich jak adopcja dzieci przez związki homoseksu-

alne oraz podważenie tradycyjnej definicji rodziny. Propagowanie ideologii gender i homoseksualnej w systemie prawnym prowadzi do erozji fundamentów cywilizacyjnych opartych na małżeństwie jako związku mężczyzny i kobiety; związku uświęconego i wyjątkowego: nierozzerwalnego, chronionego przez prawo naturalne, wyniesionego przez Pana Jezusa Chrystusa do rangi sakramentu i będącego odzwierciedleniem Bożego porządku”.

To zupełnie inna, nie mniej ważna, a może jeszcze bardziej doniosła strona tej sprawy. Tematem na osobny tekst jest to, jak niebezpieczne dla naszych dzieci są ekspansja środowisk homoseksualnych i stopniowe pozyskiwanie przez nich przychylności opinii publicznej, np. poprzez (propagowaną i w Polsce Tuska) wulgarną edukację seksualną. W niniejszym artykule jednak warto dodać, że niemal wszędzie tam, gdzie przyjęto prawo o „związkach partnerskich”, zaledwie kilka lub kilkanaście lat później zalegalizowano tzw. małżeństwa homoseksualne, nierzadko z prawem do adopcji dzieci. I o to chodzi także polskim zwolennikom „związków partnerskich”, choć niektórzy z nich nadal próbują to ukrywać.

Nie próbuje tego ukrywać jednak minister równości Katarzyna Kotula, która tydzień po tym, jak zademonstrowała omawiany tu projekt ustawy, zapowiedziała pilne przyspieszenie prac nad kolejnym dokumentem – ustawą o tzw. mowie nienawiści.

Jaki ma to związek ze związkami jednej płci?

Otóż po przyjęciu owej ustawy taki artykuł jak ten, który kończą państwo czytać, nie mógłby się już bezkarnie ukazać – nie mógłbym przekonywać czytelników do tego, że rzekoma konstytucyjna dyskryminacja osób chcących żyć w „małżeństwie jedнопłciowym” jest słuszna. Byłaby to bowiem „nienawiść ze względu na orientację seksualną” i groziłoby mi, oraz wydawcy, więzienie. Czy byłby to ze strony rządzących skuteczny zabieg? Cóż, wszędzie tam, gdzie zalegalizowano małżeństwa homoseksualne, obowiązuje też ustawa o mowie nienawiści. I między innymi dlatego nikomu na świecie nie udało się raz zalegalizowanych już pseudomałżeństw homoseksualnych zdelegalizować...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Łukasz Zboralski

Egzamin na prawo jazdy jest w Polsce ekstremalnie trudny, a i tak nie przygotowuje dobrze do bezpiecznego poruszania się po drogach. Zamiast lepszej edukacji ministerstwo postanowiło spełnić zachcianki egzaminatorów i jeszcze utrudnić zdobycie uprawnień

Od PRL udało nam się w Polsce dokonać dobrej transformacji w wielu dziedzinach. W niektórych jednak skręciliśmy w ślepe zaułki. Tak jest z systemem szkolenia i egzaminowania kierowców. Przeszliśmy z nim od szkoleń w Ligach Obrony Kraju, poprzez aferalne i łapówkarskie lata 90., do tworu, na którym zyskują grupy interesów, a traci całe społeczeństwo. I nie tylko żaden minister nie odważył się do tej pory tego zmienić, lecz także kolejny szef urzędu próbuje tę patologię pogłębić.

Jak wadliwy jest system szkolenia i egzaminowania kierowców w Polsce, widać najlepiej, gdy tylko zada się pytanie o to, jak wyznaczono cel kształcenia kursantów. Takie pytanie zadałem wice-ministrowi infrastruktury Stanisławowi Bukowcowi, który dziś odpowiada za te sprawy. Nie odpowiedział. Bo nie mógł. Takiego celu w Polsce nigdy nie wyznaczono. Nie ma żadnej podstawy programowej. I każdy zajmujący się edukacją w tym momencie już złapie się za głowę. Bo jak można uczyć człowieka czegośkolwiek, skoro nie ustaliło się, co szkolony po kursie ma wiedzieć i umieć?

A w Polsce tak właśnie się stało. Dlaczego? To już nieraz opisywałem. System od lat trzymają w rękach pracownicy Departamentu Transportu Drogowego w Ministerstwie Infrastruktury. Ujawniałem już w 2021 r., że to oni sami m.in. pisali ustawę, która nakazała powołać w urzędzie komisję do spraw układania i recenzowania pytań egzaminacyjnych na prawo jazdy. Potem napisali jeszcze regulamin wynagradzania członków tej

Urzednicy kontra kierowcy



komisji. A następnie... sami tę komisję obsiedli i dorabiali w niej do pensji latami. Tylko przez pięć lat wynagrodzenia członków tej komisji przekroczyły w sumie 700 tys. zł. Po moich tekstach doszło do kilku dymisji. Komisja do spraw recenzowania i układania pytań nadal jednak działa. I nadal są w niej urzędnicy resortu infrastruktury.

Tylko na tym krótkim przykładzie widać, że system, w którym na drogi wypuszczamy kolejnych kierowców, nigdy nie miał na celu przede wszystkim dobrego kształcenia tych ludzi. Celem były interesy wąskich grup.

TRUDNY POLSKI EGZAMIN

To jest także odpowiedź na pytanie, dlaczego w Polsce pierwsze podejście do

egzaminu na prawo jazdy kategorii B (samochody osobowe) średnio dla 70 proc. kursantów kończy się wynikiem negatywnym. Tymczasem w innych krajach większość kursantów egzamin zdaje. W Niemczech za pierwszym podejściem udaje się to średnio 70 proc. zdających.

Źle zaprojektowany system uczynił polski egzamin na prawo jazdy ekstremalnie trudnym. Nie zaplanowano żadnych efektów kształcenia, więc egzamin powstał z chaosu. Część teoretyczna to losowo wybierane przez urzędników zagadnienia z Prawa o ruchu drogowym, często podchwytliwe, a często dotyczące nieistotnych niuansów. W dodatku jeśli urzędnicy mogli wciąż poprawiać własne pytania i dostawać za to kolejne pieniądze, to nie mieli żadnej motywacji, by

układać je porządnie. Nie mieli też – i do dziś nie mają – wiedzy, jak to robić.

W części praktycznej Polakom latami kazano jeździć najpierw po placu między tyczkami i kreskami z farby. System ten powoli okrajano z tej głupoty i dziś zostały ledwie trzy zadania egzaminacyjne: przygotowanie pojazdu do jazdy, jazda przodem i tyłem po łuku oraz ruszanie na wzniesieniu. Nadal jazda między kreskami tyłem to rzecz niespotykana w rzeczywistym życiu i dodatkowy egzaminacyjny stres może powodować, że wyjedzie się kołem za linie. Polska jest dziś skansenem egzaminacyjnym. Jeszcze tylko na Łotwie kursanci muszą zdawać coś na placu manewrowym, a nie w rzeczywistym ruchu.

Do tego kadry szkoleniowe i egzaminacyjne nie są najlepiej przygotowane do zawodu. Instruktorem OSK może dziś zostać każdy z wykształceniem podstawowym i dwuletnim doświadczeniem za kierownicą. Wymagania wobec egzaminatorów nie są o wiele wyższe. Do zawodu trafili więc ludzie, którzy dziś mają takie statystyki jak egzaminator z WORD w Ciechanowie, który oblewa 97 proc. kursantów. W dodatku egzaminatorzy – obłożeni kamerami w samochodach egzaminacyjnych – i tak są wyrwani spod kontroli. Formalnie nadzorują ich marszałkowie, ale niewiele mogą zrobić komuś, u kogo egzamin zdaje zaledwie 3 proc.

I co z tym wszystkim postanowił zrobić właśnie minister infrastruktury Dariusz Klimczak? Postanowił to wszystko... pogorszyć.

PRZYCHODZĄ EGZAMINATORZY DO MINISTRA

Minister z PSL po głośnych wypadkach drogowych w Polsce z sejmowej mównicy zapowiadał nie tylko dokręcenie śruby piratom drogowym, lecz także zmiany w systemie egzaminowania na prawo jazdy. Już wtedy przyznał, że zmiany te zasugerowała mu grupa interesu – czyli Krajowe Stowarzyszenie Egzaminatorów.

Niedługo potem do konsultacji publicznych trafiło rozporządzenie napisane przez urzędników pod dyktando egzaminatorów. Znalazły się w nim zmiany kuriozalne. Bo jak nazwać propozycje zmiany formatu dokumentacji egzami-

nacyjnej? Jakie znaczenie dla dobrego wyszkolenia przyszłego kierowcy będzie miało to, że egzaminator będzie zaznaczał jego błędy na kartce A4 czy A3? Albo jakie znaczenie będzie miało to, że na egzamin na motocykl najpierw kazano przetaczać pojazd w ramach zadania egzaminacyjnego, potem przetaczanie motocykla stało się oddzielnym zadaniem, a teraz egzaminatorzy wymyślili, że powinno znów być to częścią innego zadania? Żadne.

Jest też jednak propozycja szkodliwa, którą – mam nadzieję, choć ta nie jest wielka – zatrzymają w Sejmie posłowie. Otóż egzaminatorzy podszeptyli na ucho ministrowi Klimczakowi coś, co znacznie ułatwi im pracę. A precyzyjniej – znacznie ułatwi im wpisywanie negatywnej oceny z egzaminu na prawo jazdy. Do tej pory mieli bowiem tabelę błędów opisaną w rozporządzeniu i przy popełnieniu takiego błędu mogli kursanta oblać. Mogli, ale nie musieli. Ich rozważadze pozostawiano to, czy okoliczności popełnienia jednego z tych błędów świadczą o tym, że ten człowiek nie powinien jeszcze dostać zgody na prowadzenie pojazdów po drogach. W nowelizacji namówili ministra na zmianę słowa „może” na „musi” zakończyć egzamin. Dzięki temu hurtowo będą mogli odsyłać kursantów na poprawkę i będą zawsze mieć papierową podkładkę dla swojej decyzji.

Nie trzeba udowadniać, że lobby egzaminatorów proponowało zmiany prawa, które nie mają żadnego znaczenia dla lepszego szkolenia kierowców w Polsce. Wyłożyli się sami. W uzasadnieniu nowelizacji nie napisano ani jednego argumentu, który dowodziłby słuszności tych zmian. Napisano jedynie, że zmiany nie będą sprzeczne z prawem UE.

ZABEZPIECZANIE MŁODYCH ZNÓW ODŁOŻONE

Z resortu Klimczaka do rządu (spis projektów w KPRM) trafiła niedługo potem kolejna nowelizacja. I ta już wyraźnie jest przeciw kształceniu bezpiecznych kierowców w Polsce. Otóż ministerstwo zamierza od przyszłego roku wprowadzić dwuletni „okres próbny” dla młodych kierowców. Po zdobyciu prawa jazdy przez ten czas limit alkoholu dla nich wynosił będzie 0 promili. I tu nie można odmówić słuszności. Nowelizacja

zakłada też jednak, że młody kierowca przez dwa lata poza obszarem zabudowanym będzie mógł jechać maksymalnie 80 km/h, a na autostradach i drogach ekspresowych – maksymalnie 100 km/h. I to jest kuriozalne. Nikt bowiem nie będzie tego w stanie sprawdzać. A różnica prędkości na drogach szybkiego ruchu po prostu tworzy sytuacje niebezpieczne.

Jednocześnie podwładni ministra Klimczaka znów zamachnęli się na sensowny system szkolenia kierowców, który udało im się blokować już przez ponad dekadę. Chodzi o szkolenia teoretyczne i praktyczne na torach w ośrodkach doskonalenia techniki jazdy, które wzorem skandynawskim mieli odbywać obowiązkowo młodzi kierowcy. To pozwalałoby im w praktyce zobaczyć, że szarżowanie

Minister infrastruktury zaproponował, że za niektóre błędy egzaminator nie będzie mógł oblać kursanta, ale będzie musiał to zrobić

na drodze skończy się wpadnięciem w poślizg, z którego nie będą w stanie wyjść. Wiele z nich mogłoby na własnej skórze doświadczyć tego, czego potem doświadcza już tylko jeden raz ktoś, wracając nocą z dyskoteki i kończąc życie na drzewie.

W nowelizacji zapisano jednak, że nadal – tak jak przez ponad 10 lat – szkolenia nie mogą się zacząć odbywać, bo... nie działa jeszcze system CEPiK 2.0, w którym można by dodać kolejne rubryki. To oczywisty sabotaż. Do wdrożenia tych szkoleń system wcale nie jest potrzebny – można je zaplanować tak, żeby ich ukończenie dopiero pozwalało podejść do egzaminu na prawo jazdy.

Effekt tej lobbystycznej legislacji jest łatwy do przewidzenia. Rodzice będą płacić więcej za powtórne egzaminy na prawo jazdy dla swoich dzieci, a jednocześnie te nie będą dobrze przygotowane do jazdy po drogach i nadal tak często będą na nich ginąć (wypadki najczęściej w Polsce powoduje grupa kierowców w wieku 18–24 lata).



FOT. ADRIAN STOK

Ubranie na chwilę

Żyjemy w rzeczywistości „na chwilę”. Na zjedzenie mamy tylko chwilę, więc wielu, zamiast gotowania w domu, wybiera catering pod drzwi. Konsumpcja dóbr kultury też powinna być szybka, stąd coraz rzadziej celebруем wyjścia do kina (jak w dowcipie: Idziesz na film czy do kina?), stawiając na platformy streamingowe. Coraz częściej „na chwilę” są relacje międzyludzkie, zawiązywane w sieci i rozwiązywane po paru wymienionych zdaniach. Nie powinno więc dziwić, że chwilowe są też ubrania – fast fashion to zmiana trendów niekiedy częściej niż co sezon, dlatego żeby być na topie, zawartość szafy trzeba wymieniać z prędkością światła. Zjawisko „wardrobingu”, oprócz elementu chęci bycia na czasie, zawiera w sobie aspekt oszustwa.

Czym jest „wardrobing”? To zamierzone kupowanie on-line najczęściej przed-



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Zakupy w sieci, chwilowa radość i zdjęcie na Instagramie, a później szybki zwrot do sklepu. Okazuje się, że w Polsce „wardrobing” praktykuje już co piąta osoba w wieku 25–34 lata

miotów luksusowych marek po to, aby założyć je raz (na ważne wyjście lub tylko do zdjęcia), bez zrywania metki. Produkt jest następnie oddawany do sklepu, a klient uzyskuje zwrot pieniędzy. Post na Instagramie opublikowany, znajomi pod wrażeniem torebki Chanel, a portfel nie robi się szczuplejszy. Według badania firmy Optoro (z 2024 r.) zajmującej się technologią zwrotów 30 proc. kupujących przyznało się do zakupu przedmiotu na

konkretne wydarzenie, a następnie zwróciło go po jego zakończeniu. Szczególny rodzaj oszustw detalicznych, którym jest „wardrobing”, narasta latem. – W sezonie wakacyjnym, od lipca do września, obserwujemy wzrost wskaźnika ogólnych zwrotów od dwóch do trzech razy, przy czym same stroje kąpielowe stanowią od 5 do 15 proc. zwrotów – powiedziała stacji CNBC Amina Ali, dyrektor generalna Optoro, zaznaczając, że istnieje cienka

granica między osobami, które dokonują zakupów pod wpływem impulsu i zwrot jest wynikiem refleksji, a tymi, które od samego początku planują oszustwo. Według danych Optro zwrotu po chwilowym użytkowaniu dokonało 40 proc. badanych osób w grupie 18–29 lat.

NIE KAŻDY JEST OSZUSTEM, ALE...

Dla sprzedawców sporym wyzwaniem jest faktyczne sprzedanie takiego produktu. – Kluczowe znaczenie ma czas – najlepiej jest wykryć oszustwo w danej chwili, a jeszcze lepiej, zanim do niego dojdzie – mówi Amena Ali. – Kupiony za 10 dol. pokrowiec na strój kąpielowy zwrócony w złym stanie może nie być wart kosztów czyszczenia lub naprawy i prawdopodobnie zostanie przekierowany do recyklingu lub przekazany w ramach akcji dobroczynnej. Nie można dopuścić, aby ubrania noszone przez kogoś na wakacjach trafiły do innego klienta. To wpłynęłoby fatalnie na wizerunek marki i nadszarpnęło zaufanie do niej – wyjaśnia szefowa Optro.

Badanie przeprowadzone przez firmę pokazuje, że zwrócony produkt traci aż do 66 proc. pierwotnej wartości, ponieważ rzadko zdarza się, aby wrócił do sprzedawcy w stanie idealnym. Amerykańska Federacja Handlu Detalicznego (NRF) wyliczyła, że każdego roku w USA „wardrobing” prowadzi do uszczuplenia sprzedaży o ok. 13 mld dol. NRF podało, że przeciętny sprzedawca na każdym zwróconym towarze o wartości 100 dol. traci ok. 10 dol.

Zjawisko celowych, nieuczciwych zwrotów e-zakupów także w Polsce staje się poważnym problemem. Z badania SW Research opublikowanego przez „Rzeczpospolitą” wynika, że „wardrobing” uprawia regularnie 20 proc. osób z grupy wiekowej 25–34 lata. Problem pogłębia to, że wiele sklepów internetowych oferuje opcję darmowych zwrotów. Według ankiety aż dla 76 proc. internautów darmowe zwroty to jeden z kluczowych warunków zrobienia zakupów w danym sklepie. Nie każdy, kto zamawia towar i go zwraca, jest oszustem. Wielu korzysta z możliwości darmowej przymiarki danej rzeczy w różnych rozmiarach, aby wybrać ten właściwy, bez wychodzenia z domu. W tym jednak przypadku okazja czyni złodzieja. „Nawet 46 proc. kupujących zdarza się z premedytacją zamawiać po kilka modeli tego

samego produktu, by część tych artykułów, które nie pasują lub nie spełniają oczekiwań, oddać sprzedawcy. Z tej grupy 5 proc. internautów przyznaje, że tego typu sytuacja ma miejsce prawie zawsze” – opisano.

Choć darmowe zwroty to świetne rozwiązanie dla klientów, to dla sprzedawców oznaczają one spory koszt. „Rz” przywołuje badanie Geopost, właściciela firmy kurierskiej DPD, z którego wynika, że w 2023 r. już 14 proc. „regularnych” klientów e-sklepów zwróciło zamawiane produkty. W Polsce zwroty stanowią ok. 16 proc. e-zamówień. Według szacunków są one warte ponad 2 mld zł. Jakub Buga, prezes firmy Gleevery, wylicza, że na tę kwotę składają się koszty obsługi logistyki zwrotów oraz przenoszenie strat wynikających z utraty wartości zwracanych produktów. Jako jedno z rozwiązań branża e-commerce wskazuje na zastosowanie tzw. cyfrowych portfeli. Działanie jest proste – w przypadku odesłania produktu zwrot pieniędzy nie zostałby dokonany na konto klienta, ale właśnie na taki portfel. Wykorzystanie środków byłoby możliwe, jednak tylko w postaci kolejnych zakupów u tego samego sprzedawcy. Zwrot wyłącznie w takim systemie byłby darmowy. Sprzedawcy liczą każdą złotówkę, ponieważ dane nie napawają optymizmem. Główny Urząd Statystyczny podał, że udział sprzedaży internetowej w handlu ogółem w sierpniu tego roku zmniejszył się w ujęciu rocznym z 8,2 proc. do 8 proc. (w ujęciu miesięcznym z 8,8 proc. do 8 proc.).

„WSZYSCY TAK ROBIĄ”

Jedna z warszawianek, która w wywiadzie dla INNPOLAND przyznała się do uprawiania „wardrobingu”, wyjaśnia, że traktuje to jako „wypożyczenie” ubrań, na które jej nie stać. – Nie jest tak, że wszystko, co kupię, to oddaję, ale zdarzyło mi się tak zrobić kilka razy w życiu. No, może kilkanaście. Wszyscy tak robią – tłumaczyła. Aby cały proceder się udał, trzeba być ostrożnym. Przedstawiona jako Kinga kobieta zapewniła, że o „pożyczone” ubrania dba i poza nieodrywaniem metek, jeśli ubranie się przepoci, przepierze je pod pachami. W przypadku dymu papierosowego trzeba zastosować wietrzenie na balkonie. Wykluczone jest pranie całego elementu garderoby, bo grozi to zamoczeniem metki. Jednak i tutaj oszuści znaleźli rozwiązanie – nazywa się „metkownica” i kosztuje

kilkadziesiąt złotych. Sprzedawcy (chodzą o sklepy stacjonarne; te także są wykorzystywane do „wardrobingu”) często wiedzą, kiedy klient kłamie. – Mamy nawet jedną „stałą” klientkę, która przynosi noszone, wyperfumowane lub już uprane ubrania. Zdarzało jej się nawet podmienić metkę na złą, np. przy bluzce była nazwa „spodnie”. Przyjmowałam te zwroty, ale wtedy wprost jej powiedziałam, że tak się po prostu nie robi – opowiada sprzedawczyni jednego ze stołecznych sklepów odzieżowych.

W świetle prawa konsumenckiego „wardrobing” nie jest uznawany za przestępstwo, więc sprzedawcy na własną rękę szukają sposobów na nieuczciwych klientów. Jedna z sieci opracowała technologię R-Turn Tag. – To estetyczne i niewielkie zawieszki, na których sklepy mogą umieszczać swój logotyp i inne oznaczenia. Przepinane są do ubrań w widocznym miejscu i mogą zostać usunięte jedynie przez klienta poprzez ręczne zerwanie mechanizmów blokujących. To, że zawieszka znajduje się w wyeksponowanym miejscu, sprawia, że noszenie towaru, a następnie zwracanie go do sklepu staje się niemożliwe – powiedziała INNPOLAND Ewa Pytkowska, szefowa polskiego oddziału firmy Checkpoint Systems.

PIENIĄDZE SĄ ZBĘDNE

„Wardrobing” wiąże się z coraz popularniejszą formą zakupów w formie płatności odroczonej. Skoro można kupić coś teraz, a zapłacić za to później, to pojawia się pokusa niepłacenia w ogóle. Model BNPL (ang. buy now, pay later – kup teraz, zapłać później) cieszy się rosnącym zainteresowaniem. Jak informuje portal Wiadomości Handlowe, już ponad 70 proc. e-sklepów w Polsce oferuje co najmniej jedną formę odroczonej płatności. Ponadto skalę zjawiska pokazuje to, że tylko w tym roku firmy z tego sektora pobrały aż 2,8 mln informacji z Krajowego Rejestru Długów. – Firmy BNPL przeprowadzają dokładną weryfikację zdolności kredytowej klientów, pobierając m.in. raporty z Krajowego Rejestru Długów. Dłużnicy notowani w KR D mogą nie uzyskać finansowania – mówi Adam Łącki, szef KR D. Według badań Kearney aż 64 proc. polskich konsumentów miało już okazję skorzystać z BNPL. Oznacza to, że jesteśmy na podium – tuż za Szwecją i Włochami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jak reżyser z jezuitą



Piotr Gociek

„Dialogi o wierze”: zapis spotkania Martina Scorsese z ks. Antoniem Spadarem i odpowiedź na apel papieża Franciszka, by ukazać Jezusa przy pomocy „pełnych mocy historii i obrazów”

Rok 1992, 9 października. Andrzej Wajda opisuje w swoich notatkach wizytę u Martina Scorsese. „Przyjmuje nas w jadalni w swoim biurze: kilkanaście pokoi na VII piętrze w 5. Alei studio dało reżyserowi do pracy”. Wszyscy kochają Scorsese za „Chłopców z ferajny” (1990), ale reżyser

nieustannie wraca do innego momentu swej kariery. Ból porażek jest przecież większy niż radość triumfów. „Scorsese opowiada o kłopotach z »Ostatnim kuszeniem Chrystusa«, z którego dystrybutorzy wycofali się w ostatniej chwili. Nie tylko oni: ojciec chłopca, który chodzi z jego 20-letnią córką, Polak, nie wpuścił go do domu” – odnotowuje Wajda.

Ot, kłopot, biografia twórcy „Taksówkarza” powinna nosić tytuł „Naznaczony” – cokolwiek by nakręcił, dokądkolwiek się udał, zawsze dogoni go zgiełk sporów o filmową wersję powieści Nikosa Kazantzakisa. Akuratna czy nieakuratna, urażająca czy niebłuzniercza, a może tylko niezrozumiana? Czytałem sporo wywiadów ze Scorsese na temat „Ostatniego kuszenia Chrystusa” i uderzyło mnie, jak często musi się tłumaczyć z tego, że widzowie nie dostrzegali rzeczy, które on uważał za oczywiste; widzieli za to takie,

które w ogóle mu do głowy podczas kręcenia nie przychodziły. W takiej sytuacji, bądźmy szczerzy, wina jednak leży po stronie autora, a nie odbiorcy.

Scorsese się nie poddał i mierzył się z wiarą dalej – nie mógłby przecież wyrwać z siebie czegoś, co pozostaje dla niego ważne i co go ukształtowało. Po latach prób doprowadził do nakręcenia „Milczenia”, ekranizacji powieści Shūsaku Endō (drugiej, bo pierwszą nakręcił Masahiro Shinoda w 1971 r.), a w chwili, gdy do polskiego czytelnika trafiają te słowa, amerykański widz sieci Fox Nation ma już za sobą pierwszy odcinek ośmioodcinkowej dokudramy „Martin Scorsese Presents: The Saints” (co szczególnie dla nas ciekawe, bohaterem jednego z odcinków jest św. Maksymilian Kolbe). Reżyser powrócił tym samym do swego starego pomysłu jeszcze z lat 80. XX w., kiedy to po realizacji „Wściekłego byka” chciał



Ksiądz Antonio Spadaro
i Martin Scorsese

FOT. LA CIVILTÀ CATTOLICA

„Czułem, że muszę się nią podzielić z Martinem – pisze jezuita – tym bardziej że papieski tekst kończy się apelem do artystów, aby pokazali nam Jezusa, korzystając z »geniuszu nowego języka, pełnych mocy historii i obrazów«. Odpowiedź jest szybka i taka, jakiej po mistrzu »historii i obrazów« można oczekiwać: to scenariusz filmu o Jezusie czy raczej – jak sugeruje reżyser – punkt wyjścia do dalszych rozważań. Znajdziemy ten scenariusz w książce »Dialogi o wierze«. Tekst naszych rozmów kończy się zapisem scenariusza możliwego filmu o Jezusie – odnotowuje Spadaro. – Jest on integralną częścią naszych rozmów w tym sensie, że pomysł jego napisania zrodził się właśnie podczas nich». Ważne dopełnienie: Scorsese podtrzymał swą obietnicę nakręcenia filmu, ale pracuje na innym materiale; ten pierwszy jest zarówno szkicem, jak i dziełem zamkniętym, gdy spojrzymy na niego jak na odpowiedź na apel Ojca Świętego.

Ten krótki, 20-stronicowy tekst to propozycja pobudzająca do myślenia, ciekawe zwieńczenie rozmów Scorsese i Spadaro. Jego »Scenariusz możliwego filmu o Jezusie« (tak, tytuł brzmi właśnie tak) to jednocześnie zarówno opowieść o Zbawicielu, pytanie o to, w jaki sposób dotknąć w sztuce jego obecności, jak i zmierzenie się przez Scorsese raz jeszcze z tymi motywami chrześcijańskimi, po które już wcześniej w swoich filmach sięgał.

Jako że Scorsese myśli i oddycha kinem, to w scenariuszu odwołuje się także do obrazów z filmów innych twórców mierzących się z tym samym wyzwaniem. Są więc sceny z »Szaty«, »Króla królów«, »Ojca Sergiusza« (ale wersji francuskiej, nie w rosyjskich adaptacjach); wraca reżyser do »Ewangelii wg św. Mateusza« w reżyserii Piera Paola Pasoliniego.

Czytając fragment, który zaraz zaczytuję, zastanawiałem się, czy Scorsese widział próbę Wajdy »Piłat i inni«. Oto narrator/bohater »Scenariusza możliwego filmu o Jezusie« wyznaje: »Kiedy już wiedziałem, że chcę w życiu robić filmy, pomyślałem o nakręceniu na taśmie 16 mm czarno-białego obrazu o Chrystusie we współczesnym świecie, w nowoczesnych ubraniach, na ulicach Nowego Jorku, z apostołami w garniturach, którzy chodzą po starych korytarzach ze ścia-

dla włoskiej telewizji RAI nakręcić serię, w której centrum miało być pytanie o to, czym w istocie jest świętość. A w najbliższym czasie czeka nas kolejne religijne dzieło Scorsese – nowy film o Jezusie. Dlaczego?

DALSZE ROZWAŻANIA

Tu na scenę wkracza Antonio Spadaro, jezuita, były redaktor naczelny pisma jezuitów »La Civiltà Cattolica«, obecnie podsekretarz watykańskiej Dykasterii do spraw Kultury i Edukacji. Jak dowiadujemy się z książki »Dialogi o wierze« (właśnie ukazała się w Polsce nakładem Wydawnictwa WAM), Scorsese i Spadaro poznali się w roku 2016, gdy ten ostatni przybył porozmawiać o wchodzącym do kin »Milczeniu« (zapis tej rozmowy stanowi zresztą pierwszy rozdział książki, która sygnowana jest nazwiskami obu rozmówców). Świat jest mały, szczególnie gdy jest

się Włochem, masowa emigracja ze starej ojczyzny rozrzucała przecież Włochów po wszystkich kontynentach. Nic więc dziwnego, że Scorsese i Spadaro odkrywają wspólne sycylijskie korzenie. Spadaro pochodzi z Mesyny, a dziadkowie Scorsese z Polizzi Generosa, miasteczka w połowie drogi między Palermo a Mesyną.

Reżyser i ksiądz spotykają się w kolejnych latach przy rozmaitych okazjach, dyskutują, polecają sobie nawzajem lektury. I oto 30 lat po spotkaniu, które króciutko opisywał Wajda, w październiku 2022 r. Spadaro gości znów u Scorsese i otrzymuje w prezencie książkę »O praktykowaniu Bożej obecności« brata Wawrzyńca od Zmartwychwstania. Kilka dni później Spadaro dzieli się ze Scorsese radosną nowiną – jego nowa książka »Una Trama Divina« ukaże się z przedmową papieża Franciszka. Dzieli się też tekstem owej przedmowy.

nam z odpadającym tynkiem, z ukrzyżowaniem w dokach West Side i policjantami zamiast centurionów – w moim świecie. Ale potem zobaczyłem Chrystusa Pasoliniego. Sceneria nie była nowoczesna, ale uczucia, które przekazywała, już tak. Chrystus był b e z p o ś r e d n i”.

Skręć teraz na chwilę w bok – czytając ten scenariusz, a także te fragmenty dialogów o tym, czy możliwe jest niemożliwe, tzn. współczesne dzieło chrześcijańskie, od razu przypomniałem sobie o naszym polskim przedsięwzięciu. Film to przecież ruchome obrazy, a kina to dzisiejsze świątynie konsumpcji (jedne z wielu). Kilka dni temu środowisko Teologii Politycznej zaprosiło na trzeci już wernisaż dzieł stworzonych w ramach projektu „Namalować katolicyzm od nowa”. Jak mówił Dariusz Karłowicz: „Po raz pierwszy od stuleci prawdy wiary nie przemawiają do wiernych współczesnym językiem obrazowania. Głośna sztuka albo w ogóle nie odnosi się do chrześcijańskiej nauki i życia, albo jest jawnie antychrześcijańska”.

KATOLICYZM JAK AKT BUNTU

Ależ tak, ależ oczywiście dotyczy to każdego rodzaju sztuki, a przede wszystkim kina. Zmagania, które toczy Martin Scorsese, są dokładnie tej samej natury. Nie chodzi o to, że marzył on całe życie o tworzeniu sztuki religijnej, ale o to, że katolicyzmem oddycha równie mocno jak kinem. A to jest dziś rzadkością i aktem buntu. Mogą się więc niektórzy podśmiewać, że bluźni (w „Ostatnim kuszeniu Chrystusa”) albo że jest zanadto naiwny (można tak określić niektóre fragmenty w „Scenariuszu możliwego filmu o Jezusie”), ale rozterki i tęsknoty reżysera są prawdziwe. Są ważne. Po prostu są.

Odsyłam więc dziś czytelników zarówno do książki „Dialogi o wierze”, jak i na wystawę, którą można oglądać do 12 stycznia 2025 r. w podziemiach katedry warszawsko-praskiej (ul. Floriańska 3 w Warszawie). W poprzednich latach tematami były wizerunek Jezusa Miłosiernego (rok 2022) i ukazanie Zwiastowania (rok 2023), tym razem oglądamy współczesne przedstawienia sceny Nawiedzenia św. Elżbiety.

Nim jednak czytelnik dotrze do scenariusza, czeka go lektura rozmów Spadara i Scorsese. Warto. Co prawda, na

wiele z poruszanych tematów wypowiadał się reżyser przy innych okazjach, ale włoski jezuita jest rozmówcą cierpliwym i mądrzejszym od przeciętnego filmowego krytyka, a i Scorsese zdaje się bardziej otwierać.

Bardzo ciekawa jest jego opowieść o dorastaniu w Little Italy w czasach, kiedy stara generacja włoskich księży przybyłych jeszcze ze starego kraju ledwo dukała po angielsku.

„Gdzieś ok. 1953 r. pojawił się młody ksiądz. Nazywał się Francis Principe, miał 23 lata i to była jego pierwsza parafia. Zaszczepił nam zupełnie nowy i świeży sposób patrzenia na życie – opowiada Scorsese. – Złościł się na mnie, ponieważ nie uprawiałem sportu, i nie rozumiał, że zabroniono mi tego, bo mogę się udusić [Scorsese cierpi na astmę – przyp. P.G.]. Ale poza tym jednym reprezentował sposób myślenia i konfrontowania się z życiem, który fundamentalnie odbiegał od tego, czego uczył otaczający nas surowy i okrutny świat. Patrzył na nas i mówił: »Nie musicie tak żyć«”.

Oto historia stojąca w ostrej kontrze do propagandy, którą karmił nas wiek XX: skrzywdzeni i poniżeni wydobyc mogą się ze swej biedy poprzez socjalizm, sekularyzację i wszelkie możliwe rodzaje postępu, najlepiej z pomocą zawodowych agitatorów i partyjnych pomagierów. Scorsese opowiada o zmianie, która nastąpiła w jego życiu nie tylko dlatego, że sama wiara był dla niego czymś ważnym, lecz także dlatego, że to ksiądz był tym, który pomógł mu patrzeć w górę drabiny społecznej i zmienić się z astmatycznego dzieciaka w dorosłego człowieka. „Dawał nam książki Grahama Greene’a. Zaczęliśmy od »Mocy i chwały«, ale mnie najbardziej podobało się »Sedno sprawy«. Dał nam też do przeczytania eseje Dwighta Macdonalda, co w tamtym czasie, we wczesnych latach 50., było raczej niezwykle, by tak to delikatnie ująć”. [Macdonald był antystalinistą, pacyfistą, trockistą, by wreszcie przejść do historii jako konserwatywny krytyk kultury masowej; jego najgłośniejsza książka to „Masscult and Midcult: Essays Against the American Grain” – przyp. P.G.].

MARTIN SCORSESE
DIALOGI
O WIERZE
ANTONIO SPADARO

MARTIN SCORSESE, ANTONIO SPADARO
„DIALOGI
O WIERZE”
WAM 2024

„Ksiądz Principe sprawił, że otworzyliśmy się na świat. Pomagał nam chłonać muzykę. Kochał kino i doradzał, na co warto iść. I miał rację – dopowiada Scorsese. – Także z moralnego punktu widzenia, ponieważ nas kształtowały uliczne lekcje starego świata, a on dawał im przeciwwagę w postaci kultury [...], sprawił, że rozwinąłem pewien rodzaj jasności umysłu, a także dał mi przykład miłości zupełnie innej niż miłość moich

rodziców. To był bardzo silny przykład. Chciałem być taki jak on, więc zdecydowałem, że zostanę księdzem”.

Z korzyścią dla kina Scorsese skorygował swój wybór. Choć kto wie, może świat stracił tym samym wspaniałego kaznodzieję i wybitnego teologa? To pytanie zostawiamy w wielkiej księdze rzeczy możliwych, acz niedoszłych, podobnie jak „Scenariusz możliwego filmu o Jezusie”.

Martin Scorsese przygotowuje się tymczasem do kręcenia „Żywotu Jezusa” na podstawie scenariusza Kenta Jonesa, który powstał na bazie powieści Shūsaku Endō. Jones i Scorsese nakręcili już razem dokument o Elii Kazanie („A Letter to Elia”, 2010). Film ma być krótki, osadzony częściowo we współczesnych realiach, skupiony na naukach Jezusa. Ryzykowne przedsięwzięcie w Hollywood. Jak mówił kilka miesięcy temu Scorsese w rozmowie z „Los Angeles Times” (cytuje za PAP): „Gdy powiesz »religia«, wszyscy chwytają za broń, bo zawiodła na tak wielu polach. Niekoniecznie musi to jednak oznaczać, że pierwotne znaczenie religii było złe. Wróćmy więc do tego, zastanówmy się nad tym, a przecież w każdej chwili możesz ją odrzucić”. Hm, wygląda na to, że w sprawach wiary mądrzejszy jest Scorsese w książce „Dialogi o wierze”, gdy zamiast zastanawiania się nad odrzuceniem podpowiada inną drogę: „Poddanie się i otwarcie na to, co może stać się prawdziwą miłością, stałą miłością i rozumieniem – na tajemnicę Bożej miłości. Masz ją zgłębiać i rozumieć, i zaakceptować, że ten proces zgłębiania i rozumienia nigdy się nie skończy, a tajemnica nadal pozostaje tajemnicą i nie jest czymś, co można wyjaśnić. Można tylko konfrontować się z nią i ją kontemplować”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masłowski

List Pana Bogusława Wójcika sprawił, że raz jeszcze – co czynię z niekłamana przyjemnością – wracam do postaci Jacka Zwoźniaka, jednego z tych bardów, których twórczość – jak powiada nadawca listu – „była nieoceniona w kształtowaniu naszych niepodległościowych nadziei. Wnosiła nieco radości i kolorów w naszą szarą, komunistyczną rzeczywistość”.

„Miałem niekłamana przyjemność – wspomina Bogusław Wójcik – pracować z Jackiem Zwoźniakiem jako realizator dźwięku. Był uroczym, radosnym człowiekiem, który swoją twórczość traktował na płaszczyźnie satyrycznej i patriotycznej. W przerwach pomiędzy występami dużo rozmawialiśmy i w tych rozmowach Jacek zawsze stwierdzał, że może nie złamię systemu, ale go ośmieszę, a śmieszny – już nie będzie taki groźny.

Miałem też wielką radość i satysfakcję, gdy nagłasniałem Jego premierową drugą wersję »Provincii« w wersji niemieckiej, jakże dziwnie aktualną dzisiaj, tekst długi, ale warto się wczytać:

*Ein jungen Mann von Essen
Gefahren mercedesem,
Wprost z Einbahnstasse zjechał pod
twój blok,
Ty miałaś zwanzig zloty,
Myślałaś tylko o »tym«,
Więc poprawiłaś zaraz golden lok.
A on był Uebermenschem
Przystojnym jak Hans Genscher,
Ty miałaś tylko funfzehn Jahre alt,
Więc byłaś kleine Fraulein,
A on był ein gross chojrak,
Dlaczego wtedy powiedziałaś – Halt!
In dem Zimmer zdejnowałaś potem
sweter
Bo Biusthalter z »Burdy« ci wypieñniał
sen,*



FOT. STEFAN HANSEN/SCAP/AP

*Dein suss Mann zawołał – Donner-
wetter!
Meine Madchen, das ist Tur, auf
Wiedersehen!
Nie wiedział, jak cię nazwać,
Więc prosił – Bitte, Ausweis!
Nie rozumiałaś, co od ciebie chciał...
Myślałaś – Postaw sznapsa...
A on Ci dał w Arsch klapsa
I wrasnął tylko – Du bist gute Frau!
Był z niego numer lepszy –
Chciał z tobą... neunundesching,
A ty mu durch się śmiałaś prosto
w nos
I choć nie byłaś w wojsku,
Odrzekłaś mu po polsku:
Sehr gut, nie ze mną te numery, Kloss!
Dein suss Mann Mercedes ci nicht
kaufen!
Gute Nacht nie powie ci przed snem,
Bo nad wami wisił napis »Hier nicht
rauchen!«
»Nur fur Deutsche! Hande hoch! Auf
Wiedersehen!«
W efekcie Drang nach Osten,
Spędziłaś noc pod mostem,
A rano poszłaś schlafen do zu Haus.
Ściskając Kugelschreiber,
Co dał ci easy rider...
A w radiu śpiewał właśnie Mitffoch
Klaus...
Ty nie będziesz moją Hildą z Alten-
burga!
Choćbym dzielny był jak Konrad
Wallenrod,
To nie wsiądziesz za nic ze mną do
wartburga... o nein...
Adieu, Fraulein, meine kleine, spadał
stąd!
Albo jak Łokietek ci urzędę Płowce!
Jeszcze powiesz – Danke, mein Herr
Gott!*

*I zatęsknisz jak dyrektor za związ-
kowcem...
Adieu, Fraulein, meine kleine, spadał
stąd!
Prorok???*

W nasz ostatni wieczór, w garderobie po występie we Wrocławiu, pochwalił się jeszcze, że ma pomysł na rosyjską wersję językową, która miała się zaczynać: Turysta z awtom Łada, prijechał z Leningrada...

To była noc 18 czerwca 1989 roku, pożegnaliśmy się jak zwykle: »Do dzisiaj«... Znów mieliśmy mieć trzy koncerty... uśmiechnięty wsiadł do samochodu, pomachał ręką i odjechał... Rano zadzwonił do naszej ekipy organizator Zbyszek z informacją o wypadku i śmierci Jacka. Dobrze, że została mi się kasetka z Jego piosenkami. Czasem do niej wracam. Ostatnio – coraz częściej...

Bogusław Wójcik”.

Jacek Zwoźniak pisał i wykonywał teksty dotyczące spraw poważnych, czasem nawet bardzo, ale potrafił je podać tak, że wzbudzały uśmiech i dawały nadzieję. A w swoim wcale bogatym repertuarze nie stronił i od rubasznosci, niekiedy używając hmm... dosadnego języka. Nie zwykł owijać rzeczy w bawełnę i pewnie dlatego nawiązywał świetny kontakt z publicznością, stęsknioną za tym, by ktoś wreszcie nazywał rzeczy po imieniu. A mistrzostwo osiągał w parodiach.

Po ogromnym sukcesie „Zegarmistrz światła”, gdy wokół wyśpiewanego przez Tadeusza Woźniaka przeboju rozgorzała cała, nie za mądra zresztą dyskusja, bard postanowił włączyć się do niej, pisząc „Zegarmistrza światła purpurowego”, w którym obszedł się z tekstem Bogdana Chorażuka dość obcesowo. I w tej parodii skądinąd znakomitego utworu prześmiewca opowiedział o tym, jak to, być może z braku innych pomysłów na życie, postanowił zostać zegarmistrzem... światła:

*Choćby na świecie wiatr i śłota
To żyło mi się będzie świetnie
Gdy zamiast w Ruhlach i Poljotach
Ja będę sobie grzebał w świetle
A w wolnych chwilach będę siedział
Za piecem gdzieś u Pana Boga
Wypiję sobie, wszamam śledzia
Aż wreszcie zgaśnie mi podłoga
Nie koniec jednak tej zabawy
Bo choćbym w łóżni siedział w swetrze
Będę się cały trząsł z obawy
Że jeszcze zgaśnie mi powietrze
I gdy już będę purpurowy
Wezmę pędzelek oraz farbę
Bo wpadłem ja na pomysł nowy:
Niech cały świat ma moją barwę
I gdy już skończę tę robotę
To zamiast bełtać się w błękiecie
Ja za trzydzieści i trzy złote
Zabełtam sobie łeb bełcikiem
Czasami w jedno miejsce muszę
Bo gdyby nie, to bym się ze...
właśnie tak
Potem pociągam za łańcuszek
A woda spływa jak na przestrzał
Bez serc bez ducha przy gitarze
W kloakach czyli też w kloplikach
Piosenki piszą kanalarze
Poeci muszą zlew przepychać.*

Pod tym względem sporo się zmieniło, niekoniecznie na lepsze. Ostatni polscy hydraulicy dożywają żywota w Niemczech i we Francji, postęp techniczny wyeliminował łańcuszki z toalet, teksty polskich piosenek, jak się zdaje, piszą Afroamerykanie. Za to żyjemy w rezerwuarze. ©

Na Netflixie esbek ryba



Dariusz Wieronieczny

Najnowszy przebój polskiego Netflix, thriller kryminalny Michała Gazdy „Napad”, zdecydowanie wyróżnia się wśród innych produkcji tej stacji. Uznanie budzi on jednak nie tym, co pokazuje, ale tym, czego w nim nie ma. Pochwalmy więc braki filmu



Próżno szukać w „Napadzie” choćby jednego bohatera borykającego się z koniecznością zmiany płci. Żadna z postaci filmu nie należy do mniejszości seksualnej, wyznaniowej albo etnicznej, a przynajmniej tego nie deklaruje. Tak ciężkie grzechy przeciw poprawności politycznej – która w produkcjach Netflix jest elementem obowiązkowym – rekompensują słabości opowiadanej historii.

Wątek kryminalny „Napadu” poprowadzony jest wyjątkowo przewidywalnie – postaci, które na samym początku akcji podejrzewamy o popełnienie zbrodni, okazują się zbrodniarzami w finale filmu. Twórcy nie bawią się z widzami w kotka i myszkę, sugerując fałszywe tropy lub rzucając podejrzenia na niewinne postaci. Nie muszą tego robić. Magnesem przykuwającym uwagę przy oglądaniu „Napadu” było oczekiwanie na moment, gdy któryś z bohaterów popisie się coming outem, doświadczy nienawiści etnicznej lub padnie ofiarą religijnej nietolerancji. Kiedy film

zbliży się do połowy, a nic podobnego się nie dzieje, zaczynają rosnąć emocje. Czy usłyszymy cokolwiek o ociepleniu klimatu? Dlaczego żadna z postaci nie zachwala widzom diety wegetariańskiej, nie cierpi na rzadką chorobę, nie opiekuje się zwierzętami? Reżyser „Napadu”, Michał Gazda, konsekwentnie unika podobnych modnych atrakcji. Zapewne z tego powodu film doceniają widzowie nie tylko polskiego, lecz także globalnego Netflix. W zalewie filmowej propagandy historia tak staroświecka wydaje się perełką.

NUDA I ETYCZNY RELATYWIZM

To, co widzimy na ekranie, podoba się znacznie mniej. Akcja jest nużąco przewidywalna, filmowe śledztwo toczy się powoli, jak ognia unikając wszelkich zaskoczeń. Przeszkadzać może natrętne „pogłębianie” postaci dokonywane przy pomocy wykładających kawa na ławę dialogów. Reżyser nie zdecydował, czy kręcić chce emocjonujący film akcji czy pogmatwany dramat psychologiczny

Bohater „Napadu” to polski Brudny Harry. Skuteczny, brutalny i dla dobra sprawy łamiący policyjne procedury

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Policyjna koleżanka głównego bohatera (Olaf Lubaszenko) rozumie „ubeka”, bo sama zmuszona została do donoszenia przez szefów FOT. MAT. PRAS.

w klimacie kina moralnego niepokoju. Próby wytłumaczenia sprawców odrażającej zbrodni drażnić mogą widza kuchennym psychologizowaniem. Przypisywanie mordercom sympatycznych cech i budzących współczucie motywów (główny sprawca zbrodni jest wychowankiem domu dziecka, opiekującym się ukochaną młodszą siostrą) daje w efekcie, zamiast wielowymiarowych bohaterów, efekt cikliwego sentymentalizmu. Ukazywanie „ludzkiej twarzy” morderców, zdolnych do rozstrzelania trójki bezbronnych kobiet, nie odkrywa duchowych głębi, a irytuje relatywizowaniem zła. Opowieści kryminalnej zabiegi takie nie służą.

Etyczny relatywizm jest także cechą granego przez Olafa Lubaszenkę głównego bohatera „Napadu”. Jest to były major milicji, choć w filmie mówi się o nim często „ubek”. Został on zweryfikowany negatywnie i właśnie próbuje wrócić, po latach przymusowej odstawki, do policyjnej służby. Bohater ten, w miarę rozwoju akcji, zyskuje sympatię widzów. To polski „Brudny Harry” – z kilkudziesięciokilogramową nadwagą. Jest skuteczny, brutalny, dla zdemaskowania sprawców zbrodni gotowy złamać policyjne procedury, a także narazić własne życie. Szantażowany przez przełożonych sam wydawać się może ofiarą dyskryminacji. O swoich brudnych czynach mówi z profesjonalną dumą – ścigał „solidaruchów”, bo potrafi odnaleźć każdego, łamał ich, bo umie dostrzec w człowieku zakłamanie i słabe strony. Która policja nie potrzebuje tak skutecznych fachowców? W tej służbie nikt nie ma czystych rąk – nasz bohater nie boi się ich pobrudzić, a także nie przykrywa tego faktu wszechobecną wokół hipokryzją.

Jego policyjna partnerka coraz lepiej rozumie swojego kolegę, nie śmie go osądzać, sama przecież zmuszona została przez szefów do donoszenia na niego, co były „ubek” potrafi zrozumieć i wybaczyć. Jak takiego nie lubić? Kobiety nie fantazjują przecież, czytając poczytne romanse, o grzecznych chłopcach i rycerzach bez skazy. Marzą o okiełznaniu groźnej

bestii, skrywającej wrażliwą duszę. Taką bestię zagrał z powodzeniem Olaf Lubaszenko.

BOHATEROWIE Z SB

W epoce realnego socjalizmu zmęczonych „towarzyszy z bezpieczeństwa” sławili filmowcy i poeci. Czy zgorzkniały, wypalony ubecką służbą major z filmu „Napad” nie odnalazłby siebie w płomiennych strofach Andrzeja Mandaliana?

*Tyle nocy
nie dospanych,
mętnych,
popłątanych,
od dymu ciasnych,
„wyprowadzić”
rzekł konwojentom
i zasnął.
Śpij, majorze,
świt niedaleko,
widzisz:
księżyc zaciąga wartę;
szósty rok już nie śpi Bezpieka,
strzegąc ziemi
panom wydartej.*

To, że przez ostatnie ćwierć wieku cyniczni, lecz „skuteczni” esbecy wciąż portretowani są jako uwodzicielescy twarze przez polskich scenarzystów i reżyserów, wiele mówi o kondycji polskiego środowiska filmowego. Gloryfikacja funkcjonariusza SB w „Psach” Władysława Pasikowskiego, beatyfikacja Luny Brystiger w „Zaćmie” Ryszarda Bugajskiego i „Napad” Michała Gazdy są pierwszymi z brzegu przykładami tego zabiegu. Filmy o dzielnych esbekach cieszą się też, niestety, popularnością wśród polskich widzów.

Warto obejrzeć dzieło Michała Gazdy i zastanowić się, jak złowrogą rolę odegrały w naszej historii „dzikie” lata 90. ubiegłego wieku. Ich sugestywny obraz jest niewątpliwie mocną stroną tego filmu, za co pochwalić trzeba twórców scenografii i kostiumów „Napadu”. Czasy te, dziś zepchnięte w niepamięć, są moim zdaniem niezbędne dla zrozumienia współczesnej Polski. To wtedy uczyniono łajdaków bohaterami kultury masowej, a herszta ich nazwano „człowiekiem honoru”. Mit o nawróconych esbekach pokutuje w polskim kinie do dziś.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**REŻ. MICHAŁ
GAZDA
„NAPAD”
NETFLIX 2024**



PIOTR GOCIEK



★★★★★
SEZON 2
„SPECIAL OPS:
LIONESS”
USA 2024

wyst. Zoe Saldanha,
Genesis Rodriguez,
Nicole Kidman

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

skySHOWTIME

Misja Meksyk

Joe (Zoe Saldanha), kierująca programem CIA „Lioness”, powraca. Lwice to agentki, które infiltrują najbliższe otoczenie wrogów Ameryki. W pierwszym sezonie chodziło o przeniknięcie do wewnętrznego kręgu bankiera finansującego terrorystów, w drugim wrogiem jest meksykański kartel narkotykowy. Zbiry zza Rio Grande porwały amerykańską kongresmenkę i zabiły jej rodzinę. Teraz nadchodzi czas zemsty. Oficjalnie rząd USA do niczego się nie przyzna, nieoficjalnie jego ludzie szykują się do nielegalnych operacji na terytorium Meksyku.

Taylor Sheridan, twórca serialu (i reżyser pierwszych dwóch odcinków), podbija jednak stawkę. Wojna z kartelami to nie tylko

walka z przemysłem narkotyków. Na meksykańskiej ziemi działają chińscy agenci, którzy inspirować rozmaite operacje zaczepne przeciw USA. „Myśleliście że trzecia wojna światowa zacznie się w Europie? Cóż, witamy w Meksyku!” – mówi jeden z bohaterów serialu. Sheridan, twórca takich hitów jak „Yellowstone”, „Mayor of Kingstown” czy „Tulsa King”, wie doskonale, czego oczekują widzowie. I nie są to jakieś ideologiczne wygibasy, tylko opowieści o akcji w najlepszym stylu Clancy’ego czy Forsytha. Umieśnieni do przesady goście otaczający Joe (Sheridan zagrał jednego z nich) wyglądają, jakby trafili na plan serialu wprost z filmu „Rambo II” albo „Commando”.

Kraj potrzebuje obrony, wolność potrzebuje tarczy, trzeba więc zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Gdy córka pyta główną bohaterkę, dlaczego ryzykuje życie, Joe odpowiada jej opowieścią o dziadku. Świeżo przybyły do Ameryki imigrant z Dominikany zgłosił się na ochotnika do armii zaraz po japońskim ataku na Pearl Harbor. Pytany, dlaczego idzie bronić ojczyzny, która była dla niego do niedawna obca, mówił: „Dopiero co nauczyłem się angielskiego, nie chcę się znowu uczyć niemieckiego albo japońskiego”. I Joe po latach nawiązuje do jego słów, tłumacząc córce: „A ja nie chcę, żeby moje dzieci musiały uczyć się rosyjskiego albo chińskiego”. Na drugim planie powracają znani z pierwszego sezonu Nicole Kidman, Morgan Freeman i Michael Kelly. Agentkę, która ma wniknąć w szeregi kartelu, zagrała zaś Genesis Rodriguez, gwiazda kanału Telemundo. ©

GRA TYGODNIA: „CALL OF DUTY: BLACK OPS 6”

Nie jestem fanem sieciowych strzelanek – lata nie te, refleks nie ten – dlatego cieszy mnie, że nowy „CoD” jest ciekawą propozycją także dla singlowców. Kampania dla pojedynczego gracza jest wciągająca i różnorodna, a jej

ukończenie zajmie nieco więcej niż jedno posiedzenie. Osadzenie w latach 90. także na plus, choć dbałość o szczegóły historyczne mogłaby być większa. Tak czy inaczej dostaliśmy najlepszą kampanię w „CoD” od lat.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

Całość do sprawdzenia w Game Pass. Grzech nie skorzystać. ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** akcji, FPS
- **Platforma:** PS5, PS4, XSX, XONE, PC
- **Producent; wydawca:** Treyarch
Activision; Blizzard

Życ, nie umierać

arte

Pojechał na trzy tygodnie odwiedzić chorego kuzyna, ocknął się po siedmiu latach. Hans Castorp stracił poczucie czasu, alpejski kurort stał się jego nową ojczyzną, lecz stara wcale o nim nie zapomniła. Zapotrzebowanie na mięso armatnie rośnie, gdy kończy się jedna epoka i zaczyna druga. Czy nas również to czeka? Film dokumentalny, nakręcony z okazji stulecia premiery „Czarodziejskiej góry”, nie stawia takich pytań, poprzestaje na ustaleniu okoliczności, w których powstała słynna powieść. Dzisiejsze Davos nie musi podierać się tradycją. Kurort, w którym pod pretekstem ratowania zdrowia konsumowano owoce ekonomicznego rozwoju Europy, zmienił image. Zamiast dobrze sytuowanych gruzlików, snobów i hipochondryków przyciąga sportowców i polityczno-finansową elitę. Sanatoria stały się hotelami.

W 1912 r. odwiedzający słabującą małżonkę Thomas Mann wpadł na pomysł, by z odklejonej od realiów społeczności kuracjuszy uczynić alegorię nieuleczalnie chorej zachodniej cywilizacji. Trudno mu się dziwić: przymusowe 10-godzinne



★★★★★

REŻ. ANDRÉ SCHÄFER, TABEA SPERL

„CZARODZIEJSKA GÓRA. THOMAS MANN I DZIEŁO JEGO ŻYCIA”

SZWAJCARIA 2024

leżakowanie może złamać psychicznie największego optymistę. Portret świata, który za chwilę miał się osunąć w przepaść, największe wrażenie zrobił na Niemcach. Przyszły noblista nie omieszkał bowiem nawiązać do podstawowego dylematu germańskiej duszy, rozdartej między oświeceniem (Settembrini) i romantyzmem (Naphta). Scenę uwodzenia Mann napisał po francusku, by wypadła bardziej subtelnie. Z kolei to, że sanatoryjna femme fatale to Rosjanka, dobrze świadczy o jego intuicji.

Analizujący fenomen „Czarodziejskiej góry” dostrzegają ewolucję poglądów autora. Przystępując do pracy nad powieścią, Mann nie był jeszcze demokratą, liberałem i pacyfistą. Rozważania o seksualnych rozterkach pisarza wydają się natomiast całkowicie zbędne. Nie oszukujmy się: obcowanie z opiewającym na prawie tysiąc stron dziełem jest wyzwaniem. Komentatorzy twierdzą, że warto je podjąć, jako że diagnoza Manna jest nadal aktualna i momentami dowcipna. Chcecie dowodu? Otóż jeden z kuracjuszy przemawia, stojąc pod wodospadem. Nikt go nie słyszy, ale musiało to być coś ważnego, skoro orator następnego dnia popełnił samobójstwo. ©©

Wiesław Chelminiak

NAWRÓCENIE MODLISZKI

KINO

Fenomen slow movie jednych zachwyca, drugich – zdecydowanie liczniejszą – irytuje. Kto widział „Strefę interesów”, ten łatwiej strawi wcześniejsze dzieło Glazera. Powieści, która natchnęła reżysera, nie znam, treść może kojarzyć się z „Istotą” lub „Terminatorem”. Kobieta znikąd poluje na samotnych mężczyzn, ale – jak to czasem bywa – łowczyni staje się zwierzyną. Pierwszy, improwizowany dialog usłyszymy dopiero w 14. minucie. Cóż, film jest sztuką obrazu, jednak minimalizm to propozycja estetyczna dla koneserów, podobnie jak zgrzytliwe kompozycje Micy Levi. Glazer zasłynął jako twórca oryginalnych teledysków, ale to, co w krótkim metrażu jest atutem, w długim okazuje się manieryzmem. Historię szkockiej Lorelai, która ku własnemu zaskoczeniu się uczłowiecza, dałoby się opowiedzieć w pół godziny. ©©



★★★★★

REŻ. JONATHAN GLAZER

„POD SKÓRĄ” („UNDER THE SKIN”)

WIELKA BRYTANIA/SZWAJCARIA/USA 2013

DO ZOBACZENIA

Wieś na fotografii



RADOSŁAW WOJTAS

Xodslona Gabinetu Fotografii – czyli cyklu tematycznych wystaw z wyjątkowych w skali kraju zbiorów fotografii XIX i początków XX w., które są w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie – poświęcona jest wsi. A zatem ekspozycja fotograficzna ciekawie koresponduje z inną wystawą czasową (obrazów Józefa Chełmońskiego) prezentowaną właśnie w warszawskim muzeum



FOT. JAN BUŁHAK/MN

narodowym. Warto zobaczyć je obie. (Chelmońskiego zwłaszcza, pisałem o tej wystawie w „Do Rzeczy” nr 41/2024).

„Przepełnione spokojem i tajemniczością krajobrazy wiejskie były wdzięcznym tematem prac wykonanych już w najstarszych technikach fotograficznych, jak kalotypia” – zauważa kuratorka wystawy Katarzyna Mączewska. – Fotografie wsi i jej mieszkańców służyły jako wzory do ilustracji w prasie, publikacjach naukowych, jako materiał warsztatowy dla artystów i badaczy, dokumentacja, wreszcie jako pamiątki, »pocztówki« z podróży”. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY? do 9 lutego 2025 r.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ukłony, panie Forsyth

Po „Outsidera”, autobiografię 86-letniego dziś Fredericka Forsytha, sięgnąłem z sentymentu do autora „Dnia Szakala”, którą to powieść w jej pierwszym polskim wydaniu z 1974 r. nie tyle przeczytałem, ile połknąłem. Ta wymyślona, ale przecież silnie osadzona w realiach historia zamachu na prezydenta Francji Charles’a de Gaulle’a tworzyła coś zupełnie nowego na styku czystej beletrystyki z literaturą faktu. Teraz dowiaduję się, że autorowi napisanie tego arcydzieła swego gatunku zajęło ledwie 35 dni.

Samemu procesowi pisania nie poświęca jednak Forsyth większej uwagi. Rozwodzi się raczej o swej miłości do lotnictwa, wspomina kolejne mocno awanturnicze misje dziennikarskie, korespondencje z regionów ogarniętych działaniami zbrojnymi, historie szpiegowskie, niektóre z całą pewnością prawdziwe, inne może niekoniecznie. Z anegdotami nie przesadza, ale te nieliczne są nader smakowite, jak np. ta o krótkowzroczności de Gaulle’a, który witając się na prowincji ze zgromadzoną ludnością i rozdając uściski dłoni, dziwnym trafem kilkakrotnie ścisnął prawie temu samemu mężczyźnie. Ten w końcu nie wytrzymał i syknął mu do ucha: „Monsieur le President, proszę przestać to robić. To moja pieprzona ręka z bronią”. „To był Paul Comiti – wspomina Forsyth – jego korsykański ochroniarz, który nie byłby w stanie dosięgnąć strzelca spod lewej pachy, gdyby coś się stało”.

Ale najciekawsze wydały mi się wspomnieniowe fragmenty autobiografii odnoszące się do... Niemiec. A te Forsyth poznał całkiem nieźle, już w latach szkolnych wyjeżdżając tam na wakacje, by doskonalić język. Choć ojciec

przyszłego pisarza latem 1952 r. „nie zgodził się na wizytę w ramach wymiany chłopca z Niemiec”. Po wojnie bowiem, gdy obejrzał film wykonany przez żołnierzy brytyjskich po zajęciu obozu Bergen-Belsen, powiedzieć miał: „Nie chcę już nigdy żadnego spotkać. Nigdy nie chcę, aby ktoś taki był u mnie w domu”.

Po latach, gdy Frederick Forsyth został korespondentem Agencji Reutera w Berlinie Wschodnim, sam nie podał ręki człowiekowi, który był strażnikiem w innym obozie. I dojdzie do słusznego przekonania, że hitleryzm nie wziął się z niczego i że choć na pewno nie wszyscy Niemcy byli zbrodniarzami, to jednak pomagali zbrodniarzom. Wykonywali funkcje pomocnicze, organizacyjne, sprawiając, że coś takiego jak np. Holocaust mogło się dokonać.

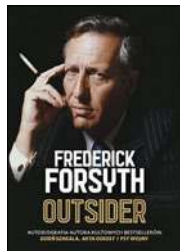
Przebywając w NRD, zwrócił Forsyth uwagę, że w stosunku do sprawców drugiej wojny światowej nie używano tam słów „naziszczy” ani – oczywiście – „Niemcy”. Winni byli „faszyści”, co dziwiło pisarza, gdyż uważał, że „faszystami byli Włosi. W głowach dzieci stworzono mocne wrażenie, że faszyści, jakby z kosmosu, po prostu przybyli, dopuścili się tych niehumanitarności, a następnie zostali wypędzeni, aby zamieszkać w ich nowym naturalnym domu, w Bonn, stolicy zachodnich Niemiec. Nikt tego nie kwestionował [...]”. Wszystko to prawda, tyle że Forsyth przy okazji sam spuszcza na ziemię niemiecką jeszcze innych kosmitów – wspomnianych „nazistów”.

Autor „Dnia Szakala” deklaruje się jako konserwatysta i prawicowiec. Bardzo konkretny: niejako programowo niechętny był Labour Party, co miało źródło w polityce rządu Harolda Wilsona, kiedy to

Frederick Forsyth – jako korespondent w Afryce a i agent MI6 w jednym – opowiedział się po stronie secesjonistów z Biafry, obwiniając Londyn za niespotykanej skali kryzys humanitarny, który miał miejsce w pogrążonej w wojnie domowej Nigerii. Oskarżany o brak obiektywizmu zakończył współpracę z BBC, kąśliwie zauważając po latach, że w tej uchodzącej za szczyt dziennikarskiego profesjonalizmu instytucji wyższe szczeble biurokracji najwyższej ceniły „oddaną służalczość wobec rządu, oczywiście pod warunkiem, że był to rząd Partii Pracy”. A w końcu lat 60. tak właśnie było.

Polityka gabinetu Harolda Wilsona uderzyła też pisarza po kieszeni. W 1974 r. ówczesny minister skarbu podniósł podatek dochodowy do 83 proc. i Forsyth doszedł do wniosku, że tego już za wiele, wraz z żoną wyjeżdżając do Hiszpanii. Po roku przenieśli się do Irlandii, gdzie artyści, z pisarzami włącznie, zwolnieni byli z podatku w ogóle. Żyłoby się im tam znakomicie, ale małżonkę twórcy „Pięści Boga”, choć samą urodzoną w Irlandii, nie na żarty wystraszyła możliwość porwania przez IRA dzieci i niemal po pięciu latach wymogła na mężu decyzję powrotu. A że akurat w 1979 r. wybory wygrała Margaret Thatcher, „a maksymalna stawka podatku dochodowego – czytamy – spadła z 83 proc. do 60 proc., co choć wciąż wysokie, było akceptowalne”, słowo całkiem się stało.

Naprawdę – zapewnienia Forsyth w tej sprawie nieco przekornej autobiografii – „nigdy nie wyemigrowałem i nigdy nie wyemigruję”. No pewnie, nie ma jak „Anglia, stara Anglia”. Czy w tej sytuacji może dziwić, że pisarz był i jest zdecydowanym przeciwnikiem Unii Europejskiej? ©©



★★★★★

FREDERICK
FORSYTH
„OUTSIDER”
ZONA ZERO,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pierwsza przyczyna

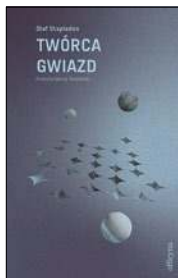
Rozmachem wizji i jej ideową głębią co najmniej dwukrotnie Wellsa przewyższył” – pisał Stanisław Lem. Rzadko o jakimś fantascie tak się wyrażał. Jako dowód wielkości Stapledon wskazywał powieści „Dziwny John” oraz „Ostatni i pierwsi ludzie”. Tłumacz i autor posłowa do „Twórcy gwiazd”, Maciej Świerkocki, przypomina nam trzecią książkę z kanonu brytyjskiego pisarza. Jest to opowieść łącząca naukowe fascynacje, filozoficzne ambicje i religijne tęsknoty, choć Stapledon był agnostykiem. Filozof uprawiający zawód pisarza – określa go Świerkocki, w odróżnieniu od Wellsa, pisarza próbującego filozofować.

„Twórca gwiazd” to kontynuacja rozważań z książki „Ostatni i pierwsi ludzie”, w której Stapledon malował przyszłą historię gatunku ludzkiego. Tym razem pozwala swemu bohaterowi wyzwolonemu z więzienia ciała podróżować w odległe zakątki wszechświata i natrafić na ni mniej, ni więcej tylko twórcę wszystkiego. Kluczowa uwaga: kosmos okazuje się inteligentnym projektem, ale istoty stojące za jego powstaniem nie nazywa Stapledon bogiem. Sugeruje natomiast, że jego dziełem są

także inne wszechświaty (jedne udały się lepiej, inne gorzej), a także że w żaden sposób nie jest emocjonalnie zaangażowany w relację ze swym dziełem. Ocenia je obojętnie, z punktu widzenia fachowca: to się udało, to nie udało, tu można było zachować inne proporcje, tu trzeba było od razu poprawić. Przypomina się parodia religii, którą zaproponował Kurt Vonnegut w „Kocie kołysce”, proponując Kościół Boga Doskonale Obojętnego; nie wiem, czy dla Vonneguta inspiracją było właśnie dzieło Stapledon (z kolei Oramus w „Dniu drogi do Meorii” opisywał m.in. Kościół Boga Odwróconego).

Jednak nie parodia, nie kpina jest celem Stapledon. „Twórca gwiazd” nie jest dziełem poddającym się streszczeniu – to rzeczywiście fantazja filozoficzna w formie powieści; fantazja, w której są i Nietzsche, i Spengler, i Spi-

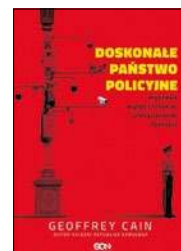
noza, i filozofowie greccy. Nie jest to dzieło antychrześcijańskie, lecz achrześcijańskie, nie jest to dzieło ateisty, bo ateizm to pustka, a na pustkę Stapledon zdecydowanie się nie zgadza. Napisana w 1937 r. książka inspirowała pokolenia fantastów, naukowców i myślicieli. I inspirowe nadal. ©



★★★★★
OLAF STAPLEDON
„TWÓRCA GWIAZD”
OFFICyna 2024

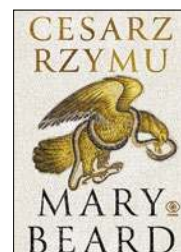
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wyprawa w głąb inwigilacyjnej dystopii” – szokująca, bo zachodni czytelnik nie ma pojęcia, jak szybko zachodzą niepokojące procesy. Doskonały ciąg dalszy książki Strittmattiera „Chiny 5.0. Jak powstaje cyfrowa dyktatura”.



GEOFFREY CAIN
„DOSKONAŁE PAŃSTWO POLICYJNE”
WYDAWNICTWO SQN

Ze szkoły pamiętamy nazwy dynastii i imiona władców. Ale jak daleko sięgały ich uprawnienia? Kto mógł stanąć przed ich obliczem? Dokąd i dlaczego podróżowali? Jak szukano następców? Jak wyglądało życie w pałacu?



MARY BEARD
„CESARZ RZYMU”
REBIS

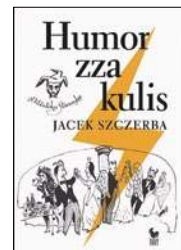
Życie u kresu pięknej epoki, czyli pamiętnik guwernantki Wandy Badenianki, a potem nauczycielki arcyksiężniczki Elżbiety Marii (Erzsi), wnuczki cesarza Franciszka Józefa. Fascynujący obraz życia wyższych sfer.



ANONIM
„WSPOMNIENIA CESARSKO-KRÓLEWSKIEJ GUWERNANTKI”
ZYSK I S-KA

Jakże odświeżające: gwiazdy scen i ekranu wypadają dużo lepiej, gdy mówią o poczuciu humoru i sypią anegdotami, niż gdy mędrkują o polityce. Łazuka, Olbrychski, Opania, Dałkowska. Także zmarły niedawno Janusz Majewski

recenzuje Piotr Gociek



JACEK SZCZĘBA
„HUMOR Z KULIS”
ISKRY

KOMIKS TYGODNIA: KREW WOŁYNIA

Sośnica na Wołyniu, polska wioska otoczona ukraińskimi sąsiadami. Czasy drugiej wojny światowej – Ukraina Hałynka i Polak Bronek mają się ku sobie. Ale idzie czas pogardy. Spełnią się znów słowa Sienkiewicza z „Ogniem i mieczem” o „nienawiści, co wrosła w serca i zatrąła krew pobra-



ROBERT KONSZTAT I SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI
„MAM NA IMIĘ JÓZIA”
WYDAWNICTWO KOMIKS I MY 2024

tymczą”. Poruszająca graficzna opowieść o rzezi wołyńskiej.

Piotr Gociek

Jak przełagać Wielkiego Niedźwiedzia?



Piotr Semka

Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że Lech Mażewski może z taką lekkością oddawać Litwę, Białoruś i Ukrainę na wieczyste życie w rosyjskiej strefie wpływów. Jednak potem pomyślałem sobie, że psychologicznie można to sobie wyjaśnić. Gdy człowiek czuje się bezradny – łatwo wpada w panikę. I szuka jakiejś magicznej formuły, jak przełagać agresora

Wojna na Ukrainie od dłuższego już czasu nudzi Zachód. Okazuje się, że kraje NATO i Unii nie są mentalnie gotowe na konflikt trwający dłużej niż rok. Kanclerz Olaf Scholz na nowo deklaruje, że zamierza szukać kontaktu z prezydentem Władimirem Putinem. Wszyscy zastanawiają się, co oznaczają słowa Donalda Trumpa, że gwarantuje on szybkie zakończenie wojny. A z Ukrainą jest jak u Krasickiego – „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły”. Jedni zgadzają się tylko na uznanie zaboru przez Rosjan ziem, które podbili w czasie wojennej agresji, inni skłonni są zaakceptować 20-letnią obietnicę nieprzyjmowania państwa ukraińskiego do NATO. Polska, zrażona nietaktami prezydenta Wołodymyra Zełenskigo i brakiem odzewu na apele o ekshumacje na Wołyniu, zachowuje ostrożne milczenie.

Nie zaskakuje, że w tym nowym politycznym klimacie zaczynają się pojawiać

propozycje ułożenia na nowo relacji polsko-rosyjskich. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby dywagacje na ten temat trzymały się choćby w jakimś stopniu kontaktu z politycznymi realiami. Niestety, standardów tych nie spełnia tekst Lecha Mażewskiego pt. „Polsko-rosyjski modus vivendi?”. Zawiera on taką liczbę zdumiewających stwierdzeń i naiwnych pobożnych życzeń, że postanowiłem podjąć z nim polemikę.

Publicysta ten wieszczy, że wobec zapowiadającego się zwycięstwa Rosji nad Ukrainą trzeba rozejrzeć się za jakimś polsko-rosyjskim modus vivendi. I od

razu proponuje warunki takiej ugody: „Wycofanie się ze Wschodu”.

Mażewski pisze, że przełom w stosunkach Polski z jej wschodnimi sąsiadami nastąpił na początku lat 50., gdy emigracyjne środowisko paryskiej „Kultury” uznało nieodwracalność nowej granicy polsko-sowieckiej i uznało zrzeczenie się przez Polskę Wilna i Lwowa na rzecz sowieckiej Litwy i sowieckiej Ukrainy. Jak przypomniał, środowisko skupione wokół Jerzego Giedroycia i środowiska Maisons-Laffitte zaproponowało, że nową formą polskiej obecności na dawnych Kresach miałyby być wspieranie emancypacji narodów



na terenie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jak z wyraźnym ubolewaniem stwierdza, po 1989 r. władze niepodległej Polski były wierne tej linii i starały się wpływać na proces emancypacji narodów za naszą wschodnią granicą wobec Związku Sowieckiego, a potem Rosji. Lech Mażewski nie ukrywa, że w jego opinii był to błąd. Co więcej, stawia nawet absolutnie nieudowodnioną tezę, że w 2020 r. Warszawa brała udział w próbie obalenia prezydenta Alaksandra Łukaszenki. Dowodów na to żadnych nie przytacza, co

Jak można brać serio tezy autora, który nie jest w stanie nawet jasno wyrazić swoich myśli? Początkowo pisze o postulatcie „utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi naszymi wschodnimi sąsiadami”, a przecież naszymi wschodnimi sąsiadami są zarówno Litwa, jak i niepodległa Ukraina. A jednak Mażewskiemu nie chodzi o żadne relacje z sąsiadami tylko – co pisze nieco dalej – o uznanie zwycięstwa Rosji na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Rosyjskiego.

Nawet Mażewskiemu najwyraźniej głupio jest jednoznacznie pisać o oddaniu pod władzę Moskwy Litwinów i Ukraińców. Albo woli taki ezopowy język, aby ukryć zgodę na bezpośrednie władztwo Rosji nad Wilnem czy też jakąś formę wasalizacji Litwy i Ukrainy (bo Białoruś już jest ubezwłasnowolniona). Krótko mówiąc,

Lech Mażewski uważa, że nie ma co się już rozdrabniać nad jakimiś dyskusjami o gwarancjach bezpieczeństwa dla nawet okrojonej Ukrainy, tylko trzeba od razu zakładać, że rosyjska władza zaczynać się będzie od obecnej granicy polsko-ukraińskiej. A ponieważ uważa, że to już wszystko jedna wielka rosyjska strefa wpływów, to lekką rączką oddaje Rosji całą Litwę i – jak można się domyślać – także Łotwę i Estonię, bo przecież państwa bałtyckie nie utrzymają się w pojedynkę, gdy już jedno z nich zostanie wsadzone w kremlofskie imadło.

W imię czego strefa względnego bezpieczeństwa i przewidywalności dla Polski ma się cofnąć o 2 tys. km na Zachód? Z poziomu linii frontu na Charkowszczyźnie, w Zaporozżu i w okolicach Chersonia przeskoczyć ma na nowy limes – od przesmyku suwalskiego, poprzez granicę z Białorusią, aż po linię granicy polsko-ukraińskiej po Ustrzyki Dolne? Mamy wyzbywać się wpływu na naszych wschodnich sąsiadów, bo nagle uznajemy, że wszystko przepadło? Że trzeba pozostawić Litwinów i Ukraińców samym sobie? Po 30 latach niekiedy trudnych, a niekiedy owocnych kontaktów. Arogancja Żelęńskiego i kwestia Wołynia mają być

„ultima ratio”, która ma nagle kazać nam oswajać się z sowieckimi oddziałami po drugiej stronie przejść granicznych w Kalwarii czy Ogrodnikach w wypadku Litwy czy w Dorohusku, Korczowej czy Medyce – w wypadku Ukrainy. Mażewski ma niezwykle lekką rączkę w bawieniu się myślami o gigantycznej zmianie w strategicznym położeniu naszego kraju.

„PUTIN TO KAGEBISTA? BUSH TEŻ BYŁ W CIA!”

Aby uspokoić mniej podejrzliwego czytelnika, że takie zmiany to nic strasznego, Lech Mażewski sięga po kolejną publicystyczną kartę. Przedstawia Rosję jako mocarstwo już jedynie regionalne, a nie – jak wcześniej w wypadku ZSRS – globalne. Kreuje obraz Rosji jako faktycznej ofiary Zachodu, którą zachodni partnerzy chcieli pozbawić dochodów z ich własnych bogactw naturalnych. A jednocześnie kreuje Rosję putinowską na kraj, który „nie wraca do komunizmu, nie szerzy idei jedności słowiańskiej, nie jest nosicielem prawosławnego prozelityzmu”.

Nie wraca do komunizmu? Czyż gospodarka rosyjska nie działa w trybie wszechwładzy państwa jako czynnika mającego umożliwić mobilizację wojenną? Moskwa nie szerzy idei jedności słowiańskiej? A w imię czego chciała zdobyć całą Ukrainę i oddać ją ponownie jakiemuś figurantowi w rodzaju Wiktora Janukowycza? W imię czego Putin udawał, że nigdy nie istniała żadna Ukraina, a istniała jedynie „Małorosja”, która w naturalny sposób należy do „Roskiego miru”? Putin nie jest nosicielem prawosławnego prozelityzmu? No to niech Lech Mażewski poczyta rosyjskie gazety, które przedstawiają np. katolików na Białorusi jako ofiary polskiego i watykańskiego spisku, który oddzielił ich od naturalnego i tradycyjnego dla Białorusi prawosławia w wydaniu patriarchatu moskiewskiego.

Przyznam, że nawet przyzwyczajając się powoli do wizji świata Lecha Mażewskiego, do głowy mi nie przyszło, że ktoś, kto świadomie przeżył lata 70. i 80., może podzielać twierdzenia zachodnich obrońców dawnego systemu sowieckiego, którzy zrównywali sowiecki komunizm z amerykańską demokracją jako systemy faktycznie bardzo do siebie podobne. Nie wierzą państwo? No to



pokazuje, jak bardzo swój tekst buduje na wątpliwych tezach.

I wreszcie stawia pytanie: „Czy nie należałoby jasno uznać, że dzieje imperium polsko-litewskiego są ostatecznie zakończone i że interes Polski na tych terenach polega jedynie na ochronie mniejszości narodowej, zabytków narodowej kultury, cmentarzy oraz utrzymywaniu dobrych stosunków z wszystkimi naszymi sąsiadami? Byłaby to treść naszej Ostpolitik [...]. Najwyższa pora [...] uznać zwycięstwo Rosji w kilkunastowiecznych zmaganiach o dominację nad terenami Wielkiego Księstwa Litewskiego”.

niech państwo posłuchają, co pisze Mażewski: „Czy zaprzeczeniem aideologicznego charakteru Rosji jest to, że na jej czele stoi ekipa mająca za sobą służbę w sowieckich strukturach specjalnych (KGB i GRU)? To nic nadzwyczajnego, skoro prezydent George H.W. Bush pełnił uprzednio stanowisko dyrektora CIA” – pisze Mażewski. Mażewski sili się na autoironiczny ton, zaznaczając, że oczywiście wie, iż to coś zupełnie innego, skoro agencja z Langley działa „w interesie demoliberalnego imperium dobra”.

Żyję dostatecznie długo, by pamiętać retorykę rozmaitych francuskich i zachodnioniemieckich pacyfistów, którzy na każde pytania o sowieckie inwazje Węgier, Czechosłowacji czy Afganistanu odpowiadali wymienianiem amerykańskich interwencji w Iranie, Nikaragui czy na wyspie Grenada. A na podnoszenie kwestii więzienia przez reżim Breżniewa dysydentów w rodzaju Andrieja Sacharowa natychmiast odpowiadali, że w Ameryce więziona jest działaczka praw człowieka Angela Davis. Gdyby ktoś mi w latach 90. powiedział, że ówczesny polityk Kongresu Liberalno-Demokratycznego Lech Mażewski będzie popisywał się takim symetryzmem, uznałbym, że jest to raczej niemożliwe. Dziś widzę to na własne oczy.

POLSKA WASALEM CZY OFIARĄ?

Mażewski pisze: „Do schyłku XVII w. imperium polsko-litewskie było mocarstwem, ale później mieliśmy dwie opcje: bycie wasalem lub ofiarą, przy czym częściej wybieraliśmy tę drugą rolę, uważając chyba, że jest bardziej zaszczepna. Dziś Polska wobec rosyjskiego mocarstwa nie stoi przed koniecznością dokonania wyboru: być jego wasalem czy ofiarą, gdyż daje nam to obecność w NATO. To poczucie przynajmniej względnego bezpieczeństwa należy oczywiście wzmacniać powiększaniem własnej siły zbrojnej i odporności państwowej w ogóle”.

I znów czytam i nie wierzę własnym oczom. Czy Mażewski na serio wierzy, że Polska, która spisie na straty Litwę, Białoruś i Ukrainę, będzie z sowieckimi czołgami na wschodnich granicach w pełni bezpieczna, bo chroni nas art. 5 traktatu NATO? Jeśli suwerenność Litwy i Ukrainy wobec Rosji upadnie, to Rosja natych-

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby odgadnąć, że dla Putina powrót do ugody z Berlinem jest sto razy ważniejszy niż silenie się na jakieś wydumane partnerstwo z Polską

miast przejdzie do przesuwania strefy swoich politycznych życzeń na Zachód. Tym razem już pod hasłem finlandyzacji Polski. Skoro Ukraina jako członek NATO jest uważana za zagrożenie dla rosyjskiej mocarstwowości, to dlaczego za parę lat w myśl podobnej ideologii nie zacznie być stawiana kwestia redukcji polskiej armii do symbolicznych rozmiarów? Mażewski myśli, że jak świat przełknie zdradę Ukrainy, to Rosja grzecznie zatrzyma się na linii Curzona?

I wreszcie ostatni kwiatek z tego niewiarygodnego tekstu. Mażewski głosi, że „w dzisiejszych realiach oznacza to konieczność nawiązania na tyle owocnej współpracy między Warszawą i Moskwą, a z pewnością z udziałem Mińska i być może Kijowa, żeby zelżała chociaż nieco intensywność kooperacji na linii Berlin – Moskwa. Oczywiście to Moskwa decydowałaby, kogo wybierze na swego partnera: Berlin czy Warszawę”. Radę Mażewskiego odczytuję tak: jeśli będziemy ulegli wobec Putina, to Moskwa zrezygnuje z planów powrotu do kooperacji na linii Rosja – Niemcy, w której Niemiec gospodarka rozwija się dzięki tanim rosyjskim surowcom. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby odgadnąć, że dla Putina choćby ze względów historycznych, nie tylko ekonomicznych, powrót do ugody z Berlinem jest sto razy ważniejszy niż silenie się na jakieś wydumane partnerstwo z Polską. Kreml i tak jest przekonany, że prędzej czy później odbije Ukrainę, a w dogodnym momencie na dodatek połknie państwa bałtyckie. Dlaczego ma się przejmować jakimiś propozycjami znad Wisły złożenia wieczystego ślubu désintéressement Polski wobec ziem między Bugiem a Berezyną?

Pominę już milczeniem iście księżycowe rozważania Mażewskiego, że

partnerem w takiej wyimaginowanej ugodzie z Rosją miałby być akurat Jarosław Kaczyński. Ale wszystko staje się logiczne, choć jest to trudna do przyjęcia logika, gdy czytamy jedno z ostatnich zdań w tekście Mażewskiego. Za złe relacje z Kremlm obwinia on „nieprzytomną nagonkę antyrosyjską i antyputinowską rozpętaną (w Polsce) po zintensyfikowaniu wojny na Ukrainie pod koniec lutego 2020 r.”. Jak pisze publicysta: „Polska nie prowadzi żadnej własnej polityki wobec Wschodu – jest jedynie narzędziem w rękach państw zachodnich, co potęgowane jest rodzinną chorobą na Moskala”.

Jak widać, pióro Mażewskiego nie jest w stanie napisać słów „agresja z lutego 2022 r.”. Z zadziwiającą łatwością tworzy neologizmy w rodzaju „intensyfikacja wojny na Ukrainie”. Uważne dobieranie określeń tak, aby nie postawić Rosji w złym świetle – jak widać – wchodzi w krew, zanim jeszcze do jakiegokolwiek ugody doszło. Już trzeba chodzić na paluszkach wokół poczyną Kremla.

PRZEBŁAGAĆ NIEDŹWIEDZIA

Jak już wspominałem początkowo, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że człowiek, który należał do szeroko rozumianego pokolenia Solidarności Jana Pawła II, który przeżył aktywnie tamte zmagania po stronie tych, którzy działali na rzecz wyzwolenia się Polski spod władzy Kremla, może teraz z taką lekkością oddawać Litwę, Białoruś i Ukrainę na wieczyste życie w rosyjskiej strefie wpływów. Ale potem pomyślałem sobie, że psychologicznie można to sobie wyjaśnić. Na naszych oczach widzimy, jak Zachód jest bezradny wobec skuteczności polityki agresji Putina. A gdy człowiek jest bezradny – łatwo wpada w panikę. I szuka jakiejś magicznej formuły, jak przebłagać agresora. Niczym te plemiona indiańskie, które składają symboliczne dary przodkom, aby tylko niedźwiedź nie zaatakował ich wioski. Problem w tym że tych Indian, którzy znajdowali w sobie odwagę, by wyruszyć na niedźwiedzia, los traktował lepiej niż tych, którzy drżeli w swoich wigwamach i każdej nocy wysłuchiwali dźwięków zbliżania się drapieżnika. Zdolni jedynie do podtrzymywania ognia na ofiarnym ołtarzu. Myślę, że większość Polaków nie chce tak żyć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Od nieudanej ofensywy Ukrainy na Zaporozu w lecie 2023 r. front przesuwają się pod naporem Rosjan. Nie są to postępy porównywalne do tempa ofensyw z okresu drugiej wojny światowej, ale Kijów powoli traci kolejne tereny – głównie w Donbasie. Towarzyszą temu liczne dezercje. „The Economist” podał, że wynoszą one 28 proc. ogółu żołnierzy, co jedynie pogłębia trudną sytuację armii ukraińskiej.

Koncentrowane do zimowej ofensywy oddziały rosyjskie zapewne chciałyby nie tylko zdobyć resztę Donbasu, lecz także zagarnąć drugi okręg przemysłowy Ukrainy: Krzywy Róg-Zaporoże oraz Dniepropietrowsk, docierając do Dniepru i czyniąc z tej rzeki w przyszłości naturalną granicę między Rosją a Ukrainą. Żeby zapobiec tak katastrofalnemu rozwojowi sytuacji, Kijów planuje przeprowadzenie kontrofensywy na wiosnę 2025 r., która miałaby zniwelować potencjalne rosyjskie sukcesy. W najbliższym czasie nad Dniepr mają trafić ok. tysiąca jednostek ciężkiego sprzętu (czołgi, transportery opancerzone, zestawy artyleryjskie), miliony sztuk amunicji różnorodnego kalibru oraz kilkadziesiąt samolotów F-16 i kilkanaście Mirage 2000 ze wszystkich państw zachodnich, a nie tylko Stanów Zjednoczonych.

Już dziś najlepsze brygady ukraińskie są przezbrajane, szkolone, często poza terytorium Ukrainy, i przygotowywane do kolejnych walk. Zachód liczy, że tym razem nie powtórzy się katastrofa, którą była ofensywa ukraińska na Zaporozu. Tak czy owak czeka nas rozstrzygające starcie w wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Co w tej sytuacji miałyby do zaproponowania nowy prezydent USA?

DOMNIEMANY PLAN TRUMPA

Ostatnio „The Wall Street Journal” ujawnił, na czym polegałby domniemany plan pokojowy prezydenta Trumpa. Nie ma w nim mowy o zawarciu traktatu pokojowego, a jedynie chodziłoby o pewne prowizoryczne rozwiązanie. Linia rozgraniczenia wojsk miałaby przebiegać wzdłuż aktualnej linii frontu, a więc Rosja nie byłaby zmuszona do oddania zajętego dotąd terytorium. Towarzyszyłoby temu powstanie strefy buforowej.

Nie znaczy to, że takie rozwiązanie nie mogłoby mieć cech trwałości, o czym

świadczą sytuacja na Półwyspie Koreańskim albo na Cyprze. Ponadto ustanowiono by 20-letnie moratorium na przystąpienia Ukrainy do NATO. Niezwążane byłoby to jednak z demilitaryzacją Ukrainy, bo Zachód nadal mógłby zbroić to państwo, a nie tylko pomagać w jego odbudowie. Na Ukrainie miałyby pojawić się siły pokojowe, ale nie pod egidą ONZ, a wyłonione spośród wojsk europejskich członków NATO. Z innych informacji wynika, że w grę wchodziłoby wysłanie kontyngentów przez Wielką Brytanię, Francję, Niemcy i Polskę, nie przez USA, przy czym główny wkład miałyby mieć Warszawa.

manie i odbudowę Ukrainy. Najważniejsze jednak byłoby, jak ocenia to Moskwa, bo inaczej cały ten plan to mało realny pomysł, nieuwzględniający stanowiska istotnego aktora wydarzeń.

ODPOWIEDŹ ROSJI

Deklarowanym celem Rosji w wojnie toczzonej od lutego 2022 r. nie jest aneksja Ukrainy. Miałyby ona utracić możliwość wejścia do NATO, ulec demilitaryzacji, a także poprzez debanderyzację przyjąć pewne ograniczenie co do kształtu swego życia politycznego. Przypominałoby to nieco status Finlandii po 1947 r.

Odwrócony Kissinger?



Lech Mażewski

Donald Trump zapowiadał, że gdy ponownie zostanie prezydentem USA, to w ciągu 24 godzin (niekiedy była mowa o 48 godzinach) zakończy konflikt rosyjsko-ukraiński. I wygrał. Jak zatem wyglądałaby perspektywa błyskawicznego zakończenia wojny nad Dnieprem?

Na koniec wreszcie – ciężar odbudowy i finansowego subsydiowania Ukrainy i jej armii spoczywałby na państwach Unii Europejskiej. Zakłada się, że rozmowy rozpoczęłyby się jeszcze przed zaprzysiężeniem Trumpa na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pomijam reakcję Ukrainy w sprawie tego domniemanego planu Trumpa, bo to państwo jest całkowicie zależne od Waszyngtonu. Nie wydaje się też, aby państwa europejskie były gotowe wysłać swoje wojska nad Dniepr po ustaniu tam walk albo łożyć w ramach UE na utrzy-

Już w 2014 r. zapadła decyzja o przyłączeniu Krymu do Rosji, jednak los innych terytoriów został rozstrzygnięty dopiero w połowie 2023 r. Wtedy zapadła decyzja, że obie republiki donbaskie (Doniecka Republika Ludowa i Ługańska Republika Ludowa) w granicach administracyjnych oraz obwodów zaporoski i chersoński także w granicach administracyjnych stały się częścią Federacji Rosyjskiej, przy czym nie wykluczono, że kolejne obwodów Ukrainy znajdą się w tej samej sytuacji. Zakończenie wojny miało skutkować podpisaniem traktatu pokojowego oraz zniesieniem

■ sankcji nałożonych przez Zachód na Rosję. Tak wyglądało stanowisko Moskwy w momencie pojawienia się w „WSJ” publikacji o domniemanym planie pokojowym Trumpa.

Chyba nieprzypadkowo ta publikacja poprzedziła o dwa dni spotkanie Klubu Władajskiego, znanego rosyjskiego think tanku, na którym prezydent Władimir Putin mógł się odnieść do stanowiska prezydenta elekta USA. Na początek przywódca Rosji wyraził zadowolenie z powodu chęci nawiązania dialogu amerykańsko-rosyjskiego w sprawie zakończenia wojny nad Dnieprem. Jednocześnie w dłuższym wystąpieniu, będącym obszerną analizą sytuacji międzynarodowej, a w szczególności przyczyn istniejących konfliktów, stwierdził, że kształtujący się nowy porządek globalny musi mieć charakter zarówno policentryczny, jak i polifoniczny. Słowem: zamiast amerykańskiej hegemonii nie powinna pojawić się jakakolwiek inna, natomiast w sprawach wewnętrznych każde państwo decyduje samo o sobie. Niejako na marginesie tych rozważań potwierdzone zostało dotychczasowe stanowisko Moskwy odnośnie do sposobu rozwiązania konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Nie pojawiły się tu żadne nowe elementy.

W praktyce stanowisko prezydenta Rosji oznacza, że nie ma mowy o zakończeniu wojny na Ukrainie w przysłówowe 24 godziny lub 48 godzin, aczkolwiek można na ten temat rozpocząć rozmowy. Dopiero efekty zimowej ofensywy rosyjskiej, a także planowanej na wiosnę przyszłego roku kontrofensywy ukraińskiej mogłyby umożliwić podjęcie inicjatyw dyplomatycznych, takich jak domniemany plan Trumpa, ale i to zależałoby od sytuacji na froncie. Nie było to sformułowane explicite, ale wydaje się oczywiste.

ZUPEŁNIE INNA SYTUACJA

Domniemany plan pokojowy Trumpa mógłby mieć zastosowanie jedynie wówczas, gdyby zimowa ofensywa

rosyjska się nie powiodła albo wiosenna kontrofensywa ukraińska doprowadziła do odepchnięcia Rosjan od Dniepru, ale na tym wyczerpałyby się możliwości Kijowa. W takiej sytuacji nic nie stałoby na przeszkodzie implementacji pokojowych propozycji prezydenta USA. Wydaje się, że w grę nie wchodziłaby dyplomatyczna interwencja żadnego z mocarstw w celu stordowania planu Trumpa.

Gdyby jednak Rosjanie nie tylko doszli do Dniepru, lecz także utrzymali się na linii tej rzeki, co byłoby równoznaczne z tym, że wiosenna kontrofensywa

ukraińska zakończyłaby się fiaskiem, to domniemany plan prezydenta USA nie znalazłby zastosowania, frontowe realia bowiem nie odpowiadałyby jego założeniom. Negocjacje pokojowe musiałyby się odbywać na warunkach formułowanych od końca lutego 2022 r. przez Putina, inaczej pojawiłaby się groźba forsowania przez Rosjan Dniepru w celu zajęcia Chersonia, a następnie zdobycia Odessy, a więc uczynienia z Ukrainy państwa rolniczego bez dostępu do morza. Sukces Moskwy mogłaby uniemożliwić jedynie dyplomatyczna interwencja Pekinu. Tylko dla czego Chiny miałyby ratować Zachód, a przede wszystkim USA, przed tym wielkim blamażem? Czyż upokorzony Waszyngton i osobiście prezydent Trump nie byłiby łatwiejszymi przeciwnikami w dalszej rozgrywce chińsko-amerykańskiej? Jest też oczywiste, że tego rodzaju zwycięstwo Moskwy nie



Putin dał do zrozumienia, że zamiast amerykańskiej hegemonii nie powinna pojawić się jakakolwiek inna, natomiast w sprawach wewnętrznych każde państwo decyduje samo o sobie



Plan Trumpa mógłby mieć zastosowanie, **jedynie** gdyby zimowa ofensywa rosyjska się nie powiodła

stwie w Europie z USA i Rosją w roli głównych mocarstw europejskich. W efekcie wrócilibyśmy do stanu po zakończeniu 30-letniej europejskiej wojny domowej z lat 1914–1945. Odtąd Stary Kontynent przestał być znaczącym podmiotem geopolitycznym, a wszelkie opowieści o autonomii strategicznej Europy to tylko labidzenia prezydenta Emmanuela Macrona, poważnie traktowane chyba jedynie przez kogoś takiego, jak Jacek Bartosiak, prezes Strategy and Future.

Realizacja tego rodzaju rozwiązania obsługiwałaby zarówno interes Waszyngtonu, jak i Moskwy, gdyż Chiny utraciłyby możliwość bycia mocarstwem europejskim, do czego od pewnego czasu pretendowały. To z kolei mogłoby pomóc Rosji w jakimś stopniu wyzwolić się z istniejącej zależności wobec Chin, a USA wzmocnić swoją pozycję w rywalizacji z tym mocarstwem. Wobec chronicznej słabości UE można by przejść do porządku nad ewentualnymi protestami Brukseli, Berlina czy Paryża. Czyż nie byłby to „odwrócony Kissinger”, tym razem wspólnie wymierzony przez USA i Rosję w globalne interesy Chin? Wszystko jest możliwe, jeśli w grę wchodzi realne interesy mocarstw, które są w stanie je egzekwować – a tak byłoby w tym przypadku. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. ADRIAN STOK

zniósłoby jej statusu jako junior partnera Pekinu, stąd Państwo Środka mogłoby pozwolić sobie na beczynność.

Ale możemy sobie wyobrazić jeszcze inną sytuację. Zwycięstwo Rosji na wiosnę 2025 r. jest tak duże, że prezydent Putin kładzie na stół propozycje

sformułowane 17 grudnia 2021 r. Wtedy chodziło nie tylko o Ukrainę, lecz także o to, aby na terytorium członków NATO przyjętych do tej organizacji po upadku ZSRS nie było amerykańskich instalacji wojskowych, a ponadto by doszło do zawarcia nowego traktatu o bezpieczeń-

REKLAMA

Filmopedia

FILM od 1946 roku

67 lat

historii filmu

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

ODWIEDZ STRONĘ **filmopedia.org** I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



Trudno wyobrazić dziś sobie Kościół w Polsce bez Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. To dzięki tej instytucji udało się wypracować w XX w. oryginalne odczytanie filozofii tomistycznej, co procentuje do dziś w wielu polskich ośrodkach intelektualnych, społecznych i kulturowych. Wielkie nazwiska w teologii z o. Jackiem Woronieckim na czele, cała rzesza uczonych z innych dyscyplin... Przez ponad 20 lat na KUL pracował Karol Wojtyła, tam nabierając zasadniczej formacji i wypracowując trzon swoich koncepcji etycznych, co Kościołowi powszechnemu przyniosło znaczące owoce w postaci zdecydowanej i dobrze uargumentowanej obrony życia ludzkiego już w czasie pontyfikatu Jana Pawła II. Nic dziwnego, że uczelnia dwa dni po śmierci polskiego papieża przyjęła jego imię. Tym głębiej szokuje, że w ostatnich latach coraz więcej jest przykładów na odejście od tego, co Benedykt XVI nazywał wartościami nienegocjowalnymi, zwłaszcza w kwestii prawa każdego człowieka do życia.

1 września 2024 r. na KUL rozpoczęło działalność Collegium Medicum. Prorektorami jednostki zostali wybitni specjaliści: kardiolog prof. Maciej Banach i kardiochirurg prof. Michał Zembala. Jeżeli komuś by się wydawało, że studia medyczne na katolickiej uczelni będą cechować się komplementarnością przekazu fachowej wiedzy i katolickiej optyki na fundamentalne zagadnienia etyczne, to może się rozczarować.

MEDYCYNA BEZ „ŚWIATOPOGLĄDU”?

O przyszłości Collegium Medicum Banach i Zembala rozmawiali niedawno z portalem „Rynek Zdrowia”. Zembala stwierdził, że KUL musi „pokazać dokonania, wiedzę i doświadczenie współczesnej medycyny w takich obszarach, które dla Kościoła bywają trudne”. Wymienił „wspomaganie rozrodu, in vitro, terapię uporczywą”, dodając, że lekarze na KUL muszą o tym wszystkim mówić, a „światopogląd studenta” jest po prostu jego „prywatną sprawą”. Banach powiedział z kolei, że na KUL będzie nauczana „medycyna oparta na faktach” w wersji najnowszej, „bez względu na światopogląd”. Wydział medyczny na uczelni, podkreślił, „w żaden sposób nie może i nie będzie się różnić od innych”.

Etyczny problem KUL



Paweł Chmielewski

Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II ma poważny problem. Nie chodzi bynajmniej o liczbę studentów ani finanse, ale o kolejne sygnały wskazujące na relatywizację własnej katolickiej tożsamości



FOT. ADRIAN STOK

Jeżeli te wypowiedzi należy traktować poważnie i Collegium Medicum rzeczywiście będzie tak wyglądać, to mamy do czynienia z poważnym skandalem. Katolicki uniwersytet, który traktuje światopogląd studenta jako jego „sprawę prywatną”, a takie zagadnienia jak mrożenie ludzkich zarodków chce przedstawiać nie tyle w duchu nauki Kościoła, ile – jak się zdaje – materialistycznego scjentyzmu? Brzmi jak żart albo ponura kalka z historii niektórych zachodnioeuropejskich czy amerykańskich katolickich uczelni wyższych, które z Kościołem zachowują wspólnotę już tylko w nazwie.

Wywiad Zembali i Banacha spotkał się z krytyką ze strony Instytutu Ordo Iuris, który przygotował nawet petycję do władz uczelni. Dobrze, że ktoś zareagował. Jednak dlaczego to tylko jeden świecki instytut? Gdzie w tej sprawie głos katolickich organizacji medycznych, w tym Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich? A przede wszystkim gdzie głos biskupów? Zgodnie ze statutem KUL to Konferencja Episkopatu Polski sprawuje nad uniwersytetem nadzór, a bezpośrednio misja ta spoczywa na Wielkim Kanclerzu uczelni, którym jest każdy kolejny metropolita lubelski,

od 2011 r. abp Stanisław Budzik. To, że katolicki uniwersytet rozwija kształcenie przyszłych lekarzy w oparciu o wiedzę doskonałych ekspertów, powinno być oczywiście powodem do radości, o ile rzecz dawałaby szansę na nauczanie medycyny w duchu autentycznie katolickim. Na podstawie omawianego wywiadu trudno o takiej szansie mówić. Czy biskupi zamierzają się temu po prostu w milczeniu przyglądać?

Mentalność dostosowania do liberalnej nowoczesności nie jest w części środowisk KUL bynajmniej nowa. Dotyczy to, niestety, tak wrażliwego obszaru jak etyka. Poważne kontrowersje wywołali w ostatnim czasie dwaj byli kierownicy Katedry Etyki KUL, księża profesorowie Andrzej Szostek i Alfred Wierzbicki. Uczelnia nie ma wprawdzie wpływu na to, co opowiadają dziś w mediach, ale trudno podejrzewać, by ich poglądy nie wpływały w żaden sposób na to, jak przez długie lata kształtowali nauczanie etyki na uczelni.

Księża Szostek i Wierzbicki złożyli tymczasem swoje podpisy pod tyle głośnym, ile niesławnym „Apelem zwykłych księży” opublikowanym w październiku 2020 r., tuż po ogłoszeniu przez Trybunał Konstytucyjny decyzji o uznaniu tzw. aborcji eugenicznej za niezgodną z ustawą zasadniczą. Jak zwróciło uwagę 25 ojców dominikanów, którzy tydzień później zdecydowanie skrytykowali „Apel”, tekst był w istocie gestem solidarności wobec proaborcyjnych tłumów protestujących przeciwko wyrokowi TK. W „Apele” stwierdzono np. rzekomą konieczność porzucenia przekonania, że „rozstrzygnięcia prawne mogą przynieść trwałą zmianę wrażliwości sumień”, co stanowiło zupełnie nieskrywany sprzeciw wobec delegalizacji dzieciobójstwa prenatalnego. Treści „Apele” zwykłych księży” nie da się pogodzić z nauką Kościoła, zwłaszcza z nauką św. Jana Pawła II o godności każdego człowieka.

Księża Szostek i Wierzbicki, pomimo krytyki, poglądów jednak nie zmienili. Pierwszy z nich, który oprócz kierowania Katedrą Etyki prowadził też jako rektor cały KUL w latach 1998–2004, swoje zastrzeżenia wobec wyroku TK zgłaszał jeszcze w wywiadzie dla „Więzi” z 2022 r., powołując się – w sprawie aborcji! – na „wolność rozeznawania”

i mówiąc, że „nie zgadza się” z decyzją Trybunału, bo o ile można zachęcać kobiety do urodzenia „tej poczętej ludzkiej istoty, która jest obciążona poważną wadą”, o tyle „zmuszać” już do jej urodzenia nie należy. Przypomnę: głównym skutkiem praktycznym wyroku Trybunału była delegalizacja zabijania dzieci podejrzanych przez lekarzy o zespół Downa (choć nie tylko ich)...

Z kolei ks. Wierzbicki w 2021 r. włączył się w lewicową nagonkę na polski rząd po śmierci 30-letniej Izabeli z Pszczyny, na łamach tej samej „Więzi” publikując artykuł, w którym mianem „słusznego żądania” określał propagandowy slogan aborcjonistów „Ani jednej więcej!”. Twierdził też, że „eliminacja przesłanki embriopatologicznej” (czytaj: zakaz zabijania dzieci podejrzanych o chorobę) wpędziła ginekologów i położników w poczucie lęku. Ksiądz Wierzbicki w 2022 r. odszedł z KUL po tym, jak zajęła się nim komisja dyscyplinarna uczelni: chodziło nie tylko o jego wypowiedzi na temat aborcji, lecz także o krytykę dokumentu Konferencji Episkopatu Polski o LGBT. Jeszcze jako KUL-owski etyk profesor twierdził, że nauczanie Kościoła w tej sprawie powinno się zmienić. Problem w tym, że komisja ks. Wierzbickiego... uniewinniła. Można tylko spekulować, jak duże straty wywołało nauczanie etyki na KUL przez ludzi o tego rodzaju poglądach. Ilu adeptów KUL nasiąknęło „kompromisowym” myśleniem? W kwietniu tego roku z nostalgią o funkcjonujących do 2020 r. regulacjach prawnych wypowiedział się wiceszef Episkopatu, metropolita Wrocławia, abp Józef Kupny, duchowny przez wiele lat naukowo związany właśnie z KUL. Nie w tym rzecz, by w Lublinie panował od lat jakiś automatyzm w zaszczepianiu wykładowcom takich poglądów, ale problem jest szerszy niż stanowisko jednego czy drugiego profesora etyki i sięga niewątpliwie dalej w przeszłość niż ostatnie kilka tylko lat.

POSTCHRZEŚCIJAŃSKI DOKTORAT

Klimat mentalny, w którym funkcjonuje część kadry tego uniwersytetu, dobrze obrazuje zupełnie inna sprawa, pozornie marginalna. W niedzielę 20 października doktorat honoris causa KUL otrzymała znana francuska filozof, prof. Chantal

Delsol. Delsol ostro krytykuje różnego rodzaju francuskie rozwiązania polityczne, jak choćby wpisanie aborcji do konstytucji albo też legalizację eutanazji. W wygłoszonych laudacjach ten wątek wybrzmiał, a filozof ukazano jako zaangażowaną w obronę godności życia każdego człowieka.

Problem w tym, że choć w Polsce dzieła francuskiej myślicielki są wydawane od prawie trzech dekad, to największy rozgłos zdobyła za sprawą opublikowanego po polsku rok temu zwięzłego eseju „Koniec świata chrześcijańskiego. Inwersja normatywna i nowa era”. Nie ma tu miejsca na omówienie tej książeczki. W pewnym uproszczeniu można jednak powiedzieć, że Delsol uważa sprawę chrześcijańskiej cywilizacji za definitywnie przegraną. Jej zdaniem, owszem, można być chrześcijaninem na współczesnym Zachodzie, ale myśleć o tym, by nauczanie Jezusa Chrystusa było ponownie formatywne dla ładu społecznego, to ułuda albo nawet niebezpieczny ekstremizm.

Filozof proponuje drogę akceptacji postchrześcijańskiego charakteru współczesności. Nie trzeba mówić, że tego rodzaju publikacja ma inną wymowę we Francji, a inną w Polsce, gdzie wciąż toczy się bitwa o chrześcijański charakter ładu publicznego. Wyróżnienie Delsol trudno odczytywać w innym kontekście niż jej idea wywieszenia „białej flagi” przez Kościół, tym bardziej że w wygłoszonej na KUL mowie Francuzka powtórzała swoje zasadnicze przekonania.

Na KUL wyklada cały czas wielu znakomitych uczonych, oddanych nie tylko zdobywaniu i szerzeniu eksperckiej wiedzy, lecz także implementowaniu Ewangelii w życie naukowe, polityczne i społeczne. Być może stanowią nawet zdecydowaną większość. Oby zawsze potrafili nadawać swojej uczelni ton. Można mieć nadzieję, że sprawujący nad KUL nadzór biskupi skorzystają ze swoich możliwości i uporządkują profil uniwersytetu, eliminując zarzewie etycznych incydentów. Jeżeli tego nie zrobią, to KUL może powoli dryfować coraz dalej w stronę liberalnego mainstreamu, z niepożądanyymi skutkami dla katolicyzmu w Polsce.



Romans ze śmiercią



Łukasz Czarnecki

Gdy w 1944 r. wyzwolono Paryż, wściekły tłum dokonał samosądu na pewnej znanej francuskiej aktorce, chcąc ukarać ją za to, że w trakcie okupacji utrzymywała kontakty erotyczne z Niemcami. Gdy kobietę prowadzono na miejsce kaźni, wykrzyknęła: „Moje serce należy do Francji, lecz d... jest międzynarodowa!”. Z podobnego założenia wychodziła królowa warszawskich scen końca XIX w., Maria Wisnowska, wdając się w romanse z rosyjskimi oficerami. Nie przeczuwała nawet, że z ręki jednego z nich straci życie...

W grudniu roku 1932 stołeczne gazety podały informację o śmierci pewnego menela, gnieźdzącego się w otoczonej złej sławą warszawskiej noclegowni dla bezdomnych zwanej Cyrkiem, ostatnim kręgu piekła i nędzy, gdzie lądowali ci, którzy niżej już upaść nie mogli. Dlaczego jednak uwagę prasy przykuł zgon zapijaczanego degenerata? Powodem było nazwisko kłoszarda widniejące w dokumentach, które znaleziono po śmierci w kieszeniach jego łachmanów. Brzmiało ono Aleksander Bartieniew i 41 lat wcześniej znajdowało się na ustach całego Królestwa Kongresowego oraz znacznej części Rosji. A wszystko za sprawą ponętnej polskiej aktoreczki, dla której znajomość z młodym podówczas Rosjaninem skończyła się fatalnie.

NARODZINY GWIAZDY

Tragiczna heroina naszej dzisiejszej opowieści – Maria Wisnowska – przyszła na świat w roku 1859 jako córka za-

możnego warszawskiego kupca. Z bliżej nieznanых powodów, gdy miała pięć lat, jej ojciec odebrał sobie życie.

Marysia pobierała nauki w pensji dla panien z dobrych domów, gdzie zainteresowała się aktorstwem. Występowała chętnie w szkolnym teatrze, dając przejawy rzadkiego talentu scenicznego. Fascynacja teatrem z upływem czasu tylko rosła, aż w końcu dziewczyna zdecydowała się na ryzykowny krok – postanowiła na dobre związać się ze sceną. Decyzja taka wymagała wielkiej odwagi, XIX-wieczne społeczeństwo pogardało aktorami, aktorki zaś uważano za kobiety upadłe, niewiele lepsze od prostytutek.

Wisnowska wyjechała w roku 1878 do Lwowa, gdzie zadebiutowała na deskach Teatru Skarbowskiego. Występowała w nim przez następne dwa lata. Ze względu na delikatną dziewczęcą urodę reżyserzy obsadzali ją w rolach dziewcząt niewinnych, padających ofiarą niecznych męskich machinacji. Mierzyć musiała się z nimi nie tylko na scenie, lecz także

w realnym życiu, niczym miód muchy przyciągała bowiem mężczyzn chcących zakosztować z nią uciech cielesnych. Zdarzały się sytuacje naprawdę niebezpieczne, jak wtedy, gdy Maria przykuła uwagę namiestnika Galicji Alfreda Józefa Potockiego. Chuć, którą gładka młódka rozpałała w lędźwiach podstarzałego konserwatywnego polityka, była tak wielka, że hrabia zapragnął uczynić ją swoją nałożnicą. Doszło do tego, że niczym sycylijski mafioso z podrzędnej polskiej powieści erotycznej usiłował porwać dziewczynę.

TRUJĄCA WISIENKA

Choć początkowo ciągle nachalne hołdy irytowały młodziutką aktorkę, to szybko uświadomiła sobie, że odpowiednio wykorzystane uroda i seksapil potrafią przynieść wymierne profity. Gdy w roku 1880 wróciła do Warszawy, rychło dała się poznać jako utalentowana urodzielielka. Krytycy byli zgodni, że Wisnowska, zwana pieśzcotliwie Wisienką, grała świetnie, ale wkrótce po mieście zaczęto szeptać, że poza sceną aktorka zachowuje się tak, jakby wciąż stała w blasku reflektorów. Nauczona lwowskimi doświadczeniami posługiwała się swoim ciałem niczym rapierem, zadając finezyjne ciosy w serca mężczyzn zamożnych i ustosunkowanych, którzy mogli pomóc jej we wspinaczce na sam szczyt. Zamieszkawszy przy ulicy Długiej, stworzyła salon, w którym podejmowała zamożnych przemysłowców, poważanych dziennikarzy, znanych aktorów, a także carskich oficerów. Gości przyjmowała odziana w stroje orientalne, antyczne i prześwitujące peniuary, które niewiele zostawiały wyobraźni. Najbardziej wpływowi trafiali do łóża ponętnej aktorki, która biegła w trenowanej nieustannie ars amandi zabierała ich w erotyczne podróże ku wyżynom nieba, za co oni hojnie się jej odwdzięczali.

Zdarzali się również szczęśliwcy, którzy zakosztowali rozkoszy z rąk pięknej Marii, mimo że nie mieli swej kochance wiele do zaoferowania. Jednym z nich był późniejszy dramaturg Stefan Krzywoszewski, wówczas student Szkoły Handlowej. Studencką nędzę nadrabiał on oddaniem Wisnowskiej i młodzieńczą jurność. Nieszczęśnik tak zakochał się w rozpustnicy, którą musiał dzielić z innymi mężczyznami, że zaproponował jej małżeństwo.

W tym samym czasie częstym gościem w sypialni aktorki był też tenor Aleksander Myszuga. Również on pokochał ją szaleńczą miłością i się oświadczył. Gdy dostał kosza, chcąc wybić klin klinem, niezwłocznie ożenił się z inną kobietą, jednak gdy później Maria nagle powiedziała mu, że darzy go uczuciem, śpiewak natychmiast porzucił dla niej żonę i dziecko, nad stało rodzinne wybierając chory związek, w którym stanowił tylko jeden z rogów erotycznego wielokąta.

Uprawiana w mieszkaniu przy ulicy Długiej rozpusta skończyła się ostatecznie niechcianą ciążą. Kto był ojcem dziecka, nie wiadomo, ale bojąc się skandalu Wisnowska na dwa lata wyjechała z Warszawy. Po porodzie oddała dziecko komuś na wychowanie i więcej nie interesowała się jego losem. Odwiedziwszy Paryż i Konstantynopol, w roku 1888 wróciła do stolicy Królestwa Polskiego i na jej sceny. Tysiące jej wielbicieli, wiernie uczęszczających na spektakle z udziałem ukochanej gwiazdy, rychło dostrzegło, że ich idolka pod swoją nieobecność dojrzała i grała teraz z o wiele większą niż dotychczas charyzmą. Dawniej zjednywała sobie publikę, występując w negliżu, podnosząc suknie, by pokazać nagie łydki, lub przywdziewając obciste spodnie, opinające jej zgrabne pośladki. Teraz nie potrzebowała takich tanich chwytów.

Starych nawyków trudno się jednak wyzbyć. Wisnowska wynajęła większe mieszkanie przy ulicy Złotej, gdzie wraz z nią zamieszkała jej starzejąca się matka. Mimo obecności leciwej damy nasza bohaterka prowadziła dom otwarty, a zwłaszcza otwartą sypialnię, która zresztą miała osobne drzwi, łączące ją z klatką schodową kamienicy. Nadal polowała na bogatych i wpływowych mężczyzn. Jej najcenniejszą zdobycz stanowił gen. Dymitr Palicyn – dyrektor Warszawskich Teatrów Rządowych i prezes Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Choć Rosjanin był od niej grubo starszy, brzydki, a do tego, jak mówiono, miał „martwe oczy”, to Maria jako jego kochanka stała się najbardziej wpływową osobą w teatralnym światku miasta. To ona decydowała, jakie sztuki będą grane w Teatrze Rozmaitości, i dobierała te, w których najpełniej mogła rozblysnąć. Generał szalał na punkcie swej młodej nałożnicy i nie bacząc na to, jaki skandal

Chociaż Rosjanin był od niej grubo starszy, brzydki, a do tego, jak mówiono, miał „martwe oczy”, to Maria jako jego kochanka stała się najbardziej wpływową osobą w teatralnym światku miasta

mógł wywołać ten krok, poprosił ją o rękę. Jednak i jemu piękna aktorka podała czarną polewkę, wiedząc, że rosyjski oficer ma dorosłe dzieci, które wyznaczył już na swych spadkobierców. Ponadto w tym samym czasie miała romans z obłądnie bogatym galicyjskim nalcziarzem – Wiktorem Klobassą-Zrenckim, z którym w trakcie urlopów wyruszała na podróże po Europie. Para odwiedziła m.in. Berlin, Paryż i Wenecję. W drodze do tej ostatniej zaczęły się jednak niepokojące rzeczy, bo patrząc w pociągowe okno kobieta w pewnej chwili zamiast swego odbicia zobaczyła w nim... twarz diabła. Był to pierwszy objaw choroby psychicznej, która z czasem miała zacząć się pogłębiać.

TOKSYCZNA MIŁOŚĆ SZALONEGO HUZARA

Związek z biznesmenem z Galicji nie przetrwał próby czasu. Wiktor miał żonę oraz dzieci i nie zamierzał się rozwodzić. Maria wróciła więc do Warszawy i dalej dzieliła swe łóżko oraz wdzięki między rosyjskiego generała, operowego śpiewaka, młodego i pełnego wigoru studenta oraz innych mężczyzn. Równocześnie dla otoczenia coraz jaśniejsze stawało się, że z aktorką coś jest nie tak. Zaczęły się jej zdarzać omdlenia i ataki paniki, a co gorsza, prześladowały ją halucynacje. Znajomi początkowo myśleli, że to gra egzaltowanej artystki, ale szybko przekonali się, że wizje, których kobieta doświadcza, budzą w niej autentyczne przerażenie. Pewnego razu, gdy rozmawiała z jednym ze swych gości, w kącie pokoju objawił się jej znajomy z pociągu diabeł. Innym razem, po nocy uniesień w ramionach Krzywoszewskiego, ujrzała stojącego przed jej kamienicą mężczyznę o zakrwawionej twarzy.

Piękna Maria zaczęła zdradzać niezdrowe zainteresowanie śmiercią. W jej mieszkaniu pojawiły się makabryczne gadzety w postaci dwóch wykonanych z kości słoniowej szkieletów, a do tego aktorka zaczęła nosić pierścioneł z trucizną. Nieustannie opowiadała

o tym, że pragnie umrzeć młodo, i snuła egzaltowane wizje swojego pogrzebu. Nie przeczuwała nawet, że wkrótce owe lekkomyślnie wyrażane życzenia obrócą się w ponurą rzeczywistość...

W roku 1889 nasza bohaterka po raz pierwszy spotkała znanego nam już Aleksandra Bartieniewa. W tamtych czasach nie był on lumpem, lecz oszałamiająco przystojnym 21-letnim blondwłosym kornetem (podporucznikiem), o zabójczo zakreconym kawalerskim wąsie, służącym w stacjonującym w Warszawie Grodzieńskim Pułku Huzarów Lejbguardii. Pochodził z zamożnej, kupieckiej rodziny, a jego ojciec cieszył się bogactwem tak wielkim, że nawet nie odczuł zmiany w portfelu, gdy za część pieniędzy kupił sobie szlachectwo. Młodzieniec dostawał od rodzica kilka tysięcy rubli rocznie w ramach kieszonkowego, co pozwalało mu mieć szeroki gest. Nie wiedząc, co zrobić z całą tą kasą, rozrzucił ją na prawo i lewo, trwoniąc fundusze zwłaszcza na alkohol. Jako prawdziwy ruski człowiek pił jak smok i to tak, że szokował tym nawet kolegów z pułku. Do tego cechowały go charakterystyczne dla Rosjan dzikość i rozchwylenie emocjonalne – płakał na widowni teatru lub grał na pianinie, śpiewając rzewne pieśni, by chwilę później wymachiwać odbezpieczonym rewolwerem i przykładać go sobie (lub – co gorsza – innym) do czoła.

Początkowo Wisnowska nie była zainteresowana kawalerzystą. Jednego młodego kochanka już miała i nie potrzebowała kolejnej zabawki. Jednakże kiedy kornet, zaprosiłszy ją na randkę do luksusowej restauracji w Wilanowie, ściągnął na miejsce schadzki pułkową orkiestrę (za co później trafił na kilka dni do wojskowego karceru), a potem hojnie opłacił dozorców parku Wilanowskiego, by otworzyli go dla nich w środku nocy, do kobiety dotarło, jak majątny jest jej nowy wielbiciel. Od tej pory patrzyła na niego przychylnym okiem.

Bartieniew zaczął bywać częstym gościem w mieszkaniu przy ulicy Złotej.

Coraz bardziej angażował się w związek z aktorką, równocześnie dając kolejne dowody swej nieobliczalności. Pewnego dnia na randkę zabrał ją do cerkwi, gdzie na katafalku... leżały zwłoki huzara samobójcy. Dwa dni później jakimś cudem zorganizował przejście orszaku pogrzebowego pod oknem kochanki. Wisnowska znalazła w Rosjaninie wernego kompana do snucia niekończących się wizji własnej śmierci. Wkrótce oboje rozmawiali już o popełnieniu podwójnego samobójstwa. Dla aktorki była to czysta gra, tymczasem niezrównoważony huzar traktował rzecz śmiertelnie poważnie. Pewnego dnia pijany przyłożył kobiecie rewolwer do skroni. Marii udało się na szczęście odebrać mu broń i ją schować.

W grudniu 1889 r. kornet oświadczył się kochance. Oświadczyzny zostały przyjęte, a młody oficer pojechał do rodzinnego domu, by prosić ojca o błogosławieństwo. Na miejscu jednak obleciał go strach i nie wspomniawszy nic o całej sprawie, wrócił do Warszawy.

Tymczasem nasza bohaterka popadała w coraz większe rozchwianie emocjonalne i psychiczne. Mimo że zgodziła się oddać rękę Bartieniewowi, nadal utrzymywała stosunki erotyczne z innymi mężczyznami, monogamia ewidentnie ją przerastała, współcześnie prawdopodobnie zdiagnozowano by ją jako nimfomankę. Halucynacje i ataki paniki zdarzały się coraz częściej. Warszawskie towarzystwo, oburzone kontaktami erotycznymi Polki z Rosjanami, w znacznej mierze się od niej odwróciło. Wisnowska, mająca już serdecznie dość całej tej matni, zaczęła planować wyjazd z Warszawy, prowadziła rozmowy o pracę z dyrektorem Teatru Skarbowskiemu we Lwowie. Kiedy kornet wrócił do miasta, odmówiła dalszego przyjmowania kochanka w swoim mieszkaniu, prosząc go, by zorganizował na ich schadzki jakieś zapewniające prywatność miejsce. Oficer wynajął niewielką garsonierę przy ulicy Nowogrodzkiej, na wszelki wypadek zabijając jej okna deskami.



Maria Wisnowska w kreacji scenicznej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Trzewia paliły mu zazdrość i chore pożądanie. Przeczuwał, że Maria, wyjeżdżając z Warszawy, w rzeczywistości chce się pozbyć niezrównoważonego psychicznie wielbiciela. W jego umyśle zaczął rodzić się demoniczny plan – skoro on nie mógł mieć pięknej Polki na wyłączność, to nie będzie jej miał nikt!

ZBRODNIĄ BEZ KARY

1 lipca 1890 r. kochankowie zeszli się w ich nowym tajnym gniazdku na pożegnalną randkę przed wyjazdem Wisnowskiej do Lwowa. Razem zjedli kolację, potem, według zeznań, które Bartieniew złożył przed sądem, uprawiali seks. Następnie...

Rankiem młody kornet wpadł do mieszkania kolegi z pułku. Był w stanie hysterii i trzęsąc się, poinformował przyjaciela, że zamordował Marię. Gospodarz, wezwawszy kilku towarzyszy broni, udał się wraz z policjantem do wskazanej garsoniery. Na miejscu znaleźli trupą kobiety z twarzą oblaną opium i raną postrzałową w piersi. Na podłodze wokół łóża, na którym spoczywały zwłoki, leża-

ły zapisane ołówkiem potargane kartki. Na jedynej stronicy, będącej w całości, znajdowały się ostatnie słowa „Wisienki” żegnającej się ze światem i z matką oraz rozgrzeszającej swego zabójcę. Bartieniew, wytrzeźwiawszy, poinformował śledczych, że wraz ze swą bogdanką planowali podwójne samobójstwo. Kobieta, zażywszy opium i nawdychawszy się chloroformu, zasnęła, a wówczas huzar zgodnie z jej wcześniejszą prośbą oddał śmiertelny strzał. Zabrakło mu determinacji, by skończyć ze sobą. Kiedy jednak w trakcie śledztwa zrekonstruowano treść potarganych na kawałki kartek, obraz, który się z nich wyłonił, był zgoła inny. W ostatnich chwilach życia aktorka pisała:

Zasadka! Czekam mnie śmierć [...]

Człowiek ten groził śmiercią – przyszłam. Żyję mi stąd wyjść nie da!

Z kolei na innej kartce znajdował się list spisany ręką korneta, a adresowany do Palicyna:

Co, stara małpo, nie będziesz jej miał?

Władze rosyjskie nie śpieszyły się z wymierzeniem zabójcy sprawiedliwości. Śledztwo zaczęto prowadzić dopiero 19 lipca, a proces ruszył w połowie lutego następnego roku. Bartieniew trzykrotnie zmieniał w swoich zeznaniach wersję wydarzeń, a wynajęty przez jego rodzinę słynny rosyjski adwokat Fiodor Plewako tak zręcznie obracał kota ogonem, że przed trybunałem wyszło ostatecznie, że huzar co prawda zabił kochankę (czego się nie wypierał), ale zrobił to wskutek zmanipulowania przez ofiarę, która bawiła się nim jak kot z myszą i w ogóle złą kobietą było. Mordercę skazano dość niskim wyrokiem na degradację, pozbawienie szlachectwa i osiem lat ciężkich robót. Kary jednak nie odbył, bo został uniewinniony przez wzruszonego historią tragicznej miłości cara Mikołaja II.

Bartieniew był potem oficerem na Kaukazie, a znudzony wojaczką, zrzucił mundur i osiadł w rodzinnym majątku. Za popełnioną w młodości zbrodnię adekwatną karę wymierzyła mu dopiero historia, która, odebrawszy mężczyźnie wskutek rewolucji bolszewickiej odziedziczoną po ojcu fortunę i pozycję społeczną, wygnała go do Warszawy, gdzie dożył reszty swych dni jako bezdomny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rankiem młody kornet wpadł do mieszkania kolegi z pułku. Był w stanie hysterii i trzęsąc się, poinformował przyjaciela, że zamordował Marię

Seattle, czyli druga Japonia



Amerykańska rodzina pochodzenia japońskiego w Seattle w latach 20. ubiegłego wieku. FOT. WING LUKE MUSEUM

Niektórzy opowiadają, że Japończycy zdecydowali o osiedleniu się właśnie tu w północno-zachodnim zakątku Ameryki, gdyż górujący nad miastem, ośnieżony cały rok szczyt Mount Rainier przypominał im górę Fudżijamę. Ale to tylko atrakcyjna legenda.

Mało kto z przybyszów pochodził z okolic Tokio. Początkowo migranci napływali raczej z południowych części Japonii: okolic Hiroszimy, Yamaguchi i Kumamoto. Najważniejszym czynnikiem były wymogi praktyczne. Seattle, obok San Francisco, było jednym z dwóch największych portów Zachodniego Wybrzeża. Japończycy mieli tu stały kontakt morski ze starym krajem, ale jakąś rolę musiała odgrywać też przezorność. Jeśli w relacjach z białymi zaczęło być naprawdę źle,



Piotr Semka z Seattle

Przybywali tu statkami, przepływając ogromny Pacyfik. Z tym samym celem, który przyświecał wszystkim imigrantom przybywającym do Ameryki. Aby zdobyć pieniądze i rozpocząć lepsze życie. Ale przybysze z odległej Japonii mieli ciężiej od Europejczyków. Wyróżniały ich rysy twarzy, bardzo odrębna kultura, sposób bycia i egzotyczne dla chrześcijan wierzenia. W czasie wojny za swe japońskie pochodzenie płacili czteroletnim pobytem w obozach internowania. A gdy po wojnie wrócili do Seattle, ich dawna dzielnica japońska po prostu znikła. Mimo to zabrali się do pracy i szybko odbudowali swoją pozycję w społeczeństwie. O ich niełatwej przygodzie z Ameryką opowiada ekspozycja w Japońskim Centrum Kulturalnym w Seattle

to zawsze można było znaleźć jakiś statek do japońskich portów.

Synowie Krainy Wschodzącego Słońca zaczęli przybywać w połowie XIX w., po zakończeniu długiej ery izolacji Japonii, która zakończyła się wraz z początkiem epoki Meiji, otwierającej ten kraj na świat. Przyciągały ich opowieści o Ameryce jako o „złotym kraju”. Mieli do zaofiarowania tylko pracę swych mięśni i ich amerykańscy pracodawcy brutalnie to wykorzystywali, płacąc im niższe stawki niż białym. To z kolei ściągnęło na nich nienawiść europejskich imigrantów. Oskarżano ich, że przyjmując nędzne stawki, zabierają robotę białym. Ale na razie gniew miejscowych kieruje się bardziej ku znacznie liczniejszemu w Seattle Chińczykom. Chinese Exclusion Act z 1882 r. stawia tamę migracji z Chin. W 1886 r. wybucha tam poważne zamieszki antychińskie, które skłaniają część przybyszów z Kraju Środka do powrotu do domu.

W ich miejsce wchodzi Japończycy. W 1896 r. między Japonią a Seattle rusza pierwsza stała linia parowcowa firmy Nippon Yusen Kaisha. W 1901 r. w Seattle otwiera swe podwoje konsulat cesarstwa Japonii. W 1908 r. umowa między USA i Japonią zakazuje emigracji niewykwalifikowanych robotników, ale dopuszcza przyjazd na studia i praktyki inżynierskie młodych studentów japońskich. W 1910 r. w Seattle jest już 5 tys. Japończyków. Teoretycznie nie jest to dużo jak na liczące wówczas 237 tys. mieszkańców miasto, ale dzielnica japońska rzuca się w oczy. Niezrozumiałe dla Amerykanów napisy, kuchnia pachnąca niecodziennymi aromatami i odmienne święta religijne. Tę pierwszą falę przybyszów nazwano Issei. I to dzięki ich katorżniczej pracy kolejne pokolenia już urodzone na ziemi amerykańskiej uzyskiwały obywatelstwo USA.

Przez długi czas problemem tej wspólnoty był niedobór kobiet. Bo jeśli ktoś wyruszał statkiem do nieznanej Ameryki, to zazwyczaj był to mężczyzna, który nie chciał sobie brać na głowę dodatkowego kłopotu w postaci towarzyszk życia. Bardzo często wyjeżdżali do Ameryki najmłodsi synowie w rodzinie, dla których nie zostawało zbyt wiele po podziale spadku po śmierci głowy rodziny. Obliczano, że przed pierwszą wojną światową w japońskiej dzielnicy Seattle na pięciu japońskich mężczyzn przypadała jedna japońska

kobieta. Ale stosunkowo szybko Amerykanie zgodzili się na ściąganie żon z Japonii, co zresztą prowadziło do nadużyć. Dziewczyna, która znała swego męża tylko ze zdjęcia, zawierała z nim ślub na ziemi japońskiej i z zaświadczeniem o małżeństwie szturmowała konsulat amerykański z prośbą o wpuszczenie na teren USA. Małżeństwa zawierano niemal wyłącznie w kręgu japońskiej grupy etnicznej. Na wszelkie związki Japończyków z białymi kobietami Amerykańscy sąsiedzi patrzyli krzywo.

Japończycy wiedzieli, że jeśli mogą czymś przebić się w niechętnym społeczeństwie amerykańskim, to samodyscypliną, pracowitością i dbaniem o jak najstarsze wykształcenie. W 1924 r. kolejna kampania pod hasłem „Stop złotemu niebezpieczeństwu” doprowadziła do kolejnego zakazu migracji z Japonii, podobnie jak i z innych „niepożądanych krajów azjatyckich”. Ale w Nihonmachi – japońskiej dzielnicy Seattle – rzucało się już w oczy młode pokolenie Japończyków urodzonych na ziemi amerykańskiej. Grali w baseball, woleli whiskey od sake, słucha-

li jazzu i nosili najmodniejsze europejskie garnitury. Jak wszyscy obcy musieli w dwójnasób dbać o czystość ubiorów, o nienaganne fryzury i zawsze dobrze wyczyszczone buty. Na zdjęciach z szalonych lat 20. młodzi nuworysze o skośnych oczach podpalają papierosy w długich cygarniczkach swoim japońskim partnerkom we fryzurach z epoki.

Ale inna część emigrantów zaczęła się martwić, by nowe pokolenia nie zapomniały tak szybko mowy i kultury rodziców. Japońskie muzeum w Seattle mieści się w tzw. Hunt Hotelu. Przed wojną w 1902 r. budynek ten wzniesiono jako Nihonjinkai Fuzoku Shogakko – siedzibę szkoły języka japońskiego i jednocześnie wielu japońskich stowarzyszeń. „To miejsce było filarem całej japońskiej wspólnoty w Seattle” – piszą z dumą autorzy ekspozycji. To tutaj prawnicy pomagali japońskim kupcom spierać się w sądach o wydawane przez lokalne władze zakazy otwierania japońskich sklepów w tzw. białych dzielnicach. Niszą, którą dobrze wykorzystali przybysze z Kraju Kwitnącej Wiśni, była hodowla warzyw i kwiatów. ■



Piknik w parku tuż przed wielkim kryzysem. Widoczny wzrost zamożności „amerykojapońskiej” middle class. FOT. WING LUKE MUSEUM



Uprawa roli przez Japończyków osadzonych w obozie Minidoka, 1943 r.

FOT. WING LUKE MUSEUM

■ Japończycy wprowadzali bardzo innowacyjne metody nawadniania pól i osiągnęli lepsze plony niż amerykańscy hodowcy.

ELITY POTRZEBNE OD ZARAZ

Amerykańscy wykładowcy Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle szybko zorientowali się, że ich japońscy studenci to ludzie, którzy naprawdę chłoną wiedzę. Nie zdarzało im się opuszczać wykładów czy lekceważyć egzaminów, jak to bywało w wypadku bogatych synalów miejscowych prominentów. Cała wspólnota składała się na opłacenie studiów danego młodzieńca i ta sama wspólnota surowo pilnowała, by były to dobrze wydane pieniądze. Ktoś, kto zlekceważyłby wysiłek rodziny, która składała się na studia, podlegał natychmiastowemu ostracyzmowi.

Na wystawie przyglądam się sylwetkom pierwszych ludzi sukcesu japońskiej diaspory. Oto Chusaburo Ito – z pozoru zwykły fryzjer, którego jednak na portrecie wyróżnia sumiasty wąs. Poza swoim warsztatem pan Ito pełnił prestiżową funkcję przewodniczącego Japońskiego Buddyjskiego Związku Religijnego w Seattle w okresie pierwszej wojny światowej. Kolejny portret to Yoshimitsu „Frank” Okada, który założył firmę ubezpieczeniową na głównej ulicy dzielnicy japońskiej. I wreszcie kobieta Kiyo Ariizumi – pierwsza Japonka, która ukończyła wydział

farmacji Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle. Tuż obok wyryte na artystycznie wykonanej desce motto szkoły Kokugo Gakko: „Poznawać japońską kulturę i zawsze mówić poprawnym japońskim. Zachowywać dobre maniery, szanować starszych i nosić schludny i czysty ubiór. Być uczciwym we wszystkim i wypełniać obowiązki dobrego amerykańskiego obywatela”.

Pochylam się nad cytatem ze wspomnień Hiro Nishimury, który uczęszczał do szkoły Kokugo w latach 30.

„Nienawidziłem tej japońskiej szkoły. Wszystko było tutaj takie trudne i skomplikowane. Przychodziłem tylko wskutek wyraźnej woli rodziców. Ale zajmowało mi to czas po podstawowych przedpołudniowych zajęciach w amerykańskiej szkole. Dopiero po latach zrozumiałem mądrość moich rodziców. Tu nauczyłem się kultury i samodyscypliny. I dopiero tu zrozumiałem, jak bardzo mogę być dumny z mojego japońskiego pochodzenia”.

GROM Z JASNEGO NIEBA

Ta diaspora, powoli wrastająca w glebę położonej nad Pacyfikiem metropolii, przeżyła szok 7 grudnia 1941 r. Tego dnia nad ranem ojczyzna ich przodków – Cesarstwo Japonii – zdradziecko napadła na USA. Cała Ameryka z przerażeniem i złością dowiedziała się o ataku na bazę Pearl Harbour. Japończycy w Seattle oczywiście

nie wiedzieli o przygotowaniach rządu w Tokio do ataku. Dyrektor szkoły Kokugo – Yoriaki Nakagawa – został zatrzymany przez agentów FBI, a szkołę zamknięto. Formalnie w trybie tymczasowym. Ale niedługo potem przekazano ten budynek wojskowemu lotnictwu USA. Ośmiuset uczniów pozostało bez zajęć z języka japońskiego.

Pochylam się nad wspomnieniem Geni Mihary – członka Japońskiej Izby Handlowej w Seattle. „Wieczorem tego dnia, gdy zbombardowano Pearl Harbour, usłyszałem pukanie do drzwi. Na progu stała czwórka funkcjonariuszy FBI i policji. Nie ukrywali, że powodem zatrzymania była moja funkcja. Pozwolono mi zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnać się z rodziną i zostałem zabrany służbowym samochodem”.

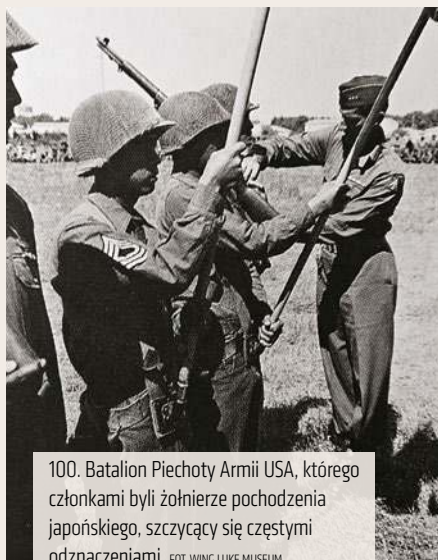
Formalnie powodem zatrzymania Mihary były przesłuchania mające wyjaśnić, jakie relacje utrzymywał z japońskimi instytucjami w starym kraju. Przetrzymywano go dwa tygodnie w areszcie US Immigration Office. Potem trafił w pojedynkę do obozu internowania dla wyższych działaczy japońskich w USA w Lordsburgu w stanie Nowy Meksyk. Tam bez postawienia mu formalnych zarzutów był przetrzymywany aż do września 1945 r. Japońskim rodzinom konfiskowano aparaty radiowe, bo podejrzewano, że mogą ukraść słuchać Radia Tokio.

Przez te pierwsze tygodnie po ataku na Pearl Harbour Japończycy w Seattle starali się być po prostu niewidoczni. Wychodzili z domów, tylko gdy musieli załatwić jakieś niezbędne sprawunki. Ale i tak napotykali wtedy na ulicach niechętnie spojrzenia tych białych Amerykanów, którzy widzieli w japońskiej dzielnicy skupisko wrogów Stanów Zjednoczonych. Szczerze mówiąc, nie można się temu do końca dziwić, bo Amerykanie dobrze znali z gazet i radia opowieści, jak w Europie Niemcy mieszkający w Polsce czy Czechach stanowili piątą kolumnę Hitlera.

Japończycy żyjący wtedy w Seattle nie wiedzieli, że już parę dni po 7 grudnia 1941 r. prezydent Franklin Delano Roosevelt podpisał Rozporządzenie Wykonawcze 9066. Jak piszą autorzy wystawy: „Nakazywało ono przygotowanie akcji aresztowania 120 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci pochodzenia japońskiego. Większość z nich miała obywatelstwo USA lub stałe pozwolenie na pobyt. Wojenna histeria rozogniła rasowe uprzedzenia. Amerykański rząd i wojskowi uznali Amerykanów japońskiego pochodzenia za groźnych szpiegów i sabotażystów. Rozporządzenie 9066 uznano za wojenną konieczność, choć nigdy nie przedstawiono żadnego dowodu, że któryś z amerykańskich Japończyków był zaangażowany w szpiegostwo dla Cesarstwa Japonii”.

Po pierwszej fali zatrzymań liderów społeczności japońskiej zapadła cisza, która okazała się ciszą przed burzą. 15 maja 1942 r. na ulicach Seattle policjanci zaczęli rozlepiać plakaty „Instrukcji dla wszystkich osób pochodzenia japońskiego”. Informowały one o wymogu przeniesienia wszystkich osób o japońskim pochodzeniu do specjalnych miejsc przesiedlenia. Instrukcja uspokajała, że w ośrodkach tych zapewnione zostaną godziwe warunki życia i pełnowartościowe wyżywienie. W specjalnej instrukcji starannie unikano używania określenia „obywatele USA pochodzenia japońskiego”, aby nie prowokować pytań o sprzeczność rozporządzenia z gwarancjami swobód obywatelskich wynikających z konstytucji Ameryki.

Okna lokali i sklepów japońskich w Seattle rozkazano zabić deskami. Niewiele to dało, bo rychło po opuszczeniu miasta przez Japończyków lokale były systematycznie plądrowane. W całym stanie Waszyngton, na którego terenie znajduje



100. Batalion Piechoty Armii USA, którego członkami byli żołnierze pochodzenia japońskiego, szczytujący się częstymi odznaczeniami FOT. WING LUKE MUSEUM

się Seattle, polecenia deportacji objęły 13 tys. osób, dla których przygotowano specjalne pociągi ewakuacyjne. Takich obozów było na terenie Stanów Zjednoczonych 17, ale mieszkańcy północnego zachodu USA trafiali do ośrodka Camp Minidoka koło miejscowości Hunt w stanie Idaho. To właśnie tam przez kolejne parę lat wysiedleni musieli znosić dość spartańskie warunki, obowiązek pracy na roli, brak prywatności, a przede wszystkim bolesny status obywateli drugiej kategorii. Choć jednocześnie obozowiczom nakazywano codziennie udział w demonstracji patriotyzmu w trakcie apelu i podnoszenia sztandaru USA. W takich obozach umieszczono w czasie wojny ok. 110 tys. Japończyków.

Do 1943 r. młodych japońskich Amerykanów nie powoływano do armii. Gdy potem zaczęto propagandę na rzecz zapisywania się do służby, zgłosiło się tylko 6 proc. z nich, choć reszta deklarowała gotowość pójścia do wojska, ale pod warunkiem przywrócenia pełnych praw wszystkim zatrzymanym w obozach. Z czasem młodzi Japończycy zaczęli jednak przyjmować możliwość służby wojskowej, tym bardziej że wojsko pilnie potrzebowało osób znających japoński do śledzenia japońskich komunikatów w eterze i przesłuchiwanie pojmanych jeńców. Łącznie w czasie wojny w wojsku służyło 33 tys. Japończyków, z czego ok. 20 tys. w jednostkach bojowych, głównie w walkach na terenie Europy.

GORZKI POWRÓT

Gdy Japończycy z Seattle w końcu zostali zwolnieni, odkrywali, że ich

sklepy i lokale dawno są już w cudzych rękach. Aby uniknąć niepokojów, władze Seattle umieściły ich w dawnej szkole języka japońskiego. Ironicznie powracający nazwali go „Hunt Hotel” na pamiątkę nazwy miejscowości, w której znajdował się ich obóz internowania. Początkowo panował tu ogromny ścisk i w każdej izbie umieszczano wiele rodzin. Powoli jednak Japończycy odnajdywali rozmaite propozycje pracy i opuszczali hotel.

I znów wczytuję się w relacje świadków tamtych wydarzeń. Shigeru Tsutsumi wspomina: „Gdy ojciec wrócił z obozu, miał w kieszeni nędzne 35 dolarów i pięcioro dzieci na utrzymaniu. Gdy w końcu znalazł pracę w jakiejś restauracji, pamiętam, jak zebrał nas i powiedział: »A teraz czeka nas niezwykle ciężki czas, który musimy jakoś przetrwać“.

W Seattle nigdy nie odrodziła się już zwarta terytorialnie dzielnica japońska. Każdy szukał pracy w pojedynkę i w pojedynkę znajdował nowe lokum. A potem latami musiał znosić wyzwiska podpiętych Amerykanów, którzy stracili przyjaźń z rąk Japończyków. Im więcej czasu mija od wojny, tym coraz bardziej przygasły japońskie sentymenty. Dopiero w końcu lat 60., gdy rozmaite grupy mniejszościowe zaczęły żądać zadośćuczynienia za niesprawiedliwości wobec nich, także amerykańscy Japończycy zaczęli żądać przeprosin za wojenne krzywdy swoich rodzin. Ta akcja zakończyła się sukcesem dopiero w 1988 r. Wówczas prezydent Ronald Reagan podpisał akt prawny, który uznawał krzywdę japońskich obywateli w USA, stworzył fundusz pamięci o ich krzywdach i przeznaczył środki na odszkodowania dla osób bezprawnie uwięzionych w czasie wojny. Dawny „Hunt Hotel” po latach opuszczenia wyremontowano i stworzono tu w 2003 r. Centrum Kultury i Języka Japońskiego w Seattle. Tu też zaczęto gromadzić pamiątki i eksponaty obrazujące los dzieci Nipponu w nieformalnej stolicy amerykańskiego Northwestu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczegóły dotyczące odwiedzin Japanese Cultural & Community Center of Washington State w Seattle na stronie: <https://www.jccw.org/>.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Manipulacje Katyniem

Ujawnienie sprawy Katynia w kwietniu 1943 r. było szokiem nie tylko dla ówczesnej opinii publicznej w Polsce. Było to zdemaskowanie obłudnej polityki sowieckiej, ale dla „naszych aliantów” nie było to problem, postanowili o tym wymownie milczeć. Polacy jednak wiedzieli i pamiętali, choć za samo wymówienie nazwy tego miejsca groziły surowe represje.

Gdy ostatni przywódca Związku Sowieckiego, gensek Michaił Gorbaczow, 13 kwietnia 1990 r. oficjalnie przyznał, że zbrodnia katyńska była dziełem Sowietów, wydawało się, że sprawa ta już nie będzie wzbudzać kontrowersji, przynajmniej w Polsce. I tak było przez następne dwie dekady. Stało się jednak inaczej i nie dla wszystkich prosowiecka postawa wielu oficjeli była zaskoczeniem. Wypowiadały się w tej sprawie bardzo głośne nazwiska i były to działania w jakiejś mierze usprawiedliwiające sprawców, ponieważ na siłę chciano z niej zrzucić piętno ludobójstwa. A wszystko odbywało się w atmosferze poprawy stosunków z Rosją, rządzoną już przez W. Putina.

Andrzej Wajda, który pod koniec życia wypierał się swej partyjnej przeszłości, a przez lata twierdził, że jego ojciec zginął w Katyniu (co jest nieprawdą, zginął gdzieś na Wschodzie), uznał, że słowo „ludobójstwo” jest nieodpowiednie. Tak samo twierdził ówczesny (2011 r.) doradca Bronisława Komorowskiego,

prof. Roman Kuźniar. „Gazeta Wyborcza” twierdziła nawet kłamliwie, że „uznanie Katynia za »ludobójstwo« jest dziś tylko postulatem środowisk związanych z PiS”. Ocieplanie wizerunku Rosji, a zatem i Putina, trwało w najlepsze. Felietonista postkomunistycznej „Polityki” Ludwik Stomma wprost szydził z takiego określenia.

Polska usiłowała sprawę katyńskiego ludobójstwa nagłośnić na arenie międzynarodowej. Rosja nie musiała zbyt wiele robić, bo szybko znaleźli się politycy i dziennikarze w Polsce, którzy de facto realizowali jej linię propagandową. Nawet nominalnie antysowiecki i antyrosyjski polityk PO Stefan Niesiołowski uznał, że „to była zbrodnia wojenna. Ludobójstwo to zagłada narodu. Katyń to było coś innego”, choć nieco wcześniej miał inne zdanie. „Gazeta Wyborcza” poszła jeszcze dalej, gdy w 2010 r. relacjonowała spotkanie Putina z Tuskiem w Katyniu: „Chciałoby się wierzyć, że teraz skończy się niemądre oskarżanie Rosji o ludobójstwo”. Jak już wcześniej uzasadniano zmianę postawy? Że to byłby policzek dla Putina!

Mijają lata, o tych zbrodniach zapominamy coraz częściej, przy pomocy mediów i polityków usłużnych wobec spadkobierców sprawców. Rodziny katyńskie nie mają już nic do powiedzenia. Bo kto by się w ich głos wsłuchiwał? ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pacanów zawsze modny

Kornel Makuszyński został po drugiej wojnie światowej skazany przez komunistów na niebyt i faktycznie pisarz zmarł w biedzie oraz zapomnieniu. Ale stosunek władz do jego twórczości zmienił się wraz z końcem stalinizmu. Zaczęto wznawiać jego tytuły, chociaż – oczywiście – były to wersje ocenzurowane.

W grudniu 1956 r. ukazała się pierwsza księga przygód Koziółka Matołka. Nakład wynosił 100 tys. egzemplarzy i sprzedał się w ciągu jednego dnia! Nikomu też nie przeszkadzało, że dawne biedne szkoły zamieniły się w nowoczesne budynki, żołnierze nosili mundury LWP, a groźni przedwojenni policjanci przemienili się w dobrotliwych milicjantów. Orzeł – oczywiście – nie miał korony, a samolot zabierający Matołkę na Afganistanu wyglądał jak sowiecki myśliwiec MiG-15.

Pod koniec lat 50. twórczością Makuszyńskiego zainteresowali się filmowcy. Na pierwszy ogień poszły „Awantura o Basię” i „Szatan z siódmej klasy” (premiera 25 listopada 1960 r.). Potem przyszła pora na kolejne adaptacje, ale największym hitem okazał się jednak serial animowany o upartym koźle wędrującym do Pacanowa. W latach 1969–1971 wyprodukowano 26 niespełna 10-minutowych odcinków wyświetlanych jako dobranocki przed „Dziennikiem Telewizyjnym”. Nie była to

jednak ekranizacja komiksu, gdyż twórcy serialu wykorzystali tylko postać Koziółka i niektóre jego przygody, a wszystkie postacie były nie- i tylko czasami wydawały jakieś odgłosy (w tym słynne beczenie Matołki).

Odcinki zaczynały się i kończyły wierszykiem recytowanym przez Wiesława Michnikowskiego nawiązującym do tekstu Makuszyńskiego. Akcji towarzyszyła muzyka, a przewodni motyw serialu był tak rozpoznawalny, że po latach wykorzystywała go na koncertach heavymetalowa grupa TSA.

W czasach PRL nic jednak nie mogło być proste ani łatwe i Koziółek po raz kolejny padł ofiarą cenzury. W 1979 r. pojawiły się w sprzedaży pocztówki z podobizną Matołki, a gdy dwa lata później wprowadzono w Polsce stan wojenny, jedna z nich wydała się cenzorom podejrzana. Koziółek został na niej przedstawiony w wojakowskim mundurze, a z pobliskiego drzewa czujnie przyglądała mu się wrona.

Skojarzenia były oczywiste i cały 200-tysięczny nakład wycofano. Uznano bowiem, że jest to ewidentne wyśmiewanie się z Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON) i gen. Wojciecha Jaruzelskiego, którego można by porównać do upartego capa. Trudno w to uwierzyć, ale tak było naprawdę i dopiero cztery lata później ponownie dopuszczono pocztówkę do sprzedaży. ©

Jesienne hity w sklepie Republiki!



Otwórz i zamknij parasol
jednym kliknięciem!

**PARASOL AUTOMATYCZNY
Z LOGIEM REPUBLIKI**



**KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ „CZAS BEZPRAWIA”**



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - BIAŁA**



**KUBEK BIAŁY MAT 380ML
Z NAPISEM REPUBLIKA**



Od S do 3XL

**KOSZULKA POLO
REPUBLIKA - GRANATOWA**



KUBEK REPUBLIKA RETRO - 280 ML

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl



**lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4**



Zanim kanclerz Olaf Scholz obalił własną koalicję rządzącą, doszło do trzęsienia ziemi za oceanem. Wbrew propagandowym zakłębom niemieckich mediów (a te, poza niszowymi, są lewicowe) prezydentem USA zostanie znienawidzony przez niemiecki establishment przedstawiciel prawicy Donald Trump.

Scholz, polityk równie niepopularny, co przewidyjący, postanowił zadbać o swój ratunek. Zaraz po nadejściu złych wiadomości z USA wyrzucił z rządu ministra finansów Christiana Lindnera (przewodniczącego dotąd koalicyjnej partii FDP). Lindner bowiem w kwestii budżetowej (sprawa zadłużenia) zachował się zgodnie z konstytucją Niemiec, a nie tak, jak ją rozumie szef rządu w Berlinie.

Dzisiaj Niemcy mają rząd mniejszościowy, niezdolny raczej do działania. Ale za to aż dwóch kandydatów z tego obozu na kanclerza: aktualnego szefa rządu Olafa Scholza i przedstawiciela kulejących Zielonych, Roberta Habecka. Obaj mają szansę jak na szóstkę w lotto.

Najprawdopodobniej kalkulacja Scholza jest następująca: zakłada on, że wybory do Bundestagu, które odbyć się mogą w styczniu lub lutym przyszłego roku, wygra CDU Friedricha Merza z wynikiem ok. 30 proc. głosów. Tak wynika z sondaży. A wtedy SPD wejdzie w koalicję z niekochanym liderem, co zapewni Scholzowi znowu tytuł wicekanclerza.

AfD się jego zdaniem nie liczy, tak jak nie liczył się Trump w USA przed wyborami. Zieloni nie mają większych szans. W grę wchodzi zatem tylko SPD, wieczny koalicjant u władzy. Wskazuje na to najnowszy sondaż Barometr Polityczny, przyznający trzecie miejsce SPD po AfD. CDU zdobyła 2 proc., uzyskując 33 proc. poparcia, Zieloni na miejscu czwartym, narodowokomunistyczna BSW Sahry Wagenknecht na miejscu piątym, komuniści Linke i FDP poza Bundestagiem.

84 proc. Niemców chce przedterminowych wyborów; tak są zmęczeni lewicową koalicją czerwono-żółto-zieloną.

W rzeczywistości liczy się (poza konserwatywną AfD, wokół której nadal utrzymuje się kordon sanitarny) dwóch polityków przyszłej koalicji CDU z SPD (zakładając, że do niej po zimowych wyborach dojdzie) – Friedrich Merz i Olaf Scholz. Co możemy o nich powiedzieć?

Niemcy są cieniem siebie

FOT. ADAM BERRY/GETTY IMAGES



Jan Bogatko z Berlina

Na polityczną estradę w Niemczech chce teraz wejść rodzimy zespół Czerwono-Czarni. Czyli SPD-CDU. W ten sposób kanclerz Olaf Scholz chce zapewnić lewicy pozostanie u steru rządów na kolejne lata. Wbrew woli wyborcy i z równie katastrofalnymi dla Niemiec skutkami jak przez ostatnie ćwierćwiecze

Obu dzielą trzy lata różnicy wieku (Merz jest starszy), są niemal rówieśnikami i obaj pochodzą z zachodnich Niemiec. Polityką zaczęli zajmować się we wczesnej młodości. I na tym podobieństwa między nimi się kończą.

LICZY SIĘ DWÓCH

Friedrich Merz urodził się w 1955 r. w Brilon (Sauerland w Westfalii, Reńskie Góry Łupkowe) w konserwatywnej rodzinie prawników. Miasto, liczące 25 tys. mieszkańców, najbardziej zalesione w Niemczech, zalicza się do średnich. Jego ojciec, sędzia Joachim Merz, członek CDU, pochodzi z Wrocławia, a matka, Paula Merz, z Brilon. Dziadek kandydata, Josef Paul Sauvigny, przez 20 lat był burmistrzem Brilon z ramienia partii Centrum (katolickiej partii socjalnej, istniejącej w formie szczątkowej do dziś).

Olaf Scholz urodził się w 1958 r. w Osnabrück, w sporym mieście w Dolnej Saksonii (ok. 167 tys. mieszkańców). Rodzicami późniejszego lewicowego kanclerza (już jako 12-latek marzył o tym, że będzie szefem rządu Niemiec) byli przedstawiciel handlowy Gerhard Scholz i Christel Scholz (nazwisko panińskie Grünewald). Rodzice pracowali w branży tekstylnej, jego ojciec doszedł do szczybla dyrektora. Scholzowie przenieśli się później do Hamburga, gdzie

Olaf Scholz rozpoczął karierę polityczną i został burmistrzem miasta-landu.

Friedrich Merz po maturze i odbyciu służby wojskowej w batalionie artylerii jako stypendysta Fundacji im. Konrada Adenauera podjął studia prawnicze początkowo na Reńskim Uniwersytecie im. Fryderyka Wilhelma w Bonn, a następnie w Marburgu. Po krótkim epizodzie jako sędzia pracował w przemyśle chemicznym w Bonn i we Frankfurcie nad Menem. Merz mieszka dzisiaj w Arnsbergu w Sauerlandzie, w dolinie Ruhry (Nadrenia Północna-Westfalia. Z żoną Charlottą Merz (ur. Gass) ma troje dzieci – syna i dwie córki.

Karierę prawniczą obrał też Olaf Scholz. Po maturze w Hamburgu rozpoczął na miejscowym uniwersytecie studia prawnicze. Po dyplomie odbył zastępczą służbę wojskową w domu opieki, następnie uzyskał wpis na listę adwokatów. Formalnie nadal jest członkiem kancelarii adwokackiej Zimmermann, Scholz i Partner w Hamburgu jako specjalista z zakresu prawa pracy, lecz jako kanclerz został zawieszony w wykonywaniu zawodu w związku z obowiązującymi w Niemczech przepisami. Pozostał jedynie drobnym udziałowcem komunistycznej gazety codziennej „TAZ” w Berlinie. Żoną Olafa Scholza jest polityk SPD, Britta Ernst. O dzieciach źródła milczą. Scholzowie mieszkają w Poczdamie.

Obaj swoje kariery polityczne zaczęli dość wcześnie: Friedrich Merz wstąpił do CDU jeszcze jako uczeń i zaangażował się w młodzieżówce CDU, Junge Union, w rodzinnym Brilon. Jej przewodniczącym został w 1980 r. Potem wszystko poszło utartym torem. W 1989 r. Merz został posłem do Parlamentu Europejskiego, w którym działał do 1994 r., następnie do Bundestagu (1994–2009). W 2005 r. uzyskał w swym okręgu najlepszy wynik indywidualny, 57,7 proc. Po wyborach do Bundestagu w 1998 r. Merz został wiceprzewodniczącym, a w lutym roku 2000 (jako następca Wolfganga Schäuble) szefem klubu poselskiego CDU/CSU, a zatem liderem opozycji. Trudno dopatrzeć się tutaj porywających momentów.

Za to curriculum vitae Olafa Scholza to materiał na powieść godną Fredericka Forsyth. Już w 1975 r. jako uczeń liceum (nazywanego w Niemczech gimnazjum) Olaf Scholz wstąpił do Juso, młodzieżówki SPD. Juso to odpowiednik ZMS. Przez sześć lat (do 1988 r., kiedy to rozpoczęła się agonía komunizmu starego typu, by utorować drogę nowej edycji stalinizmu zachodniego) Scholz był zastępcą federalnego szefa Juso. Na jego ostatnim etapie (do roku 1989) Scholz działał już jako wiceprezydent światowej organizacji komunistów Socialist Youth, skupiającej lewicową młodzież z ponad 100 państw świata, z siedzibą w Wiedniu. W tym okresie wspierał on tzw. Freudenberger Kreis (marksistowskie skrzydło grup uczelnianych Juso) i wzywał do przecięcia kapitalistycznej ekonomii, czego niewątpliwie rezultaty widzimy dzisiaj w niemieckiej gospodarce.

Dla Scholza (widać nie tylko w latach uniwersyteckich) Republika Federalna to europejska „twierdza kapitalizmu”, a NATO – jakżeby inaczej – to „agresywna formacja imperialistyczna”. Wiele wskazuje na to, że aktualny kanclerz Niemiec nadal wierny jest temu, czym nasiąknął za młodu.

Biografia Scholza fascynuje. Zachowane dokumenty z archiwów wschodnoniemieckiej policji politycznej, Stasi (NRD-owskiego odpowiednika polskiej SB), ponad wszelką wątpliwość wykazują, że dzisiejszy kanclerz Niemiec jako wiceprzewodniczący Juso pielęgnował ścisłe relacje z funkcjonariuszami w NRD. Aż dziewięć razy bawił w tym celu w latach 80. w komunistycznych Niemczech. Brał udział w rozmowach poli-

tycznych, a co więcej – występował nawet jako mówca na publicznych imprezach! Jakby tego nie było dość, komunistyczny gość z zachodnich Niemiec wziął udział w zorganizowanym przez partię SED (odpowiednik PZPR w NRD) i FDJ (wschodnioniemiecki ZMS) międzynarodowym obozie młodzieżowym.

Scholz uwielbiał podróże do „pierwszego w dziejach pokojowego państwa niemieckiego robotników i chłopów”, jak Niemcy Wschodnie same się określały. Nie słysząc jakoś strzałów do uchodźców z komunistycznego raju do wolnych Niemiec, Scholz udał się w 1984 r. z delegacją Juso do NRD na spotkanie z Egonem Krenzem, sekretarzem KC SED, i na rozmowy z szefem wydziału KC SED i późniejszym członkiem politbiura, Herbertem Häberem. W konsekwencji Scholz, przyjmowany w NRD niczym wysokiej rangi polityk, zapewnił, że zrobi wszystko „dla ocieplenia wizerunku NRD w niemieckich mediach”. Niemieckich komunistów bolało to, że nazwę „NRD” media zachodnioniemieckie podawały w cudzysłowie, sugerując, że nie ma tam demokracji (dla Stalina tylko komunizm to demokracja, państwa o innym systemie to zwykły faszyzm). Krótko przed agonią NRD gazeta „Bild” przestała umieszczać nazwę „NRD” w cudzysłowie.

NIEZŁOMNA SYMPATIA DO KREMLA

Obecny kanclerz Niemiec wysługiwał się wówczas, jak tylko umiał, interesom NRD. W 1987 r., jako wiceprzewodniczący Juso, Scholz wystąpił na tzw. wiecu na rzecz pokoju, zorganizowanym przez FDJ w Wittenbergu dla poparcia jednostronnego procesu rozbrojenia Zachodu. Stwierdził on wówczas wobec towarzyszy z FDJ, że „prawdziwi wrogowie pokoju zasiadają w przemyśle zbrojeniowym USA” oraz – co warto dziś przypomnieć z uwagi na umizgi SPD do CDU – „w militarystycznej frakcji CDU/CSU”. Dla wschodnioniemieckiej partii SED Scholz uchodził za ważnego sojusznika w walce przeciwko NATO. To trzeba mieć dzisiaj na uwadze, zastanawiając się nad jego sympatią do Kremla.

Niezłomne zamiłowanie do Kremla dzieli obu kandydatów, mimo że Niemcy są tradycyjnie prorosyjscy (wielka wojna oczywiście była nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy). Już w grudniu 2018 r. Merz publicznie wyraził zastrzeżenia co do inwestycji „Siewiernyj potok”. Dziś wiemy, jak

podają wszystkie niemieckie media jakby na rozkaz, że zezwolenie na budowę Nord Stream 2 w ogóle nie powinno być wydane. („Wszystko w służbie Moskwy”, artykuł w „FAZ” z 8 listopada 2024 r.). Mając na uwadze plany budowy gazociągu na dnie Bałtyku w obliczu polityki Kremla, dzisiejszy kandydat na fotel kanclerza Niemiec z ramienia CDU mówił wówczas: „Im bardziej nasila się konflikt, tym bardziej na plan pierwszy wysuwa się pytanie: Czy naprawdę musimy budować ten gazociąg?”. We wrześniu 2020 r., po zamachu na Aleksieja Nawalnego, polityka rosyjskiej opozycji, Merz apelował o tymczasowe wstrzymanie realizacji inwestycji (lewicowy tygodnik „Die Zeit”, 4 września 2020 r.). Po agresji Rosji na Ukrainę szef CDU wielokrotnie krytykował kanclerza Scholza, zarzucając mu przed wizytą w Polsce zgoda oszustwo w sprawie wsparcia wojskowego dla Ukrainy („Tagesschau”, 27 lipca 2024 r.).

A co na to Scholz? Jako minister finansów w gabinecie Angeli Merkel (i jej zastępcą, czyli wicekanclerz Niemiec) socjalista z Hamburga bronił projektu Nord Stream 2. Sprzeciwił się sankcjom wobec Rosji i łąał jak prawdziwy komunista na łamach „Handelsblatt”, że Niemcy nie popadną przez gazociąg w zależność od Kremla.

Gdy tylko został kanclerzem Niemiec, na Kremlu strzelały korki od rosyjskiej imitacji szampana. Nadzieje Moskwy na swego człowieka w Berlinie się ziszczyły: Scholz uznał Nord Stream 2 za prywatne przedsięwzięcie gospodarcze, które należy oceniać niezależnie od relacji z Rosją. Stając w obronie niemieckiego „gasarbeitera”, pracownika gazociągu, byłego kanclerza Niemiec, socjalisty Gerharda „Gerda” Schrödera, Scholz stwierdził, że dał on Niemcom wiele dobrego, a jego życie prywatne to żaden temat do dyskusji we władzach SPD. W 2022 r. Scholz wielokrotnie odmawiał dostarczenia Ukrainie czołgów, czym niewątpliwie zaszkodził sobie wdzięczność Putina.

Kanclerz Scholz sam obalił własny rząd. Dzisiaj Niemcy, którzy podobnie jak u schyłku ery Merkel wołali „dość Merkel”, krzyczą „dość Scholza”. Ale on nie ma dość i liczy na to, że z pomocą niemieckich wyborców zostanie wicekanclerzem Niemiec po przedterminowych, zimowych wyborach w 2025 r. W sytuacji Niemiec rząd Merza w koalicji z SPD nie zmieni nic. Może jedynie spowolni niewątpliwą upadek Niemiec.

Kto nas straszy J.D. Vance'em?



Wojciech Golonka

Oby przez neokońskie, ukrainofilskie, rusofobiczne czy skrajnie euroatlantyckie kompleksy konserwatywnych polityków w Polsce nasz kraj nie przegapił złotej szansy, którą może być cała dekada trumpizmu w USA



FOT. MATT ROUME/AP/STYXNEWS

Po spektakularnym zwycięstwie wyborczym Donalda Trumpa przyszedł czas na formowanie jego gabinetu. W przeciwieństwie do 2016 r. Trump nie jest nowicjuszem w polityce, a także zdołał przez te osiem lat zasadniczo podporządkować sobie Partię Republikańską, dlatego jego powstająca obecnie nowa administracja budzi tak wielkie zainteresowanie komentatorów i amerykańskich wyborców, oczekujących właśnie rządu w 100 proc. po linii trumpizmu, zdolnego w pełni zrealizować obietnice i program nowego-starego prezydenta.

Jeśli w administracji tej pojawiają się w dużej mierze nazwiska nieznane w Polsce, to główna, a w zasadzie najbliższa Trumpowi postać w tej osobowej układance zdołała już zyskać pewną rozpoznawalność w naszym kraju, budząc nawet deklarowany opór wśród części polityków, świadczący najwyraźniej o ich obawach – wszak wiceprezydent elekt J.D. Vance, bo o nim mowa, zdaje się nie rzucać słów na wiatr, a jego dyskurs idzie mocno na przekór utrwalonej nad Wisłą neokońskiej mentalności. W rzeczy samej to Vance, bez wątpienia, będzie należał do grona najbliższych współpracowników Trumpa kształtujących nową politykę Białego Domu, a także jest on na razie jego najbardziej naturalnym następcą, choćby na wypadek śmierci lub

ustąpienia, kiedy to z urzędu zostałby prezydentem Stanów Zjednoczonych. Dlatego warto przyjrzeć się tej postaci, która – trzeba przyznać – należała do największych niespodzianek tej brutalnej kampanii wyborczej.

ŚCIEŻKA PROSTO Z AMERICAN DREAM

Kiedy w styczniu Polacy dowiedzieli się o pewnym senatorze z Ohio, który w liście do sekretarza stanu Antony'ego Blinkena upominał się o kwestie praworządności w Polsce, z jednej strony była to miła niespodzianka dla polskiej prawicy wciąż wstrząśniętej siłowym przejęciem Telewizji Polskiej oraz nielegalną podmianną prokuratura krajowego przez rząd Donalda Tuska, z drugiej praktycznie nikt, poza bardzo zorientowanymi ekspertami, nie mógł wówczas u nas przypuszczać, że ten zupełnie nieznany nam amerykański polityk ma spore szanse zostać przyszłym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem, choć nie był to dla Donalda Trumpa wybór łatwy – brał bowiem pod uwagę ok. 10 kandydatów na to stanowisko, którzy byli solidnie prześwietlani pod kątem ich atutów i obciążeń dla jego kampanii wyborczej – był to jednak zarówno ideowo, jak i po ludzku wybór jak najbardziej naturalny: J.D. Vance, od pewnych pierwotnych

uprzedzeń w stosunku do Donalda Trumpa, bardzo szybko stał się piewcą trumpizmu, a nawet jego teoretykiem wśród republikanów, zdolnym nadać mu metapolityczną wykładnię i uzasadnienie, stając się w ostatnich latach dla samego Donalda Trumpa osobą zaufaną i regularnym doradcą.

Przy czym tym, co w pierwszym rządzie budzi podziw w cursus honorum przyszłego wiceprezydenta USA, jest jego ścieżka życiowa mająca iście znamiona American Dream, co akurat w amerykańskiej polityce, zdominowanej przez konseksje, układy partyjne i wszelakie lobby, staje się rzadkością. Vance urodził się w 1984 r. w stanie Ohio, w rodzinie naznaczonej przemocą i narkotykami, przez co był w dużej mierze wychowywany przez swych dziadków. Vance w swych anegdotach bardzo często i z niezwykłą wdzięcznością przytacza postać swej prostej babki, która nie zawsze łączyła finansowo koniec z końcem, ale która wpoiliła mu w dzieciństwie zdrowy rozsądek, zasady życiowego postępowania oraz instynkty chrześcijaństwa (choć nie był on wówczas ochrzczony). Po zamachach na USA z 2001 r., w przypływie patriotyzmu, Vance zaciąga się po maturze do korpusu marines, w którym spędzi cztery lata, z czego pół roku w Iraku. Nie brał wprawdzie bezpośrednio udziału w walkach, jednak obcowanie z krajem i jego popula-

cją, zwłaszcza z dziećmi wyniszczonymi wojną, odcisnęło na nim głębokie piętno. Odbyta służba wojskowa umożliwiła mu bezpłatne studia na Uniwersytecie w Ohio w dziedzinie politologii i filozofii, a następnie ukończył prestiżową Szkołę Prawa Uniwersytetu Yale, gdzie poznał swoją przyszłą żonę indyjskiego pochodzenia, Ushę. Zachęcony przez przyjaciół Vance podjął się wówczas napisania książki o kryzysie amerykańskiej klasy robotniczej na podstawie swych własnych wspomnień, która okazała się bestsellerem, przetłumaczonym również na język polski, a także zekranizowanym przez Netflixa. W „Elegii dla bidoków” uzmysłowił bowiem wielkomiejskiej części Ameryki, jak mało wie o współrodakach, dając tym samym odpowiedź na pytanie, dlaczego Donald Trump wygrał wybory w 2016 r., choć jego nazwisko nie pada w książce ani razu. Ten jego ogromny sukces publicystyczny otworzył mu drzwi na salony, w tym do stałej współpracy z „New York Timesem” czy CNN. Vance następnie podjął pracę w obszarze funduszy inwestycyjnych, by w 2022 r. zostać senatorem ze swego rodzinnego stanu Ohio, pod hasłem upominania się o tę zapomnianą część Ameryki. W 2019 r. otrzymał chrzest w Kościele katolickim, a w przyjęciu katolicyzmu dostrzegał, oprócz swej zasadniczej konwersji, naturalne dopełnienie otrzymane w dzieciństwie od babki wychowania oraz ewolucji swych przekonań społeczno-politycznych. Warto tu dodać, że jego żona Usha, z którą ma troje dzieci, pracowała jako prawniczka u sędziego Brett Kavanaugha, mianowanego później przez Trumpa sędzią Sądu Najwyższego, a także u prezesa tegoż sądu, sędziego Johna Robertsa.

DLACZEGO NIM STRASZĄ?

Obierając Vance’a na swego kandydata na wiceprezidenta (w sam poranek przed zamachem w Butler!), Trump chciał m.in. dać tej zapomnianej Ameryce, której rzeczywistość zawdzięczał wygraną zarówno w 2016 r., jak i tę obecną, solenne zapewnienie w osobie jej piewcy, że złożone jej obietnice spod znaku „Ameryka na pierwszym miejscu” zostaną dotrzymane. Vance następnie dwoił się i troił na wiecach, wzbudzając bardzo duży entuzjazm wśród audytorium, a tak-

że w mediach, nierzadko w tych otwarcie wrogich Trumpowi, gdzie z ogromną swobodą języka właściwą błyskotliwemu prawnikowi obalał niedorzeczne zarzuty, celnie ripostował, a przede wszystkim prezentował oblicze młodego, utalentowanego, pewnego siebie i pozbawionego kompleksów konserwatysty, odczarowującego niezwykle czarny PR, tak łatwo przyklejany Trumpowi i jego zwolennikom.

W rzeczy samej sam Trump nie mógł się nachwalić, jak bardzo Vance okazał się niezatapialny w tych wszystkich debatach, a z kolei ten wciąż świeży polityk zyskał w trakcie kampanii wyborczej solidny kapitał rozpoznawalności i zaufania, którym będzie mógł owocnie gospodarować w najbliższych latach, być może, w optymalnym wariancie, przedłużając prezydenturę Trumpa o kolejne dwie kadencje, co dałoby łącznie, o zgrozo dla globalistów, celebrytów po obu stronach oceanu i wszelkiej maści sił postępu w ogóle, 12 lat trumpizmu w Białym Domu...

Tymczasem, paradoksalnie, zgrozę tę podziela również Jarosław Kaczyński, który po ogłoszeniu wygranej Trumpa postanowił osobiście obwieścić Polakom, jak bardzo nie po drodze mu z J.D. Vance’em. Dlaczego? I dlaczego przede wszystkim zamykać sobie drogę do współpracy z osobą, która przy pomyślnych wiatrach mogłaby zrobić niezwykle dużo dla ożywienia i odłamania konserwatyzmu również w Polsce? Otóż bardzo łatwo nastraszyć, na pierwszy rzut oka, Polaków takim Vance’em, zwłaszcza jeśli przez ostatnie lata sączyło się dość prymitywną propagandę partijną (po obu stronach barykady zresztą), obliczoną na podsycanie emocji, a nie racjonalne myślenie. Vance jest bowiem – nie jest to żadna tajemnica – radykalnym sceptykiem w kwestii zasadności finansowania przez USA wojny na Ukrainie, a w razie potrzeby bez skrupułów zagroził remontowaniem NATO. Jego poglądy na politykę zagraniczną są jednak, i to trzeba zrozumieć, jak najbardziej spójne z jego konserwatyzmem i własnym doświadczeniem życiowym – zaznał w domu przemocy, patologii narkotykowej, a nawet głodu, bo Ameryka zapomniała o swojej klasie robotniczej, wydając zamiast tego, przez dekady, biliony dolarów

na pozbawione sensu wojny. Wojny, które co tak naprawdę osiągnęły? Cierpienie i zniszczenie, które widział na własne oczy w Iraku. I jaki jest sens, aby Ameryka była NATO-wskim żandarmem świata, jeśli sama nie potrafi na pierwszym miejscu zadbać o bezpieczeństwo własnych granic, przez które wdzierają się miliony imigrantów, wśród których potwierdzono setki tysięcy przestępców?

Vance zresztą niejednokrotnie punktował nonsensowną politykę zagraniczną USA polegającą na moralizowaniu innych krajów (przypomnijmy sztorcującą nas raz po raz Mosbacher), podczas gdy Chiny poszerzają swoją strefę wpływów, po prostu obficie inwestując za granicą, przede wszystkim w infrastrukturę biedniejszych krajów. Jego szantaż – albo UE zostawi portal X Elona Muska w spokoju, albo USA opuszcza NATO – był zresztą, jako postulat moralny, jak najbardziej trafny: Jaki bowiem jest sens istnienia NATO, jeśli ma być ono ramieniem zbrojnym utrzymującym największą miękką dyktaturę w historii Zachodu, w postaci coraz mniej skrywanego globalnego zamordyzmu?

Zjednoczona Prawica straciła władzę z różnych powodów, ale bez wątpienia przyczyniło się do tego zapomnienie jej pierwotnej polityki przywrócenia godności tzw. Polsce B, jej ochocze flirtowanie z siłami globalizmu oraz stawianie obcych interesów – w tym wypadku Ukrainy – nad interesy, potrzeby i dobrobyt polskich obywateli. Przy podobnym uwarunkowaniu mentalnym Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego świcie jest, ma się rozumieć, niezwykle trudno zrobić krok wstecz, a o wiele łatwiej straszyć Polaków takim niedobrym Vance’em, którego cała kultura i światopogląd, w tym wiara, jednak wprost usposabiają, aby patrzeć na nasz kraj z największą empatią i pomóc mu wydobyć się z uścisków globalizmu oraz antycywilizacji, co do których nie ma on najmniejszych złudzeń. Cóż, oby przez neokońskie, ukrainofilskie, rusofobiczne czy skrajnie euroatlantyckie kompleksy konserwatywnych polityków w Polsce nasz kraj nie przegapił złotej szansy, którą może być cała dekada trumpizmu w USA. Chciałoby się wykrzyknąć: Buda-peszt, głupcy! Ale do nich nawet taka, dziś już oczywistość, najwyraźniej nie dociera.

We wrześniu tego roku w Las Vegas odbył się wielki kongres poświęcony walce z antysemityzmem. Miriam Adelson, magnatka kasynowa z Miasta Grzechu, która zorganizowała ten zjazd, przedstawiła wówczas republikańskiego kandydata na prezydenta jako „prawdziwego przyjaciela Żydów”. Impreza była jedną z wielu inicjatyw multimiliarderki, która całym swoim sercem (i majątkiem) stara się wypłenić antysemityzm. W przypadku Miriam Adelson termin ten jest jednak – nawet jak na standardy osób i instytucji zajmujących się zawodowo zwalczaniem antysemityzmu – wyjątkowo pojemny. Multimiliarderka uważa bowiem, że nie tylko każdy, kto krytykuje Izrael, lecz także ludzie, którzy warunkują swoje poparcie dla tego państwa, są dla niej „martwi”.

Żeby zyskać jej uznanie (i przelew), kandydat na prezydenta musi więc w całości przyjąć jej punkt widzenia na sytuację na Bliskim Wschodzie. Adelson, która pierwszą połowę swojego 79-letniego życia spędziła w Izraelu, musi być dziś zachwycona, słysząc, kogo Trump planuje powołać na czołowe stanowiska w swojej administracji. Właściwie wszystkie te osoby to zaciekle proizraelskie jastrzębie.

Miriam Adelson może wymagać, ponieważ na rzecz reelekcji Trumpa wpłaciła prawdziwą fortunę – więcej, niż wydał na ten cel wielokrotnie bogatszy od niej Elon Musk. Magnatka z Las Vegas zasilila w tym roku pro-Trumpowy fundusz kwotą przekraczającą 100 mln dol. Miriam Adelson jest tu konsekwentna. Podobną sumę przełała, wraz z mężem Sheldonem (zmarłym w 2021 r.), w czasie wyborów w 2020 r.

W trakcie poprzednich kampanii prezydenckich w tym małżeńskim duecie pierwsze skrzypce grał jej mąż i to głównie do niego pielgrzymowali kandydaci liczący na hojne wsparcie. Po śmierci Sheldona Adelsona kierownictwo Partii Republikańskiej miało się podobno obawiać, czy jego żona utrzyma dotychczasowy poziom finansowego zaangażowania w popieranie prawicy. Niepotrzebnie – Miriam ewidentnie chce, by Adelsonowie wciąż mieli przemożny wpływ na republikański Biały Dom.

„Niesamowicie drapieżna w kwestii Izraela, przeżyła głęboki wstrząs w zwią-



Piotr Włoczyk

Córka żydowskich emigrantów z Polski jest najhojniejszą sponsorką Donalda Trumpa. Miriam Adelson płaci, ale też wymaga – bezwarunkowego poparcia dla Izraela

ku z atakiem Hamasu przeprowadzonym 7 października. Najpewniej będzie kształtowała politykę drugiej administracji Trumpa na konflikt izraelsko-palestyński” – prognozuje „The New York Times”.

WENECJA NA PUSTYNI

Miriam Adelson (z domu Farbstein) pochodzi z rodziny polskich Żydów, którzy uciekli do Palestyny. Urodziła się tam w 1945 r. i aż do lat 80., gdy przeprowadziła się do USA, pracowała jako lekarka (również wojskowa lekarka, ponieważ w takim charakterze odbyła obowiązkową służbę w armii).

W Nowym Jorku poznała Sheldona Adelsona, bogatego biznesmena starszego od niej o 12 lat, który – mimo że

był już po pięćdziesiątce – największe pieniądze miał jednak dopiero zarobić. Oboje byli już po nieudanych związkach małżeńskich, gdy w 1991 r. wzięli ślub.

Dziś majątek Miriam Adelson wyceniany jest na ok. 35 mld dol., ale wtedy, w latach 90., nic nie zapowiadało, że jej mąż mógłby zbić fortunę, dzięki której – wraz z żoną – trafi na listę multimiliarderów.

Sheldon, urodzony w 1933 r. w Bostonie, dorastał w biedzie. Jego rodzice byli żydowskimi imigrantami z terenów Litwy i Ukrainy. Jak wspominał, rodziców stać było na kupno tylko jednego łóżka – on sam wraz z rodzeństwem musiał spać na materacach rozłożonych na podłodze.

Przygodę z biznesem zaczął jako nastolatek, kupując kilka maszyn ven-



Miriam Adelson, magnatka kasynowa z Las Vegas, jest najhojniejszą sponsorką Donalda Trumpa FOT. ADAM GRAY/GETTY IMAGES

Trumpa

dingowych. Po służbie w wojsku Adelson wyspecjalizował się w pośrednictwie finansowym – okazało się, że świetnie wychodzi mu poszukiwanie inwestorów dla małych firm, które miały problem z dostępem do kapitału. Gdy zebrał odpowiednie fundusze, przeszedł do branży deweloperskiej i zaczął budować hotele. Równolegle wyczuł rynek i w 1979 r. zorganizował COMDEX – największe w USA cykliczne targi sprzętu komputerowego.

W 1989 r. nabył podupadłe kasyno Sands zlokalizowane w samym centrum Las Vegas. Biznesmen postanowił wyburzyć Sands i zbudować w jego miejscu kompleks kasynowy, który przyćmi wszystko, co do tamtej pory postawiono w Mieście Grzechu. The Venetian, kasyno i hotel udające Wenecję, otwarto dekadę później. To wtedy powstał załazek imperium, którym dziś zarządza wdowa po Sheldonie – Las Vegas Sands Corporation. Nawiasem mówiąc, na ironię losu zakrawa to, że gigantycznym biznesem hazardowym rządzi lekarka, której specjalizacją jest... leczenie uzależnień.

Ta największa na świecie korporacja kasynowa gros swoich zysków czerpie

dziś jednak nie z Las Vegas, ale z Azji – z kasyn Adelsonów zbudowanych m.in. w Makau i Singapurze (kosztująca 5 mld dol. Marina Bay Sands, kompleks kasynowy Adelsonów z charakterystycznymi trzema wieżami połączonymi mostem, stała się już znakiem firmowym Singapuru).

FINANSOWY ROLLERCOASTER

Niewiele brakowało, by hazardowe imperium Sheldona Adelsona rozpadło się jak domek – nomen omen – z kart. W 2008 r., gdy Ameryka zmagala się z największym kryzysem od 70 lat, kurs akcji Las Vegas Sands Corporation spadł o ponad 95 proc. Załamanie gospodarcze przyszło w najgorszym dla niego momencie, akurat gdy rozbudowywał sieć kasyn i w związku z tym był bardzo mocno zadłużony (w budowie był wówczas m.in. kompleks w Singapurze – otwarto go w 2010 r.).

Bankructwo wydawało się niemal pewne i to wtedy do akcji wkroczyła Miriam. Przekonała wówczas męża, by postawić wszystko na jedną kartę i zasilić firmę miliardem dolarów z ich

własnych środków. Gdyby ten plan nie wypalił, Adelsonowie zniknęliby z listy miliarderów, spadając do niższej ligi – multimilionerów.

Ryzykowny zastrzyk finansowy okazał się jednak doskonałym ruchem i biznes Adelsonów dość szybko stanął na nogach. W 2009 r. cały ich majątek wart był ok. 3 mld dol., natomiast niecałą dekadę później powiększył się niemal 13-krotnie. Według wyliczeń „Forbesa” w trakcie tamtej dekady nikt inny nie zarobił w USA większych pieniędzy.

Pęczniejący w szalonym tempie majątek sprawił, że wydawanie setek milionów dolarów na wsparcie „swoich” kandydatów nie stanowiło dla Adelsonów żadnego problemu. Szacuje się, że od 2010 r. Sheldon i Miriam wydali na ten cel grubo ponad pół miliarda dolarów. Tylko na dwie ostatnie kampanie Donalda Trumpa z rodzinnego konta Adelsonów popłynęło już ponad 200 mln dol., co sprawia, że kandydat republikanów musiał brać sobie do serca oczekiwania małżonków.

„Jego mąż doprowadzał mnie niemal do szaleństwa – mówił Trump do Miriam podczas wrzeźniowego spotkania w Las Vegas na temat walki z antysemityzmem. – Musisz zrobić to, musisz zrobić tamto – nawet nie wiecie, przez co ja musiałem przechodzić”.

Wspominając swoje relacje z Adelsonami z okresu pierwszej kadencji, Trump miał zapewne na myśli przeniesienie ambasady USA z Tel Awiwu do Jerozolimy. Małżeństwo kasynowych magnatów postulat ten uważało za absolutny priorytet. Mąż Miriam zapowiadał wtedy nawet, że jest gotów sfinansować z własnych pieniędzy przeniesienie ambasady, by Amerykanie nie odczuli tego w budżecie federalnym.

Mającą podwójne obywatelstwo Miriam pisała w 2019 r. na łamach należącej do niej izraelskiej gazety „Israel Hayom”, że Donald Trump powinien mieć w Biblii swoją „Księgę Trumpa” za to, co już zrobił dla Izraela. Jeżeli 47. prezydent USA utrzyma tak proizraelski kurs, to bardzo możliwe, że za cztery lata Miriam Adelson będzie musiała jakoś przebić ten komplement, podsumowując osiem lat prezydentury Donalda Trumpa.



Ze Zbigniewem Parafianowiczem, dziennikarzem i publicystą „Dziennika Gazety Prawnej” rozmawia Maciej Pieczyński

Zełenski myli realizm z bezczelnością

FOT. PRESIDENT.COVIA

MACIEJ PIECZYŃSKI: Niedawno określiłeś ukraińskiego prezydenta mianem Wołodymyr „Daj” Zełenski, pisząc o jego roszczeniowej postawie wobec Polski. Może ten przydomek od początku wojny do niego pasował, tyle że my już oddaliśmy prawie wszystko, co mogliśmy, dlatego tak obcesowo nas traktuje?

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ: Niedawno naciskano na nas, żebyśmy przekazali Ukrainie broń kupowaną od Koreańczyków z południa. Wciąż więc mamy co im dać. W początkowym okresie wojny w naszym interesie było przekazywanie broni Ukrainie nawet bezwarunkowo, byle utrzymała swoją państwowość. Wtedy wymuszanie czegoś od Kijowa było technicznie niemożliwe. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której z siedzącym w bunkrze Zełenskim negocjujemy układ „ekshumacje za broń”. Później trzeba było jednak zacząć wystawiać weksle.

Problem w tym, że ukraiński prezydent po prawie trzech latach wojny zatracił instynkt w deklarowaniu żądań wobec swoich partnerów. Wcześniej był pragmatykiem, teraz myli realizm z bezczelnością. Przekonali się o tym ostatnio np. Brytyjczycy. Ukraińcy dali do zrozumienia, że planowana od tygodni wizyta premiera Keira Starmera w Kijowie nie ma sensu,

jeśli w tym czasie Londyn nie dostarczy dodatkowych pocisków Storm Shadow. Przekazano jego otoczeniu, że nie musi przyjeżdżać do Kijowa jako turysta, o czym pisał „Guardian”.

Obecnie Zełenski szuka winnych porażki, którą będą potencjalne ustępstwa wobec Rosji. Jesteśmy idealnym kandydatem, bo w naszym interesie jest utrzymanie niepodległości Ukrainy, więc nie przestaniemy jej pomagać, nawet jeśli Kijów będzie nas mieszać z bólem. Zełenski będzie wbrew faktom twierdzić, że musiał podpisać niekorzystny rozjem, bo zamiast dostarczyć migi na czas, Polska wolała blokować ukraińskie zboże, „głódzać” tym samym Ukrainę i globalne Południe, oraz zawracać głowę sprawami historycznymi. W mniejszym lub większym stopniu winni będą też inni zachodni sojusznicy.

„Ukraińcy przeklinali pod nosem Orbána, ale go szanowali. Może i był dla nich ch...m, ale na pewno nie łochem, czyli frajerem” – piszesz w książce „Polska na wojnie”. W którym momencie wojny (skoro nie na jej początku) polscy politycy powinni zacząć wystawiać rachunek za pomoc, biorąc przykład z premiera Węgier?

Węgry mają – umownie – krótszą niż Polska granicę z Ukrainą, dlatego mieli

znacznie mniej do stracenia w wypadku zwycięstwa Rosji...

Jednak Ukraińcy mieli też więcej niż my do stracenia w wypadku, gdybyśmy przestali im pomagać.

To prawda. Polskiej prawicy zarzuca się często, że sieje nienawiść do Ukraińców. A ja uważam, że największym wicherzycielem w relacjach Kijów – Warszawa jest Zełenski. Nikt bardziej nie przyczynił się do kreowania nastrojów antyukraińskich w Polsce niż prezydent Ukrainy. To nie my mamy listy złych Ukraińców, takie jak wobec polskich polityków tworzy powiązany z SBU Myrotvorec. Są na nich polscy posłowie czy właściciele firm transportowych. Przedstawia się ich jako ruskie onuce. Założmy nawet, że nimi są, mimo to nadal są demokratycznie wybranymi posłami czy działającymi zgodnie z prawem przedsiębiorcami. Tymczasem w rozumieniu Myrotworecia są przestępcami. Polskie MSZ – niezależnie od tego, kto nim kieruje – powinno domagać się skasowania tej listy, choćby z powodów godnościowych. Politykę transakcyjną wobec Kijowa powinniśmy moim zdaniem zacząć prowadzić jesienią 2022 r. Między wrześniową ofensywą na Charkowszczyźnie, która była wielkim sukcesem Kijowa,

a tragedią w Przewodowie, która wywołała poważny kryzys w relacjach. Wtedy można było w dobrych nastrojach usiąść do rozmów i liczyć na spełnienie naszych oczekiwań. Zwłaszcza że Ukraińcy zaczęli wtedy planować kolejną ofensywę na lato 2023 r., więc potrzebowali broni, którą my jeszcze mogliśmy im dać. Trzeba było wówczas zażądać czegoś więcej niż tylko odsłonięcia lwów na cmentarzu Orląt Lwowskich.

A czy dziś możemy jeszcze coś wymusić albo wynegocjować od Kijowa? Czy nie jest za późno, żeby stawiać Ukraińcom warunek „albo odblokujemy ekshumacje, albo nie wpuścimy was do UE”?

Sam model transakcyjności zaproponowany przez ministra Sikorskiego jest odpowiedni. Tyle że szansa na uzyskanie ustępstw od Ukrainy w ten sposób jest niewielka. Ukraińcy zdają sobie sprawę z tego, że w przewidywalnej przyszłości nie wstąpią ani do UE, ani NATO, ponieważ ich akcesję blokować będą także inne kraje, nie tylko Polska. Głos Warszawy i tak nie będzie decydujący. Obecna ekipa rządząca nad Dnieprem będzie przedłużać rozmowy o spornych kwestiach historycznych, trzymać Polaków w niepewności. Niedawno ukraiński IPN deklarował, że wyjątkowo może przeprowadzić ekshumacje na wniosek szefowej stowarzyszenia Pojednanie Polsko-Ukraińskie Karoliny Romanowskiej...

Jednak chyba nic z tego nie będzie. Kijów chciał chyba pokazać, że rozmawia ze „zwykłymi Polakami”, a nie ze „złym polskim państwem”.

Tak. Granie na Romanowską to element typowej ukraińskiej strategii. Podobnie było jesienią 2023 r. Zełenski najpierw na forum ONZ oskarżył państwo polskie o działanie na rzecz Rosji, a następnie, w drodze powrotnej ze Stanów Zjednoczonych, odznaczył Damiana Dudę – „zwykłego Polaka”, medyka pola walki, który pomaga Ukraińcom, i polską dziennikarkę od lat zaangażowaną w relacjonowanie wydarzeń na Ukrainie. Z żadnym polskim politykiem w drodze powrotnej się nie spotkał. Jest to komunikat: z władzami nie gadam, społeczeństwo polskie szanuję. Kijów podobnie kiwał polskie elity, grając z Dudą przeciwko Morawieckiemu, z opozycją przeciwko PiS itd. Teraz Romanowską wykiwał przyjaciel Polski – minister kultury Mykoła Toczyski.

Ukraińcy deklarują, że odblokują ekshumacje, jeśli Polacy odnowią tablicę na górze Monasterz poświęconą poległym tam upowcom. Tylko czy nie jest tak, że jeśli Warszawa spełni ten warunek, to Kijów znajdzie następny, byle tylko nie wracać do niewygodnego tematu ofiar ludobójstwa wołyńskiego?

Pewnie tak by było. Z jednej strony, Polacy powinni tę tablicę odnowić, żeby móc powiedzieć „sprawdzam”. Szczególnie że wcześniej sami na ten warunek się zgodzili. Z drugiej strony, umowę w sprawie Monasterza zawarto przed wojną. Po tym, jak bardzo Polska pomogła Ukrainie w walce z Rosją, rozliczanie nas z tego typu zobowiązań jest nieproporcjonalne i niewłaściwe. Zwłaszcza że sami Ukraińcy nierzadko nie dotrzymują umów.

We Lwowie powstanie pomnik Szuchewycza. I to na wniosek żołnierzy. Wychodzi na to, że naprawdę panteon narodowych bohaterów Ukrainy ogranicza się do banderowców... Zełenski to rosyjskojęzyczny Żyd z południowego wschodu kraju, przed wejściem do polityki nie deklarował nacjonalistycznych poglądów. Dlaczego więc Polska nie przeciągnęła go na swoją stronę w sprawach historii? I czy w ogóle była taka szansa?

Szuchewycz jest w środowiskach wojskowych uważany za wielkiego bohatera, idealnego dowódcę. Ukraińcy wypierają ze świadomości jego zbrodnie. Od 2014 r., gdy zabrakło sporej części donbaskiego elektoratu, wszyscy ukraińscy politycy musieli zacząć się liczyć z galicyjskim, nacjonalistycznym elektoratem. To dotyczy również Zełenskiego, któremu – jak jeszcze przed wojną powiedział mi jeden z polityków partii Poroszenki, z pochodzenia Żyd – bardzo spodobało się chodzenie w mundurze patrioty.

Przejdźmy do relacji ukraińsko-rosyjskich. Jak idzie derusyfikacja? Czy Ukraińcy dalej mówią po rosyjsku, oglądają rosyjskie seriale? Czy też wojna sprawiła, że zapalali absolutną nienawiścią do wszystkiego, co kojarzy się z państwem agresorem?

Na południu i wschodzie kraju wciąż mówi się po rosyjsku. Tego wojna znacząco nie zmieniła. Rosyjskojęzyczni znajomi z Charkowa żartują, że mówią po „charkowsku”. Ale nie ma nagonki na tych, którzy np. czytają literaturę rosyjską czy słuchają rosyjskiej muzyki. Jednocześnie przy tym widać tam renesans kultury ukraińskiej. Jednakże rosyjskojęzyczni nie oznaczają prorosyjski. Tym językiem po-

sługuje się sporo ukraińskich patriotów. Poza tym w Donbasie jest sporo „żdunów” czekających na „wyzwolenie” przez Rosję. Ich postawa jednak nie tyle jest prorosyjska, ile antywojenna. Wielu z nich nie opuszczało miejsca zamieszkania przez całe swoje życie. Zamiast jednak pogardliwie nazywać ich „żdunami”, należałoby jednak poszukać przyczyn ich postawy. Państwo ukraińskie nie zaopiekowało się nimi, traktowało ich po odzyskaniu niepodległości jako nawóz historii. Mówiono na nich: wata, watnicy. I pewnie tak było. Tylko miało to również swoje przyczyny. Doskonale to środowisko opisuje znany charkowski pisarz Serhij Żadan. To nie są bezzębne orki, tylko ludzie żyjący w próżni rozwojowej między Zachodem a Rosją. Nawet w rosyjskim Rostowie nad Donem przed wojną żyło się lepiej niż na donbaskiej prowincji. Trudno oczekiwać, że mieszkańcy tego regionu będą mieć pozytywny stosunek do państwa ukraińskiego, które ich olewało.

Wiemy, skąd się wziął negatywny stosunek „żdunów” do Kijowa. A dlaczego swojego państwa nie uważają również tzw. uchylanci, czyli Ukraińcy unikający służby wojskowej?

Co ma sobie myśleć młody rekrut ze Lwowa, gdy widzi deputowanego do Rady Najwyższej, który załatwił sobie na lewo grupę inwalidzką, na wypadek gdyby Zełenski zmienił regulacje i zechciał powoływać do wojska parlamentarzystów? Jakie ma moralne zobowiązania wobec państwa taki młody Ukrainiec, gdy widzi ministra rolnictwa, który ze skarpety wyciąga 2 mln dol., żeby wpłacić kaucję i odpowiadać z wolnej stopy przed sądem za skup ziemi na służy? Ofensywa zamula, nie wiadomo, czy wojna nie zakończy się zgniłym rozejmem, a tymczasem politycy i urzędnicy unikają poboru, bo ich stać na łapówki albo tworzą prawo, które ich wyklucza z poboru. To demotywuje nawet prawdziwych patriotów, którzy coraz mniej rozumieją, dlaczego w obrotach tak zdegenerowanego państwa mają ryzykować utratę kończyn albo życia. Na Ukrainie prawie wszystko można kupić, ale pieniądze mają nieliczni. Pewien Ukrainiec uciekał z kraju z kupioną grupą inwalidzką. Byłem tego świadkiem. Dokumenty miał wystawione z datą z przyszłości. Ale i tak mu się udało, bo skorumpował pograniczników. Mój znajomy

■ opowiadał, jak ze szczerej chęci poszedł do szkoły wojskowej w Żytomierzu, gdzie podczas alarmów przeciwlotniczych studenci musieli się cować pod balkonem, bo władze uczelni zdefraudowały pieniądze na budowę schronów. Takie historie z prędkością światła roznoszą się po ukraińskim Internecie. I nie motywują do walki...

Czy dalej nastroje na Ukrainie są takie, że większość chce zakończenia wojny, jednocześnie nie wyobrażając sobie ustępstw wobec Rosji?

Tak, takie schizofreniczne podejście zdaje się dominować – zarówno w społeczeństwie, jak i u Zełenskigo. Możliwe, że jeśli dojdzie do jakiegoś zawieszenia broni z Rosją, to będzie to porozumienie lustrzane, jak w przypadku układu zbożowego. Czyli obie strony podpiszą rozejm przez pośrednika, składając odmienne deklaracje. Ukraińcy ogłoszą, że nie zrzekają się terenów, Rosjanie – że nie rezygnują z podbojów. A jedni i drudzy przestaną strzelać.

W takiej sytuacji Zełenski uniknie oskarżeń o zdradę i utrzyma władzę?

To zależy, czy naród kupi jego narrację o tym, że nie odtbił ziem okupowanych z winy złych sojuszników. Ale my rozmawiamy tak, jakby ten rozejm widniał na horyzoncie, a tak nie jest.

Z jednej strony Trump deklaruje szybkie zakończenie wojny. Prawdopodobnie zaproponuje jakiś kompromis terytorialny. Ale przecież możliwe, że Rosja się na to nie zgodzi. I wtedy impulsywny, ambitny Trump poczuje się urażony i zacznie wspierać Ukrainę jeszcze bardziej niż poprzednik. To realny scenariusz?

Nie wydaje mi się, żeby Putin był gotów zatrzymać tę rozpędzoną maszynę wojenną, którą puścił na Donbas. Rosjanie szykują się do ofensywy na Zaporozżu. Putin raczej maksymalizuje, niż minimalizuje swoje cele. Jego apetyt rośnie w miarę postępów. Ewentualny rozejm to byłaby tylko pauza. Putin będzie obserwować procesy gnیلne w państwie ukraińskim wyczerpanym wojną, skażonym przez korupcję. I będzie szykować się do ponownego uderzenia w ciągu kilku najbliższych lat. Od dwóch dekad widać wyraźnie, że jego strategicznym celem jest likwidacja niezależnej państwowości ukraińskiej, a nie aneksja fragmentów.

Komentatorzy ostrzegający przed eskalacją atomową byli nazywani „onucami” dopóty, dopóki tematu nie podjął ceniony amerykański dziennikarz Bob Woodward

Jednak chyba nie ma alternatywy dla pokoju. Zachód nie może wiecznie dozbrajać Ukrainy i liczyć na jej zwycięstwo nad Rosją.

Jeśli Ukraina chce zapewnić sobie niepodległość i integralność terytorialną na tym obszarze, który jej pozostał, to musi zbudować efektywne państwo, zwalczyć korupcję, stworzyć niezależne media i sądy, wykształcić dojrzałe elity. Tylko wtedy może liczyć na zaproszenie do struktur zachodnich, które gwarantowałyby jej istnienie. Ale musi też najpewniej oficjalnie zaakceptować utratę części terytoriów. Poważne państwo musi bowiem mieć granicę, a nie linię demarkacyjną grożącą znów przekształceniem w linię frontu. Tylko wtedy ma jakieś nikłe szanse wejścia do NATO, które nie zaryzykuje wojny z Rosją o ustalanie wschodniej granicy Ukrainy. Co do zasady dla Polski korzystne jest przesuwanie granicy świata zachodniego na wschód. Tak, żebyśmy mieli stabilny bufor oddzielający nas od Rosji. Tyle że jeśli mamy przyjąć Ukrainę do jakichkolwiek struktur, to tylko na naszych warunkach. Kijów musi zrozumieć, że aspiruje do NATO i UE w roli petenta, który ma słuchać i wykonywać polecenia, a nie, jak obecnie, stawiać wygórowane żądania i rozstawiać sojuszników po kątach. To dla Ukrainy jedyny ratunek.

Ponoć w otoczeniu Trumpa pojawił się pomysł, by w razie rozejmu linii demarkacyjnej pilnowały m.in. polskie wojska...

Na szczęście to nic pewnego. Niemniej istnieje ryzyko, że Trump w ten czy inny sposób będzie chciał podzielić się kosztami gwarantowania pokoju na Wschodzie. Kiedyś, gdy wybierano przedstawiciela UE na Ukrainie (tzw. ambasadora unijnego), wmawiano Warszawie, że nie może być nim Polak, bo Polska ma nad Dnieprem zbyt dużo interesów i uwikłań. Teraz podobnego argumentu trzeba byłoby użyć,

żeby odmówić udziału w ewentualnej misji pokojowej, która na pewno niosłaby ze sobą ryzyko prowokacji i eskalacji ze strony Rosji.

Jak z perspektywy czasu oceniasz ofensywę kurską Ukraińców?

Jeśli potencjalna linia demarkacyjna będzie przebiegać wzdłuż linii frontu, to Rosja straci niewielki kawałek, ale jednak własnego terytorium. To wywrócenie stolika może się więc jeszcze Ukrainie opłacić, a ziemie obwodu kurskiego mogą być towarem wymiennym podczas negocjacji. Ukraińcy muszą chwycić się takich niekonwencjonalnych, brawurowych metod, bo w konwencjonalnym starciu na polu walki nie mają większych szans.

Tylko czy takie wywracanie stolika nie grozi eskalacją? Czy za którymś razem Putin w zemście za kolejną dywersję Kijowa nie użyje w końcu np. broni jądrowej?

Nie można tego wykluczać. Komentatorzy ostrzegający przed eskalacją atomową byli nazywani „onucami” dopóty, dopóki tematu nie podjął ceniony amerykański dziennikarz Bob Woodward. Na podstawie rozmów z ludźmi Bidena oszacował ryzyko użycia broni jądrowej przez Moskwę aż na 50 proc. Oczywiście to dla Putina też byłoby wielkie ryzyko, bo Waszyngton dał mu do zrozumienia, że w odpowiedzi zniszczyłby cały rosyjski potencjał konwencjonalny na Ukrainie. To jest geopolityczny hazard. Z punktu widzenia Polski, jako kraju położonego w strefie zgniota, bardzo niebezpieczny. Generalnie na szczytach światowej polityki mamy teraz graczy skłonnych do hazardu, do ryzykownego wywracania stolika: Putin, Netanjahu, Zełenski, teraz Trump. Zełenski musi przy tym pamiętać, że jego zdolności eskalacyjne są ograniczone. Kluczowe dla przyszłości jest pytanie: Czy Putin wyciągnie wnioski z tego, że po drugiej stronie stołu jego przeciwnikiem już nie jest starszy pan, który ledwo kojarzy fakty, tylko szalony kowboj, którego lepiej nie drażnić?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zbigniew Parafianowicz
– dziennikarz, reportażysta i publicysta „Dziennika Gazety Prawnej”.

ZABAWKI ZE STRONĄ PORNO

Niebawem w kinach pojawi się film „Wicked”, w którym zagra m.in. piosenkarka Ariana Grande. W związku z tym firma produkująca zabawki wypuściła na rynek lalki z kolekcji Mattel Wicked. Zabawki na opakowaniu posiadały adres internetowy, który miał prowadzić dzieci do strony promującej musical. Jednak, jak przyznała firma Mattel, „w wyniku omyłki drukarskiej” na pudełkach lalek wydrukowano adres witryny pornograficznej. W oficjalnym oświadczeniu Mattel przeprosił za błąd i poradził rodzicom, by opakowania lalek wyrzucili.

rodzaju podniebnych przewozów korzysta ok. 0,003 proc. światowej populacji.

PRALNIA PIENIĘDZY U SZEFA POLICJI

W domu przedstawiciela krajowej policji w Madrycie – Oscara Sancheza Gila, szefa wydziału do spraw oszustw i prania brudnych pieniędzy znaleziono 20 mln euro. Gotówka była schowana w ścianach. Policjantowi i jego partnerce przedstawiono zarzuty... prania brudnych pieniędzy, handlu narkotykami, korupcji i udziału z zorganizowanej grupy przestępczej.

ŚNIEG PO CZESKU

Na północy Czech zrobiło się białe. Krajowy instytut hydrometeorologiczny szybko wyjaśnił mieszkańcom Sumperku, że to nie zima i nie natura. „Wystąpiły opady śniegu przemysłowego” – napisano w komunikacie. I wyjaśniono, że tego rodzaju opady pojawiają się w pobliżu zakładów przemysłowych, których produktem ubocznym jest para wodna. Mogą to być browary, zakłady azotowe czy elektrownie.

Łukasz Zboralski

AWANTURA O CHOINKĘ

W Watykanie tradycyjnie na placu św. Piotra stanąć ma bożonarodzeniowe drzewko. Wybór padł na 200-letnią jodłę rosnącą w lasach Valle di Ledro w regionie Trydentu. Zanim jednak drwale przyłożyli piły, to do papieża Franciszka (a także do gubernatora Państwa Watykańskiego i władz lokalnych w Trydencie) obrońcy środowiska wysłali petycję. Zaproszowali w niej przeciw ścięciu drzewa na świąteczną dekorację. Uznali to za „anachroniczną hańbę” i dodali, że „choinka to tradycja pogańska”.

KTO BOGATEMU ZABRONI?

Ocieplenie klimatu, katastrofa i tak dalej – wiadomo, wszyscy muszą oszczędzać i zmieniać swoje życie. No, oprócz bogaczy. Jak wskazano w publikacji „Communications Earth & Environment”, roczne emisje dwutlenku węgla z prywatnych lotów wzrosły aż o 46 proc. pomiędzy 2019 a 2023 r. Z tego

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rewolucja w Waszyngtonie



JACEK PRZYBYLSKI

Miliarderzy Elon Musk oraz Vivek Ramaswamy wejdą w skład nowej administracji. Mają stworzyć Departament do spraw Wydajności Rządu (DOGE), którego zadaniem będzie ograniczenie marnotrawnych wydatków państwa i zniesienie zbędnych regulacji – ogłosił w ubiegłym tygodniu prezydent elekt Donald Trump.

„Stworzymy ranking najbardziej szalenie głupich wydatków finansowanych z waszych podatków. Będzie to niezwykle tragiczne, jak i niezwykle zabawne” – ogłosił Musk w serwisie X.

Wszystkie działania DOGE dla „maksymalnej przejrzystości” mają być publikowane w Internecie. Nowy departament na przeprowadzenie strukturalnych reform i drastyczne odchudzenie administracji w Waszyngtonie ma mieć ściśle określony czas: do 4 lipca 2026 r., czyli do 250. rocznicy ogłoszenia niepodległości USA.

Krytykę wejścia Muska do administracji rządowej wskazują na wyraźny konflikt interesów – spółki należące do miliardera zawierają kontrakty ogromnej wartości zarówno z NASA, jak i z Pentagonem.

Podobny departament przydałby się też w Brukseli, gdzie przerost liczby eurokratów widać niemal z Marsa. Tymczasem powołanie DOGE to tylko jeden z elementów rewolucji w Waszyngtonie. Szefem personelu Białego Domu (to odpowiednik szefa Kancelarii Prezydenta Polski) będzie Susie Wiles – działaczka Partii Republikańskiej, która swoją aktywność polityczną zaczynała jeszcze w czasie kampanii Ronalda Reagana. To historyczna nominacja, bo będzie ona pierwszą kobietą na tym stanowisku. Na czele dyplomacji stanąć ma zaś były rywal Trumpa: Marco Rubio. ©

Rajd Trumpa



Jacek Przybylski

Donald Trump jeszcze **nie** przeprowadził się do Białego Domu, a już wyraźnie wpływa na globalne rynki finansowe. Kryptowaluty biją kolejne rekordy, mocno podrożał dolar, w górę pną się również kursy amerykańskich akcji

Stany Zjednoczone coraz bardziej wyprowadzają gospodarczo pozostałe państwa świata. W USA coraz wyraźniej odbijają już nie tylko usługi, lecz także przemysł. Za rządów prezydenta Donalda Trumpa dobra koniunktura za oceanem ma spore szanse się utrzymać, a nawet zdecydowanie poprawić. Planowane deregulacje, cięcia podatków i wojny celne powinny bowiem znacząco stymulować wzrost gospodarczy w USA. Amerykanie mają mieć więcej miejsc pracy (nowe cła mają przyciągać inwestycje do USA) i wyższy dochód rozporządzalny, co będzie napędzać wzrost PKB.

Za nadziejami amerykańskich inwestorów poszły w ubiegłym tygodniu bardzo solidne zwwyżki dolara. Zwłaszcza że za politykę handlową w administracji nowego prezydenta może odpowiadać Robert Lighthizer, znany z czasów pierwszej prezydentury Donalda Trumpa zwolennik protekcjonizmu oraz strategii mającej jasny cel: ochronę amerykańskiego przemysłu.

Na polskim rynku walutowym „zielony” wyraźnie przebił niewidziany od czerwca poziom 4,10 zł, a następnie wzrósł powyżej 4,12. Tym samym w ciągu zaledwie kilku dni od ogłoszenia wyników wyborów w USA amerykańska

waluta umocniła się względem polskiej o ponad 8 gr. Złoty tracił mniej niż inne waluty regionu Europy Środkowo-Wschodniej (jak np. węgierski forint czy czeska korona), ale choć można się spodziewać wahań kursu, to wątpliwe jest, aby dolar mógł jeszcze w listopadzie wrócić poniżej poziomu 4 zł.

Efekt rajdu Trumpa widoczny był również w relacji dolara amerykańskiego wobec euro, którego kurs zanurkował do najniższego poziomu od roku (1,05) i zmierza w kierunku 1,0450. Trudno jednak spekulować, czy w czasach rosnącej w siłę Ameryki i pogrążonych w kłopotach Niemiec dolar ma szanse znów



z głównych założeń swego planu gospodarczego, którego elementem jest wielka wojna celna, w której ostrza wymierzone są zarówno w Chiny (których towary mogą być objęte cłem w wysokości 60, a nawet 100 proc.), jak i w kraje europejskie (w tym przypadku rozważana jest podwyżka z niecałych 2 proc. do 10 proc. lub nawet 20 proc). Duży wstrząs ze strony prezydenta, który sam siebie określa mianem „człowieka od ceł”, a słowo „cło” uważa za najpiękniejsze w słowniku, czeka m.in. branżę motoryzacyjną czy lotniczą. Donald Trump przekonuje, że bez radykalnego podwyższenia stawek celnych na samochody produkowane poza USA amerykański przemysł motoryzacyjny czeka „krwawy koniec”.

Prezydent elekt chce też się upewnić, że dolar amerykański utrzyma dominującą pozycję jako główna waluta rezerwowa świata (w 2020 r. dolar stanowił ok. 60 proc. światowych rezerw zgromadzonych przez banki centralne), w której dokonuje się zdecydowanej większości transakcji finansowych. Od kilku lat kraje bloku BRICS+ (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Republika Południowej Afryki) dążą jednak do stworzenia alternatywy dla amerykańskiej waluty. Trump ma już dla nich gotową odpowiedź. Na towary pochodzące z krajów, których rządy zdecydują się na rezygnację z dolara jako waluty rozliczeniowej w handlu międzynarodowym, mają być nakładane cła w wysokości 100 proc. Tak wysoka stawka zapewne zmusi kolejne rządy do przemyślenia marzeń o stworzeniu waluty, która mogłaby rywalizować z dolarem o status waluty rezerwowej.

Z pewnością duży wpływ na globalną gospodarkę będzie miała również eskalacja sporów handlowych między USA a Chinami. Wojna celna dotknie jednak wiele innych państw. Wyższe stawki celne uderzą nie tylko w kraje typu Meksyk, lecz także w Niemcy, co z kolei może wpłynąć również na polskie przedsiębiorstwa współpracujące z niemiecką branżą motoryzacyjną. Ewentualne działania odwetowe ze strony Unii Europejskiej mogą doprowadzić do eskalacji wojny handlowej. Najłatwiejszą do przewidzenia globalną konsekwencją wojny celnej może być zaś wzrost cen nie tylko w Stanach Zjednoczonych, gdzie przedsiębiorcy przerzucą wyższe koszty bezpośrednio na konsumentów, lecz

także w innych regionach świata (w tym w krajach Unii Europejskiej).

POWYBORCZY RAJD NA WALL STREET

Mimo licznych ostrzeżeń przed wielką bańką, która może wkrótce prysnąć, w górę poszybowały w ostatnich dniach dolar i kursy amerykańskich akcji. Tak zwany rajd Trumpa sprawił, że amerykański indeks S&P 500 kontynuował hośbę i przebił poziom 6 tys. pkt. Co prawda, potem rynek złapał lekką zadyszkę, ale bezpiecznie można stwierdzić, iż zwycięstwo Donalda Trumpa sprawiło, że S&P 500 już zwyżkowało o mniej więcej 4 proc., a rajd Trumpa może w ciągu najbliższych tygodni wynieść wartość indeksu S&P 500 do poziomu 6,3 tys. czy nawet 6,5 tys. pkt. Inwestorzy dużo łaskawszym okiem patrzą m.in. na spółki z sektora przemysłowego, który może być jednym z głównych beneficjentów polityki „America First”. Na polityce gospodarczej nowego prezydenta zyskać mogą również te firmy, dla których najbardziej korzystne będą np. deregulacje w zakresie ochrony środowiska.

Donald Trump w serii działań, które mają „uczynić Amerykę znowu wielką”, zapowiadał bowiem podczas kampanii przedwyborczej zaostrzenie polityki imigracyjnej, wsparcie krajowego biznesu oraz radykalne obniżki podatków dla firm działających na terenie Stanów Zjednoczonych. Tylko podczas swojej pierwszej kadencji w Białym Domu prezydent Donald Trump obniżył podatki dla firm z 35 proc. do 21 proc. Po styczniowym zaprzysiężeniu może zaś zmniejszyć daninę z 21 do 15 proc.

Skutkiem takiej polityki powinna być wyższa presja na wzrost cen. Wyższa inflacja skłoni zaś zapewne członków Rezerwy Federalnej (Fed) do spokojniejszego łagodzenia polityki fiskalnej lub nawet do wstrzymania się z dalszymi cięciami stóp procentowych. Na grudniowym posiedzeniu spodziewana jest co prawda jeszcze jedna obniżka o 25 punktów bazowych, ale w roku 2025 cieć może być o wiele mniej, niż byłoby zapewne w przypadku zwycięstwa Kamali Harris.

AMERYKAŃSKI (KRYPTO)SEN

Ogromne zyski po ogłoszeniu wyników wyborów zainkasować mogli po-

zrównać się z wartością euro (w lipcu 2022 r. – pierwszy raz od dwóch dekad – jeden dolar był wart jedno euro).

GLOBALNA WOJNA CELNA

Wyniki tegorocznych wyborów w Stanach Zjednoczonych są jednoznaczne: Partia Republikańska nie tylko zdobyła Białą Dom, lecz także ma przewagę w Izbie Reprezentantów oraz w Senacie. To zaś oznacza, że Donaldowi Trumpowi o wiele łatwiej powinno być wcielać w życie kampanijne zapowiedzi.

Globalne rynki reagują nerwowo, ponieważ wiele wskazuje na to, że prezydent elekt nie zamierza się wycofać

FOT. ADRIAN STOK

■ siadacze różnego rodzaju kryptowalut. Donald Trump w kampanii wyborczej obiecywał bowiem, że Stany Zjednoczone staną się „kryptowalutową stolicą świata”. To zaś oznacza, że nowy rząd w Waszyngtonie powinien zadbać o bardziej przyjazne dla cyfrowych walut regulacje. To jednak nie wszystko. Donald Trump wspominał podczas kampanii o potrzebie stworzenia krajowej rezerwy w kryptowalutach, co oznaczałoby, że część oficjalnych amerykańskich rezerw alokowana byłaby w bitcoinie.

Efekt? Po zwycięstwie Trumpa wartość bitcoina wzrosła niemal o jedną trzecią. W ostatnich dniach najbardziej znana kryptowaluta pobiła kilka historycznych rekordów, przebijając poziom 80 tys. dol., następnie 83 tys. dol., a później 87 tys. dol. Gdy 13 listopada amerykański wskaźnik cen konsumpcyjnych (CPI) sięgnął 2,6 rok do roku, bitcoin pierwszy raz w historii wzrósł powyżej poziomu 90 tys. dol. Jak zauważa „Forbes”, wartość majątków 11 największych kryptomiliarderów, których aktywa składają się głównie z tokenów, tylko w tym roku wzrosła o 38 mld (!) dol., z czego ponad 60 proc. po 1 września, gdy sektor finansowy coraz bardziej byczo podchodził do cyfrowych tokenów w związku z rosnącym prawdopodobieństwem zwycięstwa Trumpa w wyborach.

Zdaniem wielu komentatorów bitcoin coraz śmielej zmierzać może w kierunku magicznej granicy 100 tys. dol. (równowartość ok. 411 tys. zł). Według niektórych analityków i youtuberów zajmujących się handlem kryptowalutami bitcoin wartość 100 tys. dol. może osiągnąć jeszcze przed styczniowym zaprzysiężeniem Donalda Trumpa. Najwięksi optymiści twierdzą, że podczas obecnej hossy bitcoin może poruszać się nawet w przedziale 150–200 tys. dol. Coraz więcej inwestorów instytucjonalnych, szukając możliwości dywersyfikacji portfela, decyduje się bowiem na ulokowanie kapitału w aktywach cyfrowych. Podobnie w kryptowaluty zamiast np. w złoto woli zainwestować też wielu inwestorów detalicznych. Dzięki temu zarządzający funduszami ETF na kryptowaluty obserwują rekordowe wpływy. Te zaś przyczyniają się do wzrostu wartości cyfrowych tokenów.

Po ogłoszeniu wyniku wyborów zyskiwały także niektóre inne kryptowaluty

Takie zwiększenie produkcji, aby rynki załała powódź taniej ropy, ułatwiłoby Trumpowi rozmowy z Putinem

poza bitcoinem, w tym słynna kryptowaluta o charakterze meme, czyli promowana przez miliardera Elona Muska dogecoin (DOGE). Ponieważ Musk ma wejść do nowej administracji Donalda Trumpa i stworzyć Departament Efektywności Rządu (DOGE), kryptowaluta w ciągu zaledwie jednej doby zyskała na wartości niemal 40 proc. i błyskawicznie wspierała się na najwyższe poziomy cenowe od roku 2021. Od ogłoszenia wyników wyborów prezydenckich cena memecoin DOGE odnotowała wzrost wynoszący ponad 150 proc., a w ciągu miesiąca jej wartość niemal się potroiła.

Po zwycięstwie prokryptowalutowego prezydenta USA sporo zyskały również akcje spółek zajmujących się wydobywaniem kryptowalut. Analitycy przestrzegają jednak, że w przypadku tak gwałtownych powyborczych rajdów warto pamiętać o możliwości nagłej i głębokiej korekty.

ZAŁEW TANIEJ ROPY I TANIEGO GAZU?

Jak rządy Donalda Trumpa wpłyną w długim terminie na inflację w Stanach Zjednoczonych czy wartość dolara, przekonamy się dopiero po rozpoczęciu sprawowania przez niego rządów. Jest bardzo prawdopodobne, że nowy amerykański prezydent, dążąc do reindustrializacji Ameryki, będzie mocno wspierał sektor energetyczny, a także że będzie chciał drastycznie zwiększyć wydobycie ropy naftowej oraz gazu. – Będziemy szczelinować, szczelinować, szczelinować, a potem wiercić, wiercić i wiercić – zapowiedział prezydent elekt Donald Trump, obiecując, że dzięki znaczącemu zwiększeniu produkcji w ciągu 12 miesięcy obniży ceny energii w Stanach Zjednoczonych o połowę.

Czy mu się to uda? Analitycy są sceptyczni. Już w ubiegłym roku Stany Zjednoczone stały się bowiem największym na świecie eksporterem gazu ziemnego.

Bardzo wysoka jest także produkcja ropy naftowej (w tym jej kondensatu), która w ubiegłym roku wynosiła – według danych amerykańskiej EIA – 12,9 mln baryłek dziennie. Dzięki temu USA już szósty rok z rzędu były największym światowym producentem ropy.

Założenie nowej administracji jest jednak takie, aby za pomocą złagodzenia przepisów i zmniejszenia ograniczeń dotyczących emisji dla amerykańskich koncernów naftowych doprowadzić do zwiększenia wydobycia i udostępnienia firmom nowych miejsc do wiercenia. Nowe licencje to tylko jeden z elementów planu gospodarczego nowej ekipy. Kolejną jego częścią jest rozbudowa ropociągu Keystone z Kanady do USA (wstrzymana za prezydentury Joe Bidena). Zwiększenie produkcji w USA do takich poziomów, aby globalne rynki załała powódź taniej ropy (np. w cenie 50 dol. za baryłkę), mocno ułatwiłoby nowemu gospodarzowi Białego Domu prowadzenie negocjacji z władzami na Kremlu, bo Rosja zostałaby pozbawiona głównego źródła finansowania swej gospodarki wojennej. Sam Trump nie byłby w stanie wpłynąć na globalny rynek ropy. Jednak władze Arabii Saudyjskiej już kilka tygodni temu ogłosiły, że rezygnują z planu doprowadzenia ceny ropy do 100 dol. za baryłkę i zamierzają realizować plany zwiększenia produkcji ropy naftowej w celu ochrony swojej pozycji światowego potentata. Tania ropa powinna jednocześnie obniżyć tempo wzrostu cen, co mogłoby sprawić, że dolar jednak nieco potanieje.

Jednocześnie inwestorzy przyglądają się perspektywom firm z sektora tzw. zielonej energii. Zdaniem Trumpa należałoby zablokować przegłosowane przez administrację Joe Bidena subsydia na morskie farmy wiatrowe (które zdaniem prezydenta elekta są zbyt drogie) czy fabryki paneli słonecznych. Według ekspertów ucięcie funduszy zapisanych już w ustawie Inflation Reduction Act będzie jednak trudne. Dużo łatwiej nowemu prezydentowi będzie zrezygnować z porozumienia paryskiego (zrobił to już podczas pierwszej kadencji), którego sygnatariusze deklarują zamiar odejścia od paliw kopalnych i potrójnia energii odnawialnej do roku 2030.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Plan Gadomskiego

Witold Gadomski należy do grupy tych polskich publicystów, którzy od całych dekad nawojują (Gadomski w „Gazecie Wyborczej”) do gospodarczego rozsądku. Nawojują – zwłaszcza w ostatnich latach – z coraz mizerniejszym, jeśli się rozearzeć po Polsce, skutkiem.

Ostatnio – tym razem sumując pierwszy rok rządów Tuska – Gadomski pochylił się nad rysującym się przed naszą gospodarką czarnym scenariuszem – w artykule pod niepozostawiającym dużo miejsca na domysły tytułem „Grozi nam stagnacja, co zrobić, by jej uniknąć?”.

Najpierw wskazał w nim przyczyny, które sprawiły, że Polska przestała doganiać bogatsze kraje UE, czego symbolem jest coraz słabsze tempo naszego wzrostu gospodarczego. Po pierwsze – dług publiczny Polski liczony według standardów UE „w 2000 r. wynosił 36,4 proc. PKB, w latach 2000–2010 średnio 46 proc. PKB, w latach 2011–2023 – 52,2 proc. PKB, a obecnie zbliżamy się do 60 proc. PKB”. Po drugie – przestaliśmy być krajem o relatywnie niskich podatkach: w 2025 r. „wydatki publiczne wyniosą aż 48,9 proc. PKB i wyższe w UE będą miały jedynie Francja, Finlandia, Belgia, Austria, Włochy i Chorwacja”. Po trzecie – drastycznie słabną w Polsce nakłady na inwestycje; „w latach 2015–2023 ich udział w relacji do PKB spadł z 20,4 do 17,8 proc., a na-

kładów prywatnych, które mają szczególne znaczenie dla wzrostu produktywności, z 14 do 11 proc.”. I po czwarte – ostatnio rząd, rząd PiS, „nacionalizował banki i spółki energetyczne, wstrzymał prywatyzację, obniżył wiek emerytalny, znacznie podniósł płacę minimalną, nakładał chaotyczne regulacje i podatki sektorowe, a przede wszystkim doprowadził do chaosu w wymiarze sprawiedliwości, co zwiększyło ryzyko w obrocie gospodarczym”. Itd., itp.

Rzecz jasna, Gadomski nie poprzestaje na analizie przyczyn zapaści, lecz spieszy z zestawem rad dla rządu Tuska. Czegóż tam nie ma! Są zalecenia pilnego wznowienia prywatyzacji, uproszczenia systemu podatkowego, w tym wprowadzenia jednej stawki VAT, obniżenia CIT i podniesienia kwoty wolnej w PIT, a także zmiany zasad programu „800+” i na deser zlikwidowania agencji utworzonych przez rząd PiS.

Cóż, ten „plan Gadomskiego” jako żywo przypomina coś na kształt „drugiego planu Balcerowicza”. Ale dziś są czasy nie obniżania długu Polski, a powiększania; nie prywatyzacji, a nacionalizacji; nie redukcji podatków, a ich podwyższania. Tusk przecież wyraźnie bardziej od jakże Polsce dziś potrzebnego „planu Gadomskiego” – „drugiego planu Balcerowicza” – woli „plan Tuska”, czyli „drugi plan Morawieckiego”, który z przymusem realizuje. Na naszą, Polaków, zgubę. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Musk u Trumpa

Pomiędzy Elonem Muskiem a Donaldem Trumpem jest chemia. Nikogo więc nie powinno zaskakiwać, że właściciel X znalazł się w składzie nowej administracji. Bardziej może zaskakujące jest, czym ma się w niej zajmować: redukcją biurokracji i teźże administracji zmniejszaniem.

Jest w tym oczywiście paradoks, który już wywołuje złośliwe komentarze: dla zmniejszania biurokracji trzeba będzie powołać specjalny departament –

Właściciel X znalazł się w nowej administracji Trumpa, ma się zajmować redukcją biurokracji

Department of Government Efficiency (Departament Efektywności Rządowej). Musk ma nim kierować wspólnie z inwestorem z branży biotechnologii Vivekiem Ramaswamym.

Nietrudno się zorientować, na co liczy Trump: biznesmeni znani z bezwzględności w zarządzaniu swoimi biznesami mają w podobny sposób podejść do administracji. Ciekawie będzie to starcie obserwować, bo zarządzanie prywatnym biznesem to z zasady

coś całkiem innego niż zarządzanie administracją. Przypomina mi się opowieść jednego z moich znajomych, który za poprzedniego rozdania politycznego, wiele lat temu, został powołany do władz Polskiego Radia. Nigdy wcześniej nie pracując na państwowym, skarżył mi się, że nawet wymiana zepsutej lampy w studiu wymaga przebrnięcia przez absurdalną papierologię. Ciekawe, czy Musk w podobnym stylu zderzy się ze ścianą.

Natomiast zarzuty dotyczące publicznej działalności Muska, które natychmiast przy tej okazji pojawiły się w lewicowych mediach, pokazują jedynie frustrację. Traf chciał, że w tym samym momencie lewicowy brytyjski dziennik „The Guardian” ogłosił zażalenie na publikowanie na swoim profilu na X z powodu „zalewu spiskowych teorii” i „prawicowej agresji”. Cóż, niektórzy najwyraźniej tęsknią za dawnym Twitterem, z cenzorami sprzyjającymi lewicowemu kręgom i wyrzucającymi z serwisu Donalda Trumpa.

Gdyby wziąć dzisiejszy X za próbierz poglądów Muska, to jedno można powiedzieć na pewno: poziom wolności jest tam obecnie największy ze wszystkich dużych serwisów społecznościowych. Za Muska idącego w tym kierunku, jakiegokolwiek stanowisko zajmie, warto trzymać kciuki. ©©

W końcu lat 70. wykazywałem już dyskretne doświadczenie wyniesione z uciążliwych szlaków karawanowych w kra-
inie wymarłych przestrzeni. Zdawałem sprawę, co znaczy pozostać bez wody na spieczonej słońcem Saharze, o czym przypominały bielejące, wypolerowane przez wiatr i wypalone przez promienie słoneczne kości, świadectwo pustynnych tragedii. Wiadomo, że śmierć z odwodnienia wisi jak miecz Damoklesa nad każdym wędrowcem, bo rzadkie studnie nie zawsze zapewniają bezcenny płyn. Bywa, że wysychają albo woda nie nadaje się do picia, bo pływa w niej jakaś padlina. Z pragnienia ginęli niekoniecznie tylko niewprawieni łowcy przygód, lecz także miejscowi koczownicy znający, jakby nie było, sekrety swojej ziemi.

Każdego roku wielu mało roztropnych kierowców popada w tarapaty, bo zapominając o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, wyrusza bez zabrania niezbędnej ilości wody oraz paliwa, bez informowania policyj o kierunku wyjazdu czy bliskich o swoich planach. W ubiegłym roku dwoje Włochów, zaopatrzonych w telefon satelitarny, dobrą mapę i GPS, na stosunkowo łatwym odcinku między Tamanrasset a granicą z Nigrem zgubiło drogę i zmarło z powodu hipertermii.

Dwa lata temu prasa nigeryjska opisywała odyseję 20 pasażerów jadących przez Ténéré, „Pustynię w pustyni”, jak z należnym respektem nazywają Tuaregowie 700 km piaszczystej równiny z Agadezu do Bilmy. Pojazd był w opłakanym stanie technicznym, podobnie zresztą jak wszystkie inne, które tu się spotyka. Nie zabrano zbyt dużo wody, aby nie obciążać i tak już przyciężkiego samochodu. Dwieście kilometrów przed celem zużyte opony nie wytrzymały trudów podróży i ciężarówka ugrzęzła pośród piasków. Jeden z pasażerów zdecydował się iść do najbliższej oazy. Krańcowo wyczerpany powiadomił jednostkę wojskową, skąd wyruszone na ratunek. Niestety, znaleziono tam tylko trzy osoby przy życiu, ale i one kilka godzin później pożegnały się z tym światem.

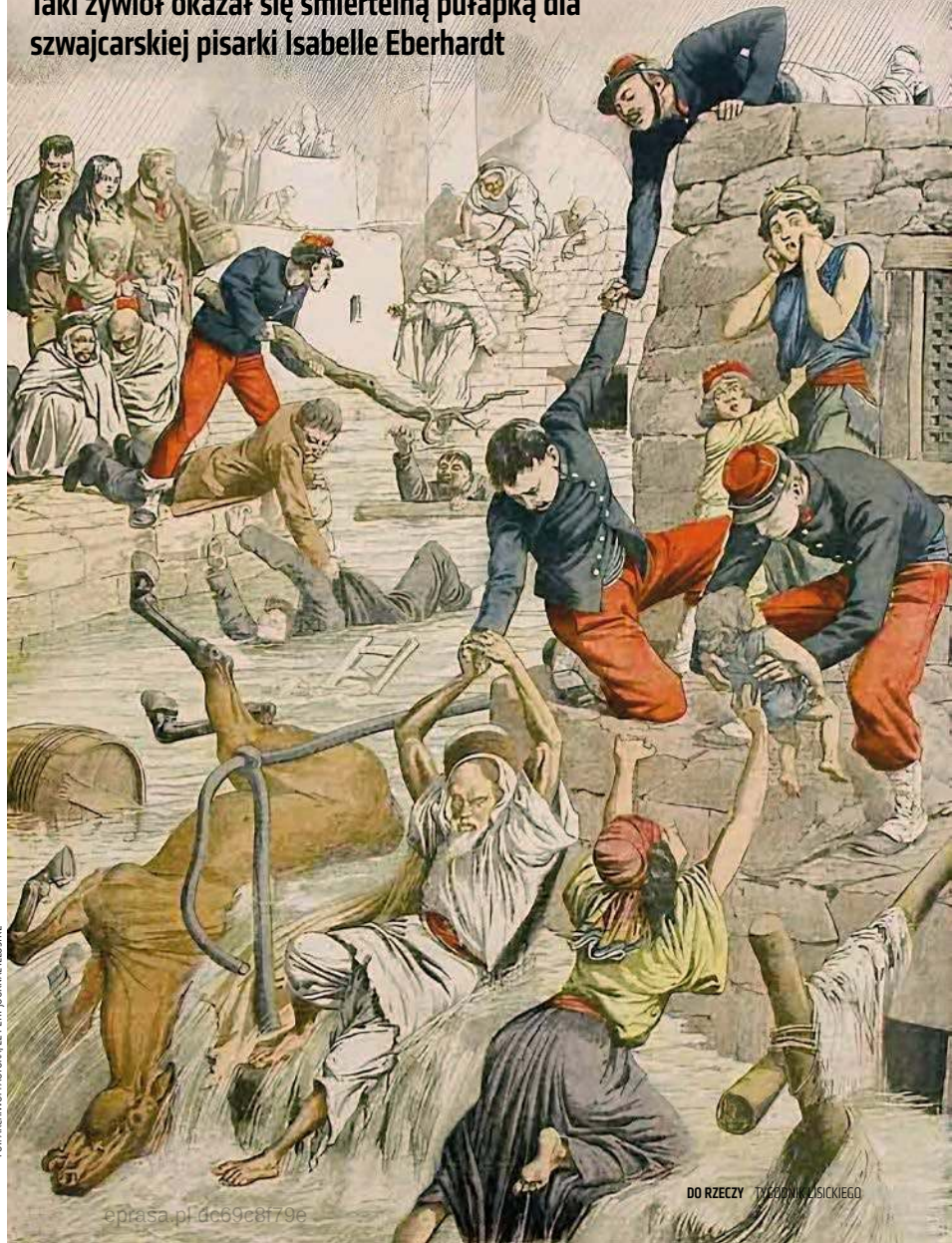
Latem ubiegłego roku saudyjski pałac królewski poinformował, że młody książę Fahd bin Turki umarł z wycieńczenia pośród pustynnych piasków Małego Nefudu na północ od Rijadu. Niedawno algierska

Woda, szokujący zabójca



Jacek Pałkiewicz

Na Saharze ludzie giną nie tylko z pragnienia, lecz także w nurtach wzburzonych rzek. Taki żywioł okazał się śmiertelną pułapką dla szwajcarskiej pisarki Isabelle Eberhardt



FOT. ARCHIWUM AUTORYTATÉ PETIT JOURNAL ILLUSTRÉ

DO RZECZY TŁUMACZENIE: J. K. K.

eprasa.pl/6c69c8f79e

gazeta „El Massa” podała, że na legendarnej trasie Bidon Cinq zaginął ślad po trojgu Francuzach.

W lutym 1979 r. po odwiedzeniu ufortyfikowanej oazy Ksar Bousamghoun, miejsca spotkań karawan, które już w przedislamskim III w. przywoziły złoto i niewolników, znalazłem się w Ain Sefra, miasteczku określanym mianem „bramy pustyni”, położonym pomiędzy górami Atlas a północnym krańcem Sahary. Tego dnia byłem świadkiem incydentalnego wydarzenia. Pomarańczową, górującą nad osadą wydmnę i zielone palmy pokryła warstwa śniegu. Działo się to w regionie, gdzie letnie temperatury oscylują wokół 37 st. C, a zimowe rzadko spadają poniżej zera. Wilgotność jest tu rzadkością, ale kiedy pojawiło się kilka milimetrów opadów, wystarczyło, by stworzyć magiczną scenerię.

PODESZCZOWA FALA

Jednak nie na tym chciałem się zatrzymać. Okazuje się, że nie można powiedzieć, że na Saharze brak jest wody. Na pustynnych połączeniach ludzie niekoniecznie giną z pragnienia, przyczyną śmierci bywa także woda. Raz na ileś lat zdarza się, że po sporadycznym, nagłym życiodajnym opadzie deszczu na obszarach górskich, wadi, pradawne koryta rzek, których pełno na Saharze, niespodziewanie na krótko napełniają się gwałtownie wodą, tworząc w górnym biegu rwącą rzekę niosącą z błotnistym nurtem nieprzebrane masy osadów, żwiru i brył skalnych. Rozszalała podeszczowa fala zmiata wszystko, co napotyka na swojej drodze. Ciek toczy się na niezbyt długiej przestrzeni, po czym szybko wsiąka w piaski pustyni.

Kręte wyłobienia, czasem przestrzenne doliny pustynne, widziałem niejedną raz z okna samolotu i przywoływały na myśl sieć systemów rzecznych powstałych tysiące lat temu, kiedy na kontynencie panował wilgotny klimat. Z reguły wadi zawierają ślady życia, o czym świadczą ożywające ekstremalnie surowy krajobraz zielone palmy, kolczaste akacje, żarnowce i dzikie melony, przysmak gazeli, czy skąpe kępy traw zapewniające popas dla wielbłądów.

Taki właśnie szalejący żywioł stał się śmiertelną pułapką dla 27-letniej Isabelle Eberhardt, z panteonu dzielnych i nieustraszonych kobiet, które targane pasją

przygody, łamały ograniczenia kulturowe i biologiczne swojej płci, otwierając drogę dzisiejszym paniom. Pisarka, ekscentryczna globtroter o niezrównanym harcie ducha, zauroczyła mnie od dawna. I chociaż powstał o niej australijsko-francuski dramat biograficzny z udziałem Petera O'Toole'a, to do dziś jej osoba wymyka się wszelkim opisom i konwencjom.

Urodzona w Genewie w 1877 r. z wdowy po rosyjskim generale i z nieznanego ojca, zanim skończyła 20 lat, mówiła siedmioma językami. Zakochana w Maghrebie oraz kulturze islamu, zafascynowana Arabami i pustynnymi krajobrazami w wieku lat 17 wraz z matką po raz pierwszy wyjechała do Algierii. Przyjęła wiarę muzułmańską, ale jako amatorka nieograniczonej wolności stylu życia, poszukując własnej tożsamości, wiodła życie obce konwensom społecznym. Akceptując zasady wiary islamskiej, jednocześnie odrzucała pryncypialność społeczeństwa zarówno arabskiego, jak i zachodniego. Przekraczała w świecie arabskim wszelkie granice socjalne i rasowe, zaliczając rozliczne romanse z arabskimi kochankami. W męskim przebraniu, czując się w pełni spełniona, paliła w kawiarniach fajkę wodną sziszy z haszyszem, wojażowała na koniu po pustyni z Beduinami, żołnierzami Legii Cudzoziemskiej, w karawanie Tuaregów, zawsze z pistoletem w sporych rozmiarów kufrze z drewna jodłowego, wkraczając na niedostępne dla kobiet terytoria. Całkowicie zanurzona w świecie swojej przybranej ojczyzny i w lokalnych społecznościach, hołdując wschodniej estetyce, czuła się okrucieństwem tutejszej kultury, częstką Orientu. Mogła liczyć na przyjaźń wodzów plemiennych, szefów i sufickich uczonych, a także oficerów francuskiej armii kolonialnej, z którymi piła przesiąkniętą intensywnym smakiem anyżówkę.

OSTATNI ROK ŻYCIA

Przeciwstawne frakcje Algierczyków i Francuzów próbowały wykorzystać Eberhardt do swoich wywiadowczych celów. W 1901 r., w wyniku francuskich oskarżeń o szpiegostwo kobiety sprzymierzonej z Algierczykami, zatem głęboko pogardzanej przez osadników, administracja nakazała jej opuszczenie Algierii, ale pozwolono jej powrócić już w następnym roku po ślubie z algierskim oficerem naturalizowanym we Francji. Po repatriacji

Raz na ileś lat po nagłym opadzie deszczu pradawne koryta rzek na Saharze niosą falę, która zmiata wszystko

otrzymała angaż reportera uznanej gazety francusko-arabskiej „Akhbar”, zaangażowanej w obronę interesów muzułmanów. Ostatni rok życia spędziła w Ain Sefra, na granicy z Marokiem, krańcowej placówce administracji francuskiej i Legii Cudzoziemskiej, gdzie wynajęła skromny domek na brzegu wyschniętej od dawna rzeki, który teraz uważała za swój punkt odniesienia. Jako korespondent wojenny magazynu „La Dépêche algérienne” wydanego w Algierze często poruszała się w rejonie przygranicznym, gdzie nieustannie dochodziło do incydentów wywołanych przez wojownicze plemiona walczące z Francuzami.

Jej stan zdrowia zaczął się pogarszać z powodu nawrotów malarii i konsekwencji niesfornego trybu życia. Wyczerpana gorączką, na początku października 1904 r. trafiła do szpitala wojskowego w Ain Sefra. 21 października ok. godz. 9 wbrew zaleceniom lekarzy opuściła lecznicę, aby spotkać się z mężem, na przepustce z frontu. Dwie godziny później zastała ją śmierć.

Ze zboczy nieodległych gór Atlasu, z wysokości 2000 m, nieoczekiwanie z leżących w niewielkiej odległości trzech rzek do obniżenia terenu wylała się wezbrana masa wody. Przerazająca powódź, która spustoszyła połowę miasta, nastąpiła tak nagle, że nikt nie miał szans na ucieczkę. Rozdzierające serce wołania bezradnych ludzi ginęły w strugach ulewy. Życie straciło 12 Europejczyków i 23 tubylców. Ktoś napisał, że furia natury przypominała sąd ostateczny, na którym źródło wody życia stało się sprzymierzeńcem śmierci. Ciało Eberhardt znaleziono kilka dni później w błotnej lawinie pod gruzami zniszczonego domu. O bezcennym pustynnym bogactwie napisała ona kiedyś, że *amman iman*, woda jest życiem. Najwidoczniej nie zawsze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem, eksploratorem, odkrywcą źródła Amazonki,

twórcą survivalu w Europie.



MINI COOPER S

Jeśli ktoś chciałby obok hasła „przyjemność z jazdy” umieścić w słowniku zdjęcie, to Mini Cooper w swym najnowszym wcieleniu idealnie nadawałby się jako właściwa ilustracja. To trzydrzwiowe sportowe autko nie tylko daje bowiem ogromną frajdę z prowadzenia po mieście, lecz także wzbudza emocje podczas pokonywania wąskich i krętych dróg prowadzących do pięknych nawet jesienią polskich gór, lasów i jezior.

Przedstawiciel najnowszej generacji brytyjskiego hot hatcha ma pod maską dwulitrowy, czterocylindrowy silnik benzynowy o mocy 204 KM i 300 Nm). Tak skonfigurowane Mini we współpracy w siedmiobiegowym automatem od zera do 100 km/h przyspiesza w zaledwie

6,6 s. Prędkość maksymalna wynosi teoretycznie 242 km/h, choć wątpię, by ktoś dłużej jechał z taką szybkością, bo już od 140 km/h w kabinie robi się zbyt głośno. Po prostu znakomity jest tu zaś układ kierowniczy. Automatycznej skrzyni biegów zdarza się nieco zasnąć, ale przeważnie również działa bez zarzutu.

Jednocześnie jak na autko o sportowym charakterze nowe Mini spala zaskakująco mało. Podczas testu średnie spalanie (miasto, trasy krajowe, ekspresowe i autostrady) wyniosło 6,5 l/100 km. Na jednym baku można więc tym autkiem przejechać ponad pół tysiąca kilometrów.

Minimalistycznie zaprojektowane wnętrze jest wystarczająco przestronne dla dwóch osób. Fotele są wygodne. Na pochwałę zasługują też system

infotainment z umieszczonym centralnie okrągłym wyświetlaczem OLED o średnicy 240 mm oraz opcjonalny, kolorowy wyświetlacz Head-Up. Ponieważ auto ma służyć do zabawy, to kierowca ma do wyboru różne tryby, które zmieniają oświetlenie ambientowe, dźwięki etc. Miłe, sportowe emocje budzi też niewielka, lecz mięsista kierownica.

Nowa odmiana Mini Coopera to niewielki samochód miejski. Jest zwinny, kompaktowy i zmieści się niemal wszędzie. Na trasie też da radę, ale trzeba pamiętać, że choć teoretycznie jest czteroosobowy, to w rzeczywistości może służyć do komfortowych podróży maksymalnie dwóch osób i małego psa (duży czworonóg mógłby słusznie protestować, bo nie tylko wsiałaby mu się niewygodnie, lecz także podróż na tylnej kanapie nie byłaby dla niego zbyt komfortowa). Za tylną klapą producent umieścił bagażnik o pojemności 210 l. Idealny, aby wrzucić do niego aktywkę oraz siatkę z chrupiącymi bułkami prosto z pieca. Na upartego zmieszczą się do niego jedna duża i jedna mała walizka. Na przedłużony weekend łatwiej gdzieś wyskoczyć po złożeniu części tylnej kanapy (wówczas do dyspozycji jest 530 l) lub po złożeniu obu oparć (przestrzeń ładunkowa rośnie wówczas do 725 l).

Nowy Mini Cooper S w wersji z trzycylindrowym 1,5-litrowym silnikiem o mocy 156 KM kosztuje 111,9 tys. zł. Najtańsza wersja wyposażenia z silnikiem o mocy 204 KM to wydatek rzędu 124,9 tys. zł, a w wersji John Cooper Works 153,8 tys. zł. ©©

DREAME MOVA K10 PRO

Niewielka waga, nowoczesny design, dość wysoka siła ssania i szczotka obracająca się z prędkością do 540 obrotów na minutę – to największe zalety nowoczesnego odkurzacza pionowego z funkcją mopowania chińskiej marki Mova.

Poręczne urządzenie przeznaczone jest głównie dla alergików, rodziców małych dzieci i posiadaczy dużych i małych zwierząt. Testowany model waży 3,8 kg. Jest biały, więc łatwo wpasuje się w wystrój otoczenia. Ma ergonomiczny uchwyt oraz duży, kolorowy wyświetlacz LED, na którym wyświetlają się m.in. poziom naładowania baterii, tryb pracy etc.

Bezszczotkowy silnik ma moc ssania wynoszącą 15 tys. Pa (nieźle, choć na rynku są odkurzacze jeszcze mocniejsze). Fajne jest też to, że odkurzaczomop ma tyle energii, że przy sprzątanu nie trzeba używać zbyt wiele siły. Ten model właściwie porusza się sam, a w trybie turbo robi to na tyle szybko, że czasem trudno dorównać mu kroku. Do wyboru jest jeszcze tryb standardowy, który teoretycznie powinien wystarczać do codziennego sprzątanu (jesienią, przy psach zmieniających

sierść na zimę, w grę wchodzi jednak tylko turbo). Oczywiście gadżet uzbrojony jest w nowoczesną technologię do inteligentnego wykrywania zabrudzeń, dzięki której potrafi sam dostosowywać moc ssania do stopnia zabrudzenia podłóg. Nie ma też problemu ze zbieraniem rozlanych płynów ani ze sprzątanem przy krawędziach (umożliwia odkurzanie już 6 mm od listew przypodłogowych).

Efekt zmiany jakości sprzątanu jest tak widoczny, że po pierwszym przejechaniu po teoretycznie czystych podłogach woda w zbiorniku była aż czarna. Bardzo fajne jest też to, że urządzenie po zakończeniu pracy wystarczy odstawić do stacji bazowej, aby samo wyczyściło swoją szczotkę i przygotowało odkurzaczomop do kolejnego pojedynku.

Wady? Zbyt mała bateria. Akumulator Ni-Mh wystarcza teoretycznie na 30 minut pracy i nawet 200 mkw. podłóg, ale w testach urządzenie wymagało ładowania nieco częściej, niż chwali się producent. Przez to – zwłaszcza gdy w niektórych pomieszczeniach trzeba jednak użyć trybu turbo – trudno jest sprzątnąć podłogi w całym dużym domu na jednym ładowaniu. Ładowanie baterii do pełna zajmuje zaś ok. 4 godz. Przydałoby się też światło LED z przodu szczotki. Cena: 1298 zł. ©©



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

„Merkuriusz” z Małego Rynku



JACEK KOMUDA

W Krakowie, na Małym Rynku, w kamienicy zwanej Szoberowską, pod numerem 6, narodziła się pierwsza polska gazeta. Tutaj mieściła się w XVII w. drukarnia Jana Aleksandra Gorczyzna. Dzięki poparciu królowej Marii Ludwiki Gonzagi i finansowemu wsparciu dworu, począwszy od 3 stycznia 1661 r., ukazywał się „Merkuriusz Polski”, zwany także w niektórych numerach „Merkuriuszem Polskim Ordynaryjnym” lub „Ekstraordynaryjnym”. Wychodził jeden albo dwa razy w tygodniu i kosztował 10 groszy, czyli dzienny zarobek robotnika niewykwalifikowanego. Nakład wynosił od 100 do 200 egzemplarzy; w owym czasie uważany był za ogromny. Wydawcą „Merkuriusza” był wspomniany Gorczyzn, drukarz, rytmownik i sztycharz. Redaktorem naczelnym – były burmistrz Hieronim Pinocci, pochodzący z Włoch, który do Krakowa przybył w 1638 r.

„Merkuriusz” ukazywał się przez pół roku, ostatni numer pojawił się 15 lipca 1661 r., a jego pojawienie się związane było z planami przeprowadzenia przez Jana Kazimierza elekcji „vivent rege” – to znaczy za życia króla. Zadaniem gazety było urabianie szlacheckiej opinii publicznej. Przede wszystkim przygotowywać miała grunt pod sejm majowy. Kiedy jednak ten nie poparł planów Jana Kazimierza, „Merkuriusz” przestał się ukazywać.

Gazeta miała formę, dziś powiedzielibyśmy: zbioru depesz agencji prasowej. Były to spisane doniesienia ze świata, podane w formie krótkich notatek, a w numerach nazywanych jako „Merkuriusz Polski



Ekstraordynaryjny” znajdowały się materiały dodatkowe – listy władców, petycje, teksty umów, czasami też opisy ciekawostek.

„Zasiada na Stolicy Apostolskiej Ojciec Święty Aleksander tego imienia VII” – czytamy w pierwszej wiadomości numeru z 3 stycznia. „We Włoskiej ziemi za pokojem między Hiszpanem a Francuzem zawartym ustały wszystkie te wojny, które dependencję miały od wyżej mianowanych dwóch monarchów; to jest w państwie mediolańskim, sabaudzkim i monferrackiem. Zostało jednak koło Mediolanu niemało hiszpańskiego ludu, którego część rychło po tym posłano morzem do Hiszpanii, a ostatek mają na wojnę tamże wyprowadzić i zażywać go na rekuperację Korony Portugalskiej”.

„Co się tyczy Rzeszy Niemieckiej cesarzem chrześcijańskim terazniejszym jest Leopoldus tego imienia pierwszy[...].”, „We Francji panuje Ludovicus XIV od lat 17, to jest od śmierci Ludwika XIII, ojca jego. Po pomienionym pokoju Pirenejskim, onego potwierdzając, pierwotną córkę Karola Hiszpańskiego wziął in matrimonium.

Wojska wielkie co miał, odprawiwszy mniej potrzebne, ostatek tak rozdzielił: jedną część posadził na granicach katalońskich; drugą część na Niderlandzkich, trzecią nad Kanalem Angielskim; czwartą trzyma w Alzacji”.

„Merkuriusz” zawierał też typowe ciekawostki dla ludzi XVII stulecia, np. opisy egzekucji zdrajców i heretyków. „Z Preszowa 16 Maii 1661. Węgrzyna, który spraktykował był poddać Turkom Cekielhit, żywego upieczono. Jest to genus mortis, którym zdrajców patriae karzą staroświeckimi bardzo okolicznościami i ceremoniami”.

„Z Rzymu 8 Ianuarii 1661. W niedzielę przeszłą czytany jest publice trybem zwyczajnym proces owego medyolańczyka fanatyka. Była na theatrum, gdzie proces czytano, osoba na kształt jego zrobiona, która po tej funkcji oddana jest urzędowi świeckiemu, a nazajutrz przez katowskie ręce publice jest spalona. Czytano oraz proces dwom z jego uczniów, którzy osobą swoją na theatrum byli, a wskazano ich do więzienia wsadzić, gdzie żywot swój skończyć mają”. „Merkuriusz”, który wziął nazwę od rzymskiego boga Merkurego, zawierał też wieści z dalszych stron świata. „Król Perski Schach Abas in altissima pace żyje, co nie zawsze się trafiło jego antecesorom, którzy miawszy państwo swoje położone między dwiema wielkimi Potentatami, to jest między cesarzem tureckim, a Magnum Mogorem rzadko kiedy nie mieli lubo z jednym lubo z drugim jakiejś do decydowania kontrowersji”.

„Merkuriusz” wznowiony został dopiero 1933 r., w międzywojennej, Polsce przez Władysława Zambrzyckiego. Był to już jednak tygodnik opiniotwórczy, tylko nawiązujący do staropolskiego poprzednika. ©



RYŚ: MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Halloumi

Jesienna sałatka z pieczoną dynią i serem halloumi

- 150 g ugotowanego makaronu pełnoziarnistego
- 300 g dyni upieczonej – dynię hokaido kroimy na kawałki, skrapiany sokiem z cytryny i oliwą z oliwek, posypujemy solą, pieprzem i pieczemy 20 min w temperaturze 180 st. C lub do miękkości
- 2 garście rukoli
- garść pomidorków koktajlowych
- 2–3 sztuki buraków ugotowanych lub upieczonych, można już kupić gotowe
- 4 sztuki pomidorów suszonych pokrojonych w paseczki
- garść orzechów włoskich uprażonych na patelni z odrobiną miodu
- 1 opakowanie sera halloumi pokrojone na plastry i zgrillowane na patelni z każdej ze stron
- liście bazylii, mięty lub rozmarynu
- sezam do posypania
- sos: oliwa z oliwek
- 2 łyżki dowolnego pesto: zielonego lub czerwonego
- ocet balsamiczny, miód do smaku

Wszystko mieszamy. Warzywa mogą, a nawet powinny być ciepłe tak samo jak makaron – ta sałatka ma być bardziej daniem obiadowym niż sałatką na zimno.

Ugotowany makaron układamy na półmisku, ser grillujemy na patelni, pomidorki kroimy

na pół, suszone pomidory na plasterki, ostudzoną dynię układamy na makaron, następnie pomidorki, buraki, orzechy; na to liście mięty i bazylii. Całość polewamy sosem. Posypujemy sezamem. ©



Zdrowo się odżywiać powinniśmy cały rok, ale jest to szczególnie ważne teraz, czyli późną jesienią, kiedy zimno i chłodno. Wybieramy jak najwięcej potraw gotowanych i rozgrzewających, unikamy surowizny i jedzenia na zimno. W tym okresie, korzystając jeszcze z dobrodziejstw jesiennych zapasów i obfitości warzyw i owoców, możemy pozwolić sobie na dowolne łączenie mięs z warzywami, kaszami oraz makaronami i nabiałem. Skrapiając to wszystko dobrą oliwą, uzyskamy doskonałe dania smaczne i sycące, bo zarówno kasze, jak i makarony są źródłem zdrowych węglowodanów. Odwiedzając niedawno Cypr, zakochałyśmy się w smaku grillowanego sera halloumi. Podawany jest w lokalnych restauracjach zarówno jako dodatek do śniadania, jak i do dań obiadowych. Oryginalny cypryjski ser wytwarzany jest z mleka owczego lub mieszanki mleka owczego, koziego i krowiego. Często dodaje się do niego liść mięty – nie tylko dla walorów smakowych, lecz także ze względu na to, iż mięta ma właściwości bakteriobójcze i zapobiega psuciu się sera. Ser halloumi jest bogatym źródłem białka i składników mineralnych – wapnia, magnezu, potasu i sodu, jest bogaty w witaminy B, D, K oraz A, która wspiera wzrok. Ser ten ma niską zawartość laktozy, co jest istotne dla osób z jej nietolerancją, oraz nie jest serem tłustym. Ci spośród smakoszy, którzy dbają o linię, mogą śmiało sięgać po halloumi.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nikogo nie urazić

Nie zawsze czytam posłowania, ale gdy już przeczytam, przekonuję się, że można się z nich dowiedzieć ciekawych rzeczy. Oto fragment posłowania Krzysztofa Modelskiego, tłumacza (z jidysz) niedawno wydanej powieści Izaaka Baszewisa Singera „Szarlatan”. Właśnie skończyłam ją czytać.

„Angielskie wersje literatury jidysz są dostosowywane do oczekiwań czytelnika amerykańskiego, a więc nieco »wygładzane«, mniej kontrowersyjne – pisze Krzysztof Modelski. – Dotyczy to choćby unikania pejoratywnego określenia »goj« w odniesieniu do nie-Żydów czy »Murzyn« w przypadku osób czarnoskórych. W angielskim przekładzie »Szarlatana« usunięto »niepoprawnie« brzmiące zdania mogące urazić ze względu na kwestie rasowe. (»Jesteśmy tam jedynymi białymi kobietami – reszta to Portorykanki«), ale także pominięto refleksję Morisa [jednego z bohaterów – przyp. J.B.]: »Mahometanie nie są głupi i dlatego każą zasłaniać się kobietom. Są jak starożytni żydowscy mędrcy«.

Bohaterowie Singera nie żyją od 100 lat i nikt nikogo już nie może niczym urazić, chyba że amerykańskich czytelników. Czytelnicy Marii Konopnickiej są mniej liczni niż przed kilkudziesięciami laty, ale i tak zauważyli, że w wierszu „Rota” w zdaniu „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” słowo „Niemiec” zastąpiono słowem „Krzyżak”. Wiadomo

– Niemcom może być przykro, a Krzyżacy to jacyś tam dawni rycerze, kto to dziś pamięta, przecież nikt ramoty Sienkiewicza nie czytał.

Współczesność także dostarcza przykładów, że potencjalni urażeni czytają tylko, żeby ktoś ich uraził. Wtedy odezwać się oburzeni... Oto niewinna – nawet optymistyczna, zdawałoby się – informacja, która powinna ucieszyć wszystkich. Wybitnie zdolny Polak, 22-letni Michał Wyrębkowski, został właśnie dyrektorem w jednym z prestiżowych Instytutów Uniwersytetu Yale. Wcześniej Michał, stypendysta Fundacji Rafała Brzozki, absolwent LO im. W. Jagiełły w Płocku, laureat olimpiad z filozofii, historii, polskiego i francuskiego, zdał łącznie aż osiem matur na 100 proc. i został najlepszym maturzystą w Polsce.

Okazuje się, że ta pozornie dobra wiadomość zasmuciła pewnego komentatora na Facebooku. Stwierdza on z goryczą, że rówieśnicy Michała, mniej zdolni niż on, mogą się poczuć urażeni, a nawet sfrustrowani, że nie stać ich na podobne wyniki. No tak, zlikwidujemy zdolnych, bo niezdolnym będzie przykro. Ostatnio Wiedeń zrezygnował z budowy pomnika Jana III Sobieskiego w obawie, żeby nie sprawić przykrości społeczności tureckiej. Jeżeli ktoś z państwa poczuje się tym tekstem urażony, to proszę poskarżyć się red. Lisickiemu. To dopełni obraz powyżej przedstawiony. ©



DEKAMERONKI

III RP Klientka

JERZY KARWELIS

Amnie się z tym Trumpem smutno zrobiło. Mamy bowiem do czynienia z wykwittem serwilizmu polskiego. Cała III RP po 35 latach okazała się państwem w sposób systemowy uzależnionym od patronów. To, że jesteśmy klientami mocarstw, to nawet nie jest tak złe. Najgorzej, że inaczej żyć nie umiemy, za każdym razem, kiedy obroty świata się zmieniają, poszukujemy patrona – i to nie w jakiejś ich kombinacji. Szukamy patrona jedyne. A właściwie poszukuje go zawsze klasa polityczna, gdyż okazuje się, że klientelizm polityczny należy do nielicznych wspólnotowych cech klasy politycznej, ponad podziałami.

PiS się cieszy, tak jakby wygrał wybory w Waszyngtonie, co ma mu dać nadzieję na, nie wiadomo jakim sposobem, szybkie odwojowanie utraconej władzy w Warszawie. Znowu króluję myślenie, że wystarczy poczekać, a ktoś za nas odwali całą robotę. A dlaczego miałyby tak zrobić? Nowy lokator Białego Domu obiecał Amerykanom, że „po pierwsze Ameryka”. A już może pora zrozumieć, że interesy USA mogą, i coraz bardziej będą mogły, rozmiąć się z polskimi. I co wtedy?

Drugi wytrysk serwilizmu mamy i po drugiej stronie. Choć uśmiechnięta Polska trzyma wszystkie jajka w niemieckim koszyku, to nawet i po zamianie w USA zaczyna się podlizywać

wcześniej przez nią opluwanym. Znowu szukamy patrona, byleby się tylko pojawiło jakieś nowe centrum siły. Kamala byłaby do tego równie dobra, co teraz Trump, no może byłoby ideologicznie po drodze i pewniej, że nasz patron europejski z Berlina będzie kontynuował linię, która dała nam władzę. Ale i tu kamerdyner poszukuje pana, byle jakiego, nawet takiego, a może przede wszystkim takiego, którego się boi, nawet – nienawidzi.

Powie ktoś, że w tej części Europy nie może być inaczej. Figę prawda. Nie musielibyśmy się do nikogo tak łasić, gdyśmy tu przez te 35 lat budowali własną siłę. A tak i naród – a przede wszystkim klasa polityczna – skorzystał z tego, że zabrano się na gapę geopolitycznych ustaleń. Sami skazaliśmy się na sierotę z europejskiego bidulca. Wyglądającego zza rogu, kto tam może przyjdzie zaadoptować nas do swego domu. Na każdych warunkach. A wcale sierotą nie byliśmy, jak i być nie musimy, aby skazywać się na taki los. Nie budując swojej siły, zostaniemy tak w tym sierocińcu, przerośnięci w swych oczekiwaniach. Za starzy na adopcję, jednak wciąż bezradni w stosunku do wymagań samodzielnego życia. I sami to sobie wybraliśmy, my zakompleksieni adopcyjni suwereni, wybierając lokajów na swoich przedstawicieli. ©©



#WARTO

Pochodzenie czy tożsamość

JAN POSPIESZAŃSKI

Niezależnie od tego, czy rozmowa Sikorskiego z Olejnik była ustawką, pytanie o to, kim jest żona ważnego polityka – a tym bardziej żona kandydata na prezydenta – jest zasadne. Również pytania o pochodzenie, obywatelstwo, rodzinne koneksje, a przede wszystkim o samoidentyfikację są jak najbardziej uprawnione. Wyborcy mają prawo do takich informacji. Osoba najbliższa dla ministra spraw zagranicznych – a tym bardziej dla prezydenta – choćby tylko ze względu na kwestie bezpieczeństwa państwa powinna być jak żona Cezara, „poza wszelkimi podejrzeniami”.

Rozkręcanie przez Sikorskiego hysterii i wekslowanie tej dyskusji na uprzedzenia antysemickie pokazują, że naprawdę jest jakiś kłopot. Kwestie dotyczące relacji polsko-żydowskich należą, jak wiadomo, do tematów drażliwych i przez to zamiast normalnej dyskusji o partej na faktach mamy emocjonalne wzmożenie, gróźb w uprzedzeniach, domysłach, podejrzeniach. Im większy stopień paraliżu, tym bardziej jesteśmy podatni na propagandę, uogólnienia i skrajne interpretacje.

Słyszeliśmy ten historyczny ton, gdy próbowano rozliczyć PRL i przeprowadzić lustrację. Pytania o resortowe dzieci, o to, czym się zajmowali rodzice znanych polityków, sędziów, dziennikarzy, wywoływały wrzask, a pytających wykluczały z grona ludzi, którym warto

podawać rękę. Tym bardziej sprawa była gorąca, gdy dotyczyła żydowskich rodziców. A przecież kwestia pochodzenia nie przesądza o autoidentyfikacji, poczuciu lojalności i tożsamości.

Ponadto sama bohaterka awantury, czyli Anne Applebaum, publicznie zarzucała pierwszej damie Agacie Kornhauser-Dudzie, że nie przyznaje się do swojego pochodzenia – a może nie obnosi z nim. Tak jakby dla żony Sikorskiego eksponowanie żydowskości – a nie kultura, lojalność i tożsamość – było sprawą fundamentalną.

Pamiętam też, jak Anna Bikont i Agnieszka Kublik, przeprowadzając wywiad z Herlingiem-Grudzińskim, domagały się od autora deklaracji, że jest Żydem, i były wściekłe, gdy ten twierdził, iż jest Polakiem. Dramatyczna scena w powieści „Inny świat”, gdzie enkawudzysta proponuje bohaterowi, że w zamian za wyparcie się polskości i przyznanie, iż jest Żydem, uniknie represji, a bohater stwierdza, że jest Polakiem, to zdarzenie z życia autora.

Moja babka, Helena Meiners, rodowita Niemka, we wrześniu 1939 r. zabroniła dzieciom mówić po niemiecku. Po tym, jak dostała list od niemieckiej rodziny wysławiający zdobycze Wehrmachtu, zerwała z nimi wszelkie kontakty, wybrała polskość, co wiązało się z wypędzeniem z Poznania, utratą majątku i poniewierką. Przyznaje się do babci z niekłamną dumą. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kwestia nie tylko ojcostwa

Międzynarodowi analitycy polskiej sceny politycznej podali, że 11 listopada, w Święcie Niepodległości, Tusk ani razu nie minął się z prawdą. Był na zwolnieniu lekarskim. Stop. Przedstawiciele PiS rozważają utworzenie nowego święta. Stop.

Po wyborze Trumpa na prezydenta USA część naszych polityków przechodzi gwałtowne metamorfozy. Stop. Na przykład Rafał Zdejmij Krzyż Trzaskowski przewarłościował swoich bohaterów i w czasie objazdu Polski w ramach kampanii prezydenckiej, której przecież jeszcze nie prowadzi, a skądże, a skądże, powiedział: „Dzisiaj musimy być jak jedna pięść. Dokładnie tak, jak Trump w wyborach prezydenckich”. Stop. Niewykluczone, że wkrótce zacznie się witać ze swoimi lewicowo-progresywnymi wyborcami: „Niech będzie pochwalony...” lub „Czołem wielkiej Polsce”.

Radosław Sikorski wyszedł obrażony ze studia TVN24 po rozmowie z Moniką Olejnik, która spytała go, czy rzeczywiście dla członków Koalicji Obywatelskiej problemem może być pochodzenie jego żony Anne Appelbaum. Stop. Do czerwoności poirytowany Sikorski napisał na platformie X: „Uważam, że ustawianie pochodzenia żony kandydata jako tematu w wyborach prezydenckich jest niedopuszczalne. Wbrew insynuacji redaktor Olejnik nie jesteśmy krajem antysemitów. Od TVN [...] żądam przywrócenia

standardów dziennikarskich”. Stop. Problemy występują tu zasadniczo dwa: po pierwsze, sam Sikorski sugerował wcześniej niewybrednie, niestety, że w Polsce jest antysemityzm, a po drugie, dla wyborców to raczej nie pochodzenie pani Anne jest problemem, tylko w najwyższym stopniu szkodliwe dla Polski bzdury, które wygaduje w przestrzeni publicznej bynajmniej nie tylko o Donaldzie Trumpie. Stop.

Co tam słycać u Janusza Palikota? A nic specjalnego, siedzi w areszcie za wielomilionowe przekręty. Stop. Co tam słycać u jego współnika Jakuba Wojewódzkiego? Stop. A nic specjalnego, nie siedzi, ale – jak ustalił Piotr Nisztor – Wojewódzki dalek jest w trzech radach nadzorczych spółek z Palikotem. Stop.

Za to nie można ustalić, czy Wojewódzki został w sprawie w ogóle przesłuchany. Stop. Prawo, jak my je rozumiemy...

Teraz proszę się trzymać, bo będzie bez trzymanki. Stop. Profesor Maciej Socha, kierownik oddziału położniczo-ginekologicznego Szpitala św. Wojciecha w Gdańsku, na antenie TVN powiedział o przypadku transpłciowego mężczyzny, którego zgwałcono tłuczkiem do mięsa i któremu odmówiono aborcji. Stop. Hmm. Stop. Hmm. Stop. Mężczyzna zaszedł w gwałt, a ojcem miałby być tłuczek? Stop. Albo zmiany w dzisiejszym świecie zachodzą zbyt szybko, albo zmiany w niektórych mózgach wydają się nieodwracalne. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Księżniczka Anna

Ciekawym spostrzeżeniem podzielili się z polskimi telewizjami nasz minister spraw zagranicznych – Radosław Sikorski. Indagowany przez Monikę Olejnik o pochodzenie swojej żony, Anne Applebaum, Radosław Sikorski wypalił: „Ja bym powiedział, że jest już świecka tradycja, że pierwszymi damami powinny zostać osoby pochodzenia żydowskiego”.

Jest to opinia warta zastanowienia, gdyż wypowiada ją polityk od 30 lat uczestniczący w dworskich ceremoniałach polskich elit – zarówno tych „prawicowych”, jak i „liberalnych”. Możliwe jednak, że opisany stan rzeczy nie jest tylko „świecką tradycją” ani modą. Przypomina on raczej prastary obyczaj polityczny, ukształtowany w Chinach przed dwoma tysiącami lat. Już w czasach dynastii Han, panującej od II w. p.n.e., dobrze urodzone chińskie księżniczki wydawane były za barbarzyńskich królów i wodzów, rządzących granicami z Państwem Środka plemionami. Setki wszechstronnie wykształconych młodych kobiet oddano, dla celów politycznych, w ręce rozmaitych dzikusów.

Los wysyłanych księżniczek był z reguły dość ponury. Jedną z nich, sławna piękność imieniem Wang Zhaojun, wydana została za wodza wojowniczej konfederacji plemion, tworzących sąsiadujące z Chinami imperium Xion-

gnu. Jadąc konno w północne stopy, nieszczęśliwa dziewczyna śpiewać zaczęła rzewnie, akompaniując sobie na starodawnym chińskim instrumencie muzycznym zwanym „pipą”. Przelatujące nieopodal stado gęsi tak wzruszyło się skargami dziewczyny, że zapomniało o machaniu skrzydłami i martwe spadło na ziemię. Utalentowana narzeczona uzyskała w ten sposób smutny przydomek Opadłe Ptaki.

Anna oddana barbarzyńcom panna wysokiego rodu, księżniczka Xijun, opisała swoje udręki w najstarszym zachowanym chińskim wierszu, którego autorstwo przypisywane jest kobiecie (datowanym na II w. p.n.e.). Narzeka w nim na konieczność mieszkania w namiocie, jedzenia surowego mięsa i picia sfermentowanego kobyłego mleka. „Chcę zmienić się w żółtego bociana i powrócić do mego domu” – kończy żałosną skargę najdawniejsza chińska poetka.

Jest faktem godnym uwagi, że wszechstronnie utalentowana i pochodząca z wpływowej amerykańskiej rodziny małżonka Radosława Sikorskiego powstrzymuje się od pisania lirycznych lamentów poświęconych jesiennej słońcu, kapuście i kiszonym ogórkom. Wielu jej wyrzeczeń, których rozmiarów trudno się nam nawet domyślić, powinniśmy być jednak świadomi, a w konsekwencji zapewne i wdzięczni. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wiewiórka a sprawa amerykańska

Los wiewiórki imieniem Orzeszek (Peanut), udomowionej przez pana Marka Longo z Nowego Jorku, nasunął niektórym komentatorom sugestię, że mógł on wpłynąć na losy amerykańskich wyborów. Sugestia efektowna, mająca w podtekście podziw dla zasięgów filmików w mediach społecznościowych, a nawet pewien sens, zważywszy na obnażenie hipokryzji wpływowych kręgów lewicowych, jest jednak grubo przesadzona. To prawda, że „postępowcy” bronią praw „zwierząt pozaludzkich”, a tu bez sensu pozbawili życia całkiem

ców – i w ogóle prawa wszystkich do wszystkiego. Ideologia woke, która opiera się właśnie na takim „prometejskim” wyzwaniu człowieka z człowieczeństwa, ignoruje realia gospodarcze i społeczne. W tle słyszeć można marksowskie twierdzenie, że raj na ziemi można zbudować, oczekując od każdego tyle, ile może dać, a każdemu oferując tyle, ile zechce. Dla zdrowego umysłu jest to oczywiście szkodliwa utopia, atomizująca społeczeństwo i antagonizująca tych, którzy mają większy dostęp do szczęścia, z tymi, którzy tego dostępu mają mniej lub nie mają wcale.

w gospodarce, a w konsekwencji – w rywalizacji politycznej. Trump obiecał też odideologizowanie polityki społecznej po to, by szary człowiek nie borykał się z głupotą urzędników, tak jak to miało miejsce w przypadku biednej wiewiórki.

Wszystko to składa się na zasadniczą różnicę światopoglądową. Harris uważa, że świat można zbawić przez stosowanie wyrafinowanych zabiegów socjotechnicznych w służbie utopii, Trump odwołuje się do zdrowego rozsądku, do prostej prawdy, że sukces osiąga się przez realistyczne myślenie i ciężką pracę. Poglądy pani Harris dominują w elitach intelektualnych i medialnych po obu stronach Atlantyki, poglądy Trumpa okazały się bliższe większości wyborców amerykańskich. Co do wyborców europejskich – nie miałbym złudzeń, ale mam nadzieję, że wyborca polski jeszcze do szczytu nie zgłupiał i nie da się do końca zmanipulować przez różnych postępowców wygodnie urządzających się na państwowych posadach czy czerpiących z organizacji pozarządowych finansowanych z zagranicy. Wybory amerykańskie pokazały, że wyjścia pośredniego nie ma: albo uwierzmy w sens innowacji, rozwoju gospodarczego i rodzimego awansu cywilizacyjnego, albo pogrążymy się w marzeniach o powszechnej szczęśliwości marzycieli żyjących z naszej kasy. Wiewiórka więc zasługiwała, by żyć, ciesząc oczy internautów, bez względu na to, czy się to podobało rzecznikom przymusu rewolucji cywilizacyjnej. ©

Według Harris świat można zbawić przez stosowanie wyrafinowanych zabiegów socjotechnicznych w służbie utopii, Trump odwołuje się do prawdy, że sukces osiąga się przez realistyczne myślenie i ciężką pracę

udomowione zwierzątko, które unikało nawet wychodzenia na dwór. Niemniej w amerykańskich wyborach prezydenckich obnażanie hipokryzji wielbicieli ideologii woke było tylko jednym z elementów kampanii.

Najogólniej można powiedzieć, że w wyborach tych starły się nie tylko dwa programy, lecz także dwie koncepcje postrzegania świata. W wystąpieniach Kamali Harris powtarzały się nieustannie te same elementy: prawa kobiet do „decydowania o swoim ciele”, czyli dostęp do aborcji na życzenie, oczywiście bez pytania o los poczętych dzieci; prawa migrantów do przemieszczania się, gdzie chcą, bez pytania o zdanie tubyl-

Wystąpienia Donalda Trumpa wydawać się mogły równie powierzchownym powtarzaniem haseł Make America Great Again, ale uważne ucho mogło usłyszeć tam znacznie więcej. Trump obiecywał pomoc w uruchomieniu na wielką skalę wydobywania ropy naftowej i gazu („drill, baby, drill”), co nie tylko wspomógłby nacierzy z Teksasu, lecz także obniżył ceny tych surowców na rynkach światowych i boleśnie uderzył w gospodarkę rosyjską. Trump wychwalał Elona Muska nie tylko dlatego, że potężnie dofinansował jego kampanię, lecz także dlatego, że podkreśla znaczenie technologicznego prymatu USA i rozumie znaczenie innowacji

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pozytywne zmiany pojawiły się natychmiast po wyborach. Trump jeszcze nie zaczął rządzić, ale świat zareagował od razu, bo zna jego plan naprawy Ameryki. Ten plan nie jest tajemnicą, był ogłaszany przed wyborami oraz powtórzony w kilku orędziach programowych po zwycięstwie. Świat drgnął i reaguje.

Unia Europejska na szczycie w Budapeszcie stwierdziła, że Zielony Ład będzie musiał być „zweryfikowany”, ponieważ europejska gospodarka nie wytrzyma konkurencji z USA. Premier Tusk dodał, że „niektóre założenia dotyczące emisji CO₂ rozbrajają europejską gospodarkę”. Unia nie zlikwiduje Zielonego Ładu dobrowolnie, ale dlatego, że nie ma wyjścia.

Po pierwsze, Trump wycofa USA z paryskiej umowy klimatycznej. Gdy to zrobi, ograniczenia dotyczące emisji i opłaty z tym związane będą dotyczyły wyłącznie krajów UE, bo inne wielkie gospodarki świata nie stosują tych ograniczeń. Ani Chiny, ani Indie, ani Rosja, ani Brazylia, a od stycznia „ani USA” nie płacą nikomu żadnych kar. Po drugie, w Ameryce pojawią się bardzo tanie nośniki energii zgodnie z planem Trumpa „Drill, baby, drill” (wielkie wydobycie surowców). Ameryka zacznie kopać ropę, pompować gaz, wydobywać węgiel, czyli światowe ceny spadną. USA ponownie zostanie największym eksporterem gazu na kuli ziemskiej (tak było za pierwszej kadencji Trumpa). A to oznacza, że inni dostawcy stracą sporą część dochodów. Kto? Rosja, Arabia Saudyjska, Katar, Irak... Kraje te zareagowały w ciągu pierwszych trzech dni po ogłoszeniu



FOT. W. CEJROWSKI/LODZIARSKI W. SŁONICKI

zeniu wyniku wyborów. Arabia Saudyjska i Katar wyrzucają liderów Hamasu, premier Iraku rozmawia z Trumpem o zakończeniu konfliktu na Bliskim Wschodzie, Hamas apeluje o pokój, terroryści Huti wycofują się z ataków na statki i nawet Taliban ogłasza, że chce pokoju oraz tego, by Stany Zjednoczone zdjęły go z listy międzynarodowych terrorystów.

Putin wie, że spadek cen ropy i gazu oznacza zmniejszenie dochodów, więc mówi, że cywilizacja zachodnia nie jest wrogiem Rosji, i godzi się sprzedawać ropę w dolarach, a nie tylko w rublach. Ursula von der Leyen wyskakuje nagle z oświadczeniem, że UE woli kupować gaz z Ameryki, a nie rosyjski. Dla Putina to oznacza, że nie tylko ceny spadną, lecz także Rosja dodatkowo straci rynki zbytu w Unii, czyli skończy się forsza na prowadzenie wojen. Dlatego Putin oświadcza publicznie: „Plan Trumpa, żeby zakończyć wojnę na Ukrainie, biorę bardzo poważnie, Rosja jest za. Jeśli Trump zadzwoni, to odbiorę telefon”. A w tym czasie prezydent Ukrainy rozmawia telefonicznie z Donaldem Trumpem i Elonem Muskem. Wcześniej gadał wyłącznie o prowadzeniu wojny do totalnego zwycięstwa, teraz przypomniał sobie, że „poza walką potrzebna jest też dyplomacja”.

Meksyk zaczął chronić granicę z USA od swojej strony. Robił to już za poprzedniej

kadencji Trumpa, gdy ten zagroził, że ich dojedzie ciłami. Wtedy poskutkowało. Teraz wystarczyło, że przypomniał sobie stare groźby. Karawany nielegalnych migrantów zmierzające w stronę USA zaczęły się rozsypywać – ludzie zawracają w drodze. Nie ma po co iść dalej, bo zanim dojdą, Trump obejmie urząd i granica zostanie zatrzaskana, a za jej nielegalne przekroczenie będą więzienia i deportacja.

Lewacki stan Nowy Jork też zabrał się za kryzys migracyjny. Najpierw przyjmował, kogo wlezie, nazywał się „miastem azylu”, fundował nielegalnym darmowe mieszkania w hotelach na Manhattanie, karmił, dawał telefony i kieszonkowe, a teraz burmistrz Nowego Jorku stwierdził nagle, że kasa się skończyła, zaczyna zabierać nielegalnym przywileje i gadać o deportacjach.

Trump mianował byłego nowojorskiego policjanta szefem do spraw masowej deportacji. Już po samej gębie widać, że Tom Homan to człowiek twardy jak skała. Obserwuję go od lat i lubię słuchać – mówi krótko i do rzeczy. Zna wszystkie przepisy na pamięć, nie boi się ich stosować, twierdzi, że prawo jest dobre – wystarczy je pilnie egzekwować. Na zaczęte pytanie dziennikarki, czy z powodu deportacji nielegalnych imigrantów będzie rozdzielał dzieci od rodziców, odpowiedział: nie ma takiej potrzeby. Możemy deportować całymi rodzinami.

Donald Trump zapowiada, że miasta i stany, które będą

utrudniały deportacje lub chroniły nielegalnych imigrantów, nie dostaną federalnych pieniędzy ani żadnej pomocy rządowej.

Plan naprawy Ameryki. Całego nie opiszę, bo za mało miejsca. Przywrócenie Boga i religii w przestrzeni publicznej. Zapis o istnieniu tylko dwóch płci. Cenzura będzie zdelegalizowana, a wszyscy pracownicy federalni, którzy brali w niej udział, zostaną zwolnieni z pracy. Tysiące urzędników straci pracę, bo nie są potrzebni. Dodatkowo ponad 100 tys. będzie musiało opuścić Waszyngton – agencje rządowe będą przeniesione w różne zakątki USA, by razem nie knuły przeciwko Amerykanom.

Nominacje do gabinetu Trumpa są genialne. Państwo nie znają większości tych osób, ale o dwóch tu pisałem. Elon Musk będzie się zajmował zwalnianiem ludzi niepotrzebnych. W każdym aparacie państwowym jest ich cała masa. Zajmie się też likwidacją niepotrzebnych urzędów. Zlikwidowany zostanie np. Departament Edukacji. Amerykańska konstytucja mówi, że wszystko, co da się realizować na poziomie niższym niż federalny, powinno być realizowane na poziomie niższym niż federalny. Szkolnictwem mają się zajmować władze stanowe lub powiatowe, nie federalne.

Robert F. Kennedy zajmie się serią działań przywracających zdrowie. Chodzi m.in. o wycofanie fluoru z wody pitnej, zakaz stosowania szkodliwych dodatków do żywności oraz likwidację smug chemicznych. Nad Ameryką pojawi się znów błękitne niebo. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**TOMASZ CUKIERNIK: „SABOTAŻ KLIMATYCZNY.
JAK TRANSFORMACJA ENERGETYCZNA RUJNUJE
NASZE ŻYCIE”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~712zł~~

252,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 460zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



BOMBY POD NOGI ZABORCÓW!

Zamachy dla niepodległej Polski – Przyszła elita II RP przed pierwszą wojną światową organizowała ataki bombowe wymierzone w funkcjonariuszy carskiego reżimu

Najgroźniejsi agenci ochrony – Stworzona po zamachu na cara tajna policja dokonała wielu udanych prowokacji. Z jej doświadczeń czerpała potem bolszewicka bezpieka

Reagan, rakiety i dolary – Pieniądze od jednego wroga Stanów Zjednoczonych posłużyły do zwalczania drugiego. Tajna operacja CIA skończyła się olbrzymim skandalem

Aryjski wilk i żydowski szczur – W nazistowskich Niemczech „miłość” do zwierząt motywowana była pseudodarwinistyczną ideologią

Bolesław Ocalony – Niemiecki monarcha stanowczo wypierał się swojego udziału w zamachu na Bolesława Chrobrego, ale wszystkie tropy w tej sprawie prowadziły na jego dwór

Nowy Wspaniały Żyd – Zgodnie z założeniami syjonizmu naród żydowski miał przejść w Palestynie metamorfozę. Słabego Żyda z diaspory miał zastąpić potężny Żyd wojownik

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**